

PAZIOWIE  
KRÓLA  
ZYGMUNTA

Antonina Domańska

EBOOK.PL

CLASSIC



# Spis treści

- [WSTĘP](#)
- [ROZDZIAŁ I](#)
- [ROZDZIAŁ II](#)
- [ROZDZIAŁ III](#)
- [ROZDZIAŁ IV](#)
- [ROZDZIAŁ V](#)
- [ROZDZIAŁ VI](#)
- [ZAKOŃCZENIE](#)

# PAZIOWIE KRÓLA ZYGMUNTA

Domańska Antonina

## WSTĘP

Pięciu zgrabnych wyrostków, w barwie paziów królewskich, przechodziło gwarząc, podskakując i śmiejąc się przez długi, ciemnawy korytarz, ciągnący się przez całą szerokość drugiego piętra starej, kazimierzowskiej jeszcze części zamku krakowskiego. Za nimi stapał ciężko pacholek, niosąc na plecach ogromny tłumok z pościelą.

— No, a teraz którądy? — spytał paż, biegnący przodem, zatrzymując się bezradnie w miejscu, gdzie się dwa korytarze krzyżowały.

— Prosto przed się, paniczku — odpowiedział parobek — dopiero na drugim zakręcie obrócimy się na lewo, potem przyjdą trzy schodki w dół, znowuj prosto, potem pięć schodków do góry, jeszcze raz na lewo, no i już.

— Dobrze mi już! Toć się człek nieszczęsny zgubić może w onym labiryncie... — zawołał pierwszy z paziów z udanym przerażeniem.

— Ino łaska boska, że smoka nie masz! — dodał krępy rudawy blondynek rzucając czapkę na najbliższego kolegę.

— Krzysztof Czema mniema, że smoka nie ma! — zaśmiał się tamten odrzucając czapkę dalej.

— Jak to nie ma? A stara Papacoda nie smok? A Marina Arcamone nie smok?

— Hola, hola, nie tak głośno, pomnijcie, że ściany mają uszy!

— Ostroróg własnego cienia się boi!

— Nie boję się niczego! — krzyknął dumnie zaczepiony, chłopak wysoki, o pięknych regularnych rysach, śniady jak Cygan.

— Przecz więc przerywasz nam mowę jakimiś uszami?

— Słusznie czyni — zawyrokował najstarszy z paziów, siedemnastoletni Paweł Szydłowiecki. — Nie tylko ściany mają uszy, ale ostre języki latają po komnatach i donoszą, co trza i co nie trza, komu trza i komu nie trza.

— Bogiem a prawdą, dzieją się tu od niejakiego czasu różne cudeńka — rzekł z cicha Jaś Drohojowski, oglądając się za siebie.

— Taj coże znów takiego?

— Dobranoc ci, Montwiłł, jeszcześ nie dospał, że jak wieloryb na Jonasza paszczkę na mnie rozwierasz?

— Nu, gadaj, jakowe cudeńka?

— Ano, kichnie kto w swojej izbie, juźci w jedenastej komnacie wiedzą, że ma katar. Zabawi się jeden z drugim przystojnie, przez obrazy boskiej, ino że świeczkę bez noc wypalą, oho, już jego miłość pan ochmistrz Strasz skoro świt wpada i łaje. A skąd się mógł dowiedzieć? Okno jego sypialni wychodzi na wirydarz, a nasze wszystkie na podworec. Którydyż uwidział? I tak co dzień coś nowego.

— Et, głupstwo, taj koniec — rzekł Montwiłł — gorzej, że nas w takie zaświaty przenoszą. Czegoż nie pozostawili nas rażeni w kupie, cożeśmy to pośledniejszego od innych?

— Nie narzekaj, nie marudź, bo nie masz o co — tłumaczył Szydłowiecki — jeżeli cały dwór się ścieśnia, jeżeli nawet królewskie osoby niewygodę cierpieć muszą, to chyba nam, paziom, milczeć przystoi.

— Jaże nic nie gadam, a taki mnie żal, że nas rozdzielono od towarzyszy.

— Stare skrzydła burzą, nowy pałac ozdobny, wedle woli i gustu miłościwej pani, budowniczowie z Włoch sprowadzeni stawiać mają, to i nie dziw, że miejsca zabrakło; a trochę ciasnoty zażyć się godzi, zanim wspaniałe komnaty dla waszych miłościów zostaną wykończone — kłaniając się z przesadną uniżonością Litwinowi, rzekł Jaś Drohojowski. — Rodzic mój powiada, że za jego młodości dwunastu było paziów i usługa wedle króla jegomości szła składno, jak na kółkach.

— Toć i za pierwszej żony miłościwego papa, nieboszczki królowej Zapolyi, także ponoć nie było ich więcej. Dopiero z nową panią nowe nastają czasy: zamek za ciasny, paziów dwustu, a usługa licha; *parlare italiano, utrapiare polono, wymyślare androno, nulla niente di buono* i tak dalej... Czy prawdę mówię?

— Mądrze i słusznie, Mikołajku!

— Na miły Bóg... pókiż tymi zaułkami wędrować mamy? — krzyknął zniecierpliwiony Szydłowiecki.

— Wždy gadałem waszej wielmożności — odparł pacholek flegmatycznie - że dwa razy na lewo, raz na dół, raz na górę, a my dopiero jedne schodki minęli.

— Gedroyć!

— Boner! — krzyknęli ze zdziwieniem chłopcy na widok dwóch paziów biegnących z przeciwnej strony ku nim. — Skądżeście się tu wzięli?

— Jędrus mi chciał pokazać naszą nową sypialnię — odpowiedział Konstanty Gedroyć — i zanieście się spakowali, jużemy tu przybiegli. — Jakżeście trafili?

— Ja bym miał nie znać grodu, każdego krużganka, każdego zakamarka? — zaperzył się Boner. — Co on się tak buci ten krasomędrek?

— Nie łajże mu, bo sprawiedliwie gada: toć od małego dziecka kręci się po całym grodzie, po podworcach, po wirydarzach, lepiej chyba zna one wszystkie zakątki niż sam król jegomość.

— I nic mu za takowe wścibstwo?

— Wnuczek pana żupnika i wielkorządcy miasta... ino tyle rzekę. Pokąd był maluśki, to za panem dziadkiem biegał, a poły się imał; skoro zaś podrósł, wszędy go pełno, a ot, trzeci rok mija, jak paziem ostał.

— Słuchajże, Jędreku... dobrze nam tam będzie?

— Niezgorzej, niezgorzej; przestronno, ustronno, stary Strasz trzy razy się zatchnie i trzy razy spocznie, zanim do nas dolezie. W Bogu nadzieja, że nieczęsto nas będzie nawiedzał. Jedno mi nie na rękę...

— Coże?

— My na lewo w jednym kącie, a czwarte drzwi na prawo fraucymer.

— Wiwat!

— Kamilla!

— Lauretta!

— Beatrycze!

— Hipolita!

— Geronima!

— Aha, ciescie się, błazenkowie! Po pierwsze, takie dorosłe i przerosłe panny ani patrzą na nas, a po drugie, ich pokoje położone są w głębi, od strony zaś naszego korytarza ino komnaty signory Izabelli Papacoda i Mariny Arcamone.

— Niechże cię nie znam z taką nowiną!

— Oho, stary Krabatus głowę beze drzwi wyścibia, widno go przeniesiono, jako i nas, na insze mieszkanie.

— Któż to jest? — spytał Gedroyć, niedawno do Krakowa przybyły.

— Medyk pana marszałka Kmity.

— Nie znam go; muszę się mu przypatrzeć.

Chłopcy, doszedłszy do drzwi swego nowego mieszkania, pchnęli Kubę z pościelą do izby, a sami nie kwapili się z wchodzeniem, obiecując sobie jakąś śmieszna krotoczwilę ze spotkania z magistrem Johannesem Krabatiusem.

Tenże, człek niemłody, w czarnym aksamitnym długawym ubraniu i takiej że płaskiej czapeczce na łysinie, stał we drzwiach swej komnaty i poglądał w korytarz przez szkła osadzone w rogowych widelkach, na długim trzonku, które przysuwał prawą ręką do oczu, wyciągając jeszcze naprzód chudą szyję, ruchem właściwym krótkowidzom.

Bocianiej cienkości nogi, o dużych płaskich stopach, tkwiły w czarnych pończochach i czarnych safianowych trzewikach, zakończonych według najnowszej mody niepomiernie szeroko.

— Pan Szydłowiecki, pan Boner, panowie pазie... dobry wieczór. Co tu oni mają za jaką robotę? — zapytał Niemiec łamaną polszczyzną.

Przez twarz Jasia Drohojowskiego przeleciało drgnienie złowrogie, zwykła zapowiedź mniej lub więcej szalonego figla Podbiegł z uprzejmą minką do Niemca:

— Dzień dobry, panie magister; my tu na nową kwaterę, wasza miłość takoz?

— Moja miłość takoz.

— Ach, co za szkoda, że sypialnia pana magistra wychodzi na północ... przy waszym niemocnym zdrowiu...

— Ja nigdy nie wychodzę na północ. Dwadzieścia jedna godzina, to ja już dawno śpię.

— Słusznie to waszmość czyni; ale co inszego chciałem rzec: powiadam, co okna są od północy.

— Ach, tak... to jest bardzo niedobrze... od północ...

— A zwłaszcza, że wasza miłość taki blady od kilku dni; przymizerniał srodze.

Mówiąc to, Drohojowski kopnął najbliżej za sobą stojącego kolegę wzywając jego pomocy. Jędrus Boner, jedyny do conceptów, w mgnieniu oka się zorientował i niby półgłosem do siebie, ale tak, że każde słowo wyraźnie było słychać, mruknął:

— Biedny człowiek... zmienił się nie do poznania.

— Co on mówi?

— Nic, nic, niech się wasza miłość ciepło odziewa, o febrę nietrudno.

— Nie stójcie w tym ponurym, wilgotnym korytarzu, dobry panie Krabatus! — jęknął Krystek Czema z rozrzewnieniem w głosie.

— Kochane chłopcy... pocziwe dzieci... posłucham waszej dobrej rady.

I zaniepokojony medyk cofnął się do swej izby licząc puls, naturalnie ze strachu mocno przyśpieszony. Wyjął z kieszeni małe srebrne lusterko, obejrzał język... brzydki; oczy wydały mu się dziwnie zaiskrzone, a białka żółte. Usiadł znękany na ławie i zadumał się gorzko.

Chłopcy tymczasem wpadli z krzykiem i śmiechem do swego nowego mieszkania i zaczęli porządkować swe rzeczy zniesione na miejsce przez służbę i porozrzuć bezładnie. Siedem tapczanów z siennikami twardo wystłanymi słomą stało dokoła ścian; reszta gratów, co prawda

niezbyt misternych i właścicielom jedynie miłych a niezbędnych, leżała lub stała na podłodze. Montwiłł najpierw ją przewracać między poduszkami: wyszukał swoją, porwał kilim gruby, wołokowy, co mu za przykrycie służył, i w mig posłał sobie łóżko. Ostroróg zawiesił łuk tatarski i sajdaczek niewielki na haku nad swoim tapczanem; Gedroyć, porwawszy bałabajkę o trzech strunach, puścił się w prysiudy do Drohojowskiego.

Jaśkowi w to graj. Hrymnał podkówkami o podłogę i dalejże kozaka.

Czema w niemym uwielbieniu patrzył na nie znany sobie, a że strasznym ogniem wykonywany taniec. Jeden Pawełek Szydłowiecki, nie dbając na wrzaski dokoła siebie, wyjmował z tobołów bieliznę i świąteczne szatki kolegów i jak dobra matka układał je z systematycznym porządkiem w drewnianych, jaskrawo pomalowanych skrzynkach, ustawionych przy łóżku każdego chłopca.

Boner, rozpalony widokiem kozaka przez prawdziwych Rusinów tańczonego, porwał mosiężną miednicę i rzemień ze sprzączką od tłumoka i walił w przyśpieszonym tempie, ile sił starczyło...

— *Che orgia! Che demoni! Che bestie infernali.* Czicho mi saras! *L'oreschie mi crevano!* Taki tańcy, to piekło balet... powi saras miłościwa królowa!

Piekielny balet zamarł w jednej sekundzie, miednica i bałabajka wypadły z rąk, oczy wszystkich chłopców skoczyły ku drzwiom otwartym, w których stała przemożna i przegruba, najstarsza dama dworska królowej Bony — Izabella Papacoda.

— Powi miłościwa pani, *che pазie diaboli incarnati...* zawoła pan Strasz... — piszczała przeraźliwie, granatowa ze złości Włoszka.

Pawełek Szydłowiecki, jedyny, który umiał po włosku, pokłonił się z uszanowaniem i przeproszał za siebie i za towarzyszy, że przez nieuwagę i zapomnienie dopuścili się takiej niegrzeczności.

Donna Izabella przestała sapać; uprzejme słówka płynnie wypowiedziane złagodziły jej furję; spojrzała nawet dość mile na przystojnego i układnego pазia i całe zajście byłoby się ku zadowoleniu wszystkich zakończyło, gdyby nie... Kupido! Nie ten malutki bożek skrzydlaty z zawiązanymi oczkami, ach nie!

Był to inny Kupido, czworonożny, z wydłużonym pyszczkiem i cieniuchnymi nóżkami... najukochańszy charcik signory Papacody. Przez nie domknięte drzwi komnaty wybiegł za swoją panią, a usłyszawszy wrzaski, wpadł, szczekając zajadle, między paziów, rzucił się na oślep z wściekłością i ostrymi zębami rozdarł jedwabną nogawicę małego Czemy, kalecząc go przy tym w nogę.

Wtedy Krystek, acz cichy i ślamazarny, nie pozbawiony jednak ludzkich uczuć, kopnął psa z całej siły tak, aż na łokieć w górę wyleciał i skomlać żałośnie, skrył się w gęstych fałdach sukni donny Izabelli. Włoszka syknęła przez zęby jakąś specjalną klątwę, chwyciła pieska na ręce i trzasnąwszy drzwiami, aż szyby zadzwoniły, pobiegła do siebie.

— Nu, ależ baba wąsata! Chciałby ja za rok mieć pół takie wąsy! — dziwował się Montwiłł.

— Wąsy, nie wąsy... — westchnął Szydłowiecki — będzie jutro bigos.

— Komu? Chyba nie nam, ino tej starej włoszczyźnie — zapiszczał Krystek oglądając swą zadraśniętą łydkę. — Wždy ludzie ważniejsi od psów!

— Ale pies panny Papacody to coś wcale przedniejszego niż jakiś tam durny paż — drwił Ostroróg.

— Patrzcie, patrzcie, jak się Czema zaindyczył...

— Kto by się spodział, takie to zawždy potulne...

— Jam go miał za ciepłe piwo... — podjudzali malca koledzy.

— Durny paż? Ja wam pokażę durnego pазia! Jeszcze mnie dotąd nie znali!

— Krzysztofie Czemo, zaklinam cię, wyznaj, co zamyślasz uczynić? — z udanym patosem zawołał Drohojowski.

— Wspomnicie moje słowo; zapłacę ja onemu Kupidynekowi. z nadsypką; rodzic by się mnie wyparł, gdybym się nie pomścił.

— Na psie? Cha, cha, cha!...

— Jemu doczynię, a jego pani zapłacze.

— A kto on zacz ten malec? — spytał z cicha Gedroyć Drohojowski.

— Syn kasztelana gdańskiego; ród możny i wielce szanowany' w województwie pomorskim.

— Ojoj, chłopcy... Odmiwas idzie! — krzyknął Montwiłł wskazując na przypiecek.

— Cóż znowu? Co ci się uwidziało?

— A prawda, chrząka na umor, aże grzmi w całym korytarzu.

— Chrząka? To zły znak.

— Już mu ta stara jędza nabajała, co wlało.

— O rety!... Szydłowiecki... stań na wierzchu, on cię lubi. mniej będzie łąjał.

— Bóg ci zapłać, wolę nie.

— Hhrrrum... — zahuczało donośnie i jegomość pan Stanisław Odrowąż Strasz wszedł majestatycznie z groźną miną do izby.

— Matko najślicniejsza... wie wszystko... — szepnął Czema aa ucho Ostrorogowi.

— Cóż, chłopcy, roztasowaliście się? W skrzynkach groch z kapustą? Hhrrum.

— Już poskładane podług rozkazu waszej miłości; może raczycie zajrzeć do skrzynek, jak porządnie wszystko leży: bielizna po jednej stronie, a...

— Dobrze, dobrze; nie zapraszałbyś tak skwapliwie, gdyby co szwankowało.

— Nie wie o niczym — mruknął Drohojowski.

— A gdzież to Montwiłł? Raz na zawsze przykazałem, po zachodzie słońca wychodzić nie wolno i basta.

— Oooh.. — dało się słyszeć stękanie za kapą komina — głowa mię tak strasznie rozboleła, więc ległem co nie bądź. zdrzemnąć się, za pozwoleniem waszej miłości.

— Za moim? Kiedyżeś mnie o pozwolenie pytał? A ty, Czema, co się tak wciskasz za Mikołkę?

— Nogawicem rozdarł, proszę waszej miłości.

— Pewnikiem z psikusów? Hhrrrum.

— Nie widział się z Papacodą... — zaszemrało w stronie Bonera.

— Na gwoździu zaczepilem.

— Oddaj wczas rano do szatni, to ci Salomea albo Grzybowska naprawi. A przykażcie Kubie, coby was skoro świt pobudził; Szydłowiecki i Gedroyć jutro na służbie przy osobie miłościwej pani.

— Za łaską pana ochmistrza, mógłbym się zapytać, którzy wraz z nami na pokoje iść mają?

— Zbędna ciekawość; dowiesz się jutro. Zresztą drobnostka to, nie tajemnica. Herbut, Zbylitowski, Pieniążek, Stadnicki, Tarnowski, Zborowski, Korybut, Kazanowski, Bielski i Czarnkowski.

— Dziękuję waszej miłości.

— Barwa odświętna, ciżmy nowe, zachowanie jak najprzystojniejsze, bym się was nie powstydził!

— Panie ochmistrzu, toć...

— Milczeć! Wiem, co mówię. Niejednokrotnie już dochodzą mnie słuchy o nieokielzanych swawolach waszych; nie próbójcie mej cierpliwości, bowiem wątpa jest i łącno się zrywa. Jak wam to zresztą z dawna wiadome..

— Wasza miłość nam przygania, zawżdy ino nam.. wszak paziów jest dwustu!

— Tamci stu dziewięćdziesięciu trzej to baranki bieluchne naprzeciw was; Boner jeden obstoi za czterdziestu.

— Żeby ino złapał tego, co o mnie takowe oszczerstwa sieje!



— Milczeć! Już ja was znam jak złe szelągi, niecnoty jedne!

Gedroycia mniej, bo za krótki czas; że się ano was czepił od pierwszego wejrzenia, to mi starczy; poznał swój swego! Co się zasię tyczy nowego mieszkania, ostro przykazuję sprawiać się skromnie, przez hałasów, przez krzyków; w pobliskości są sypialnie panów medyków, komnaty panien dworskich.

— Bóg łaskaw, na sługi swoje... nie widział się z tą czarownicą.

— Ale, ale, Krystek... chodź ino bliżej — rzekł pan ochmistrz i pokręcił za ucho nieszczęsnego Czeme — jakże to pieskowi signory Papacody? Amor... Kupido... nie pomnę. — Bo on mnie ugryzł do krwi! Niech wasza miłość pojrzy...

— Ugryzł cię? A... to co innego; ale po cóż kłamałeś, żeś rozdarł na gwoździu? Dzwopią na wieczerzę — marsz!

I ruszył przodem, a chłopcy w podskokach, za nim. Nie wszystkim jednak pilno było: Jędrus Boner i Krystek Czema wlekli się na ostatku, zawzięcie o czymś rozprawiając.

— Jędreku... mojesz ty; pójdziesz ze mną do miasta jutro rano? Tyś mądry i sprawny do wszystkiego, a ja bym sobie nie dał rady.

— Ehe, a Odmiwaj co na to?

— Wždy nie łazi za mną jak niańka; służby jutro nie mam, skoczmy do miasta jak po ogień i w te pędy z powrotem.

— Ino, jak... tego... to drzwi zasuń dobrze, coby cię kto nie spłoszył.

— To się wie; Szydłowiecki i Gedroyć na pokojach królowej, Montwiłł nikomu nie wadzi, ino mu spanie w głowie, Jasiek z Mikołką mają iść na palcaty do tamtych, a my dwaj... no bo mi pomożesz i przy robocie, prawda?

— A jakże; nie pomógłbym? Naczynie jakie dobre masz? — Jak będziemy wracali z miasta, można będzie kupić garnek po drodze.

— U Kasprowej?

— Lepiej u Maguliny, co pod Długoszowym domem z garnkami siedzi; prosto od niej skoczmy na górę i jużemy w domu.

— Słuchaj no, o kiełbasie nie zabacz.

— Ho, ho, kupię choć z pół łokcia.

— Czy się ino da zwabić?

— Ij... kiełbasa wszystko sprawi; zobaczysz, jak mnie umiłuje, ino gwizdnę przyleci, a potem... chi, chi, chi... żeby się tylko udało!

— Co się nie ma udać? Dołoży się wszelkiego starania; no, już moja głowa w tym, że go i rodzona matka nie pozna.

# ROZDZIAŁ I

## FIGIEL KRZYSZTOFA CZEMY

Już od pierwszych chwil przybycia swego do Polski założyła sobie królowa Bona szereg zmian, upiększeń, przeróbek w starej, wiekowym trwaniem czcigodnej siedzibie Piastów i Jagiellonów, a Zygmunt, zakochany w młodziutkiej żonie, wszystkim jej zachciankom przytakiwał, na wszystkie nowości pozwalał.

Jak już z rozmowy chłopców dowiedzieli się czytelnicy, pierwotna liczba paziów pomnożona została blisko dwadzieścia "razy; najstarsze części zamku burzono, by na ich miejsce wznieść nową, piękną budowlę, pałac w stylu odrodzenia.

I urodzajne sady, rozsiadłe od wieków na stokach wawelskiej góry, nie znalazły łaski przed obliczem młodej pani. Stare grusze i jabłonie w pobliżu komnat królowej padły w pierwszym zaraz roku pod ciosami siekiery, a ogrodnicy włoscy sadzili co wiosną i co jesień z niezmiernym trudem sprowadzane krzewy południowe, kopali sadzawki, urządzali fontanny, grupowali piękne klomby, a w cieniu wonnych krzaków migdału wyznaczali miejsca na ławki, które znów kamieniarze, ociosawszy foremnie, jak najspieszniej wkopywali w ziemię.

Na szczęście, wirydarzyk maleńki, ulubiony zakątek królowej Barbary Zapolyi, wciśnięty w załomie góry u stóp baszty sandomierskiej, uszedł bacznym oczu ogrodników, czyli też może jedno słówko z ust króla powstrzymało ich zapał, dość że parę lip rozłożystych, jabłonka, śliwek i wiśni kilka ocalało od śmierci, a w miejscach do słońca zwróconych kwitły konwalie wiosenną porą, później róże, lilie, malwy i ostróżki na grządkach, a w głębi pod murem srebrzystozielone mięty, ruta drobnolistna i fiołkowe główki macierzanek.

W tym to ustromnym ogródku bawiły się całymi dniami sierotki po Barbarze, malutkie królowny Jadwiga i Anna, pod dozorem pani Szczepanowej, starej doświadczonej służebnej, która jeszcze nieboszczkę królowę była wyniańczyła.

Gdy w roku 1520 umarła młodsza dziecinka, czteroletnia księżniczka Anna, starsza Jadwiga, nieco zaniedbana przez obojętną macochę, rosła swobodnie pod opieką najzacniejszej i całą duszą przywiązanej niańki, która jednak mimo najlepszej woli nie umiała wychowywać córki królewskiej tak, jak tego jej wysokie urodzenie i przyszłe stanowisko wymagało. Pani Szczepanowa była kobietą prostą i jedynie skutkiem długiej służby przy dworze nabrała trochę ogłady. Od śmierci Anusi minęło lat cztery, a jedenastoletnia księżniczka Jadwiga prócz pacierza, łatwych ręcznych robótek i odrobiny włoskiej mowy — nie umiała nic więcej.

Nazajutrz po przeprowadzce paziów dobrze już było z południa, gdy drzwi przedsionka zamkowego, prowadzące na ogród, służba otwarła na rozcież, a w nich ukazała się królowa z orszakiem swych ulubionych Włoszek i kilkunastu paziów.

Sześć lat minęło, odkąd piękna księżniczka mediolańska poślubiła Zygmunta I, a uroda jej wspaniała nie tylko nic nie straciła na swej świetności, ale owszem, wzmogła się i przyodziła majestatem. Królewski małżonek, zakochany nieledwie do szaleństwa, uwielbiał jej wdzięki, jej wszechstronne wykształcenie, jej dowcip wykwinny, a nie widział — czy nie chciał widzieć — licznych wad i brzydkich stron jej charakteru, którymi w późniejszych latach zatruwała mu życie i ciężko się dała we" znaki nie lubianemu przez się narodowi.

W czasie owym jednak była Bona zjawiskiem precudnym, jedną z najpiękniejszych niewiast na świecie.

Szła tedy wysoka, kształtna, pełnej a smukłej kibiści: w każdym calu królowa. Główkę jej wieńczyły faliste zwoje bujnych złotych włosów, zdobne upięciem splecionym z pereł; deli katna płeć blondynki w przeciwieństwie do hebanowych brwi i ciemnych wielkich oczu olśniewała białością; długi, zgrabny nos i bródka ślicznie zaokrąglona tworzyły całość nad wszelki wyraz piękną. Suknię miała z jedwabiu srebrzystego, haftowaną w girlandy z róż. Stanik głęboko wycięty w kwadrat, a krojem swym przedłużający niepomiarnie kibić, miał z przodu trzy równoległe wyszycia z drobnych pereł. Rękawy bardzo wąskie rozszerzały się powyżej łokcia, a ściągnięte srebrną wstęgą sterczały na ramieniu sztywną bufą. Spódnica, układana w grube fałdy, rozciągała się po ziemi, co było uważane za konieczne dopełnienie stroju i nazywało się powłokiem. Złoty łańcuszek, wysadzany drogimi kamieniami, otaczał szyję Bony i przytrzymywany u góry diamentową przepinką, spadał aż do pasa, gdzie znowu zakończyła go klamerka z rubinów.

Królowa przebierała od niechcenia palcami ogniwa łańcucha, okazując przy tej niby bezwiednej zabawce wążutką małą rączkę i pierścionki drogocenne na długich, różowo zakończonych paluszkach. W lewej ręce trzymała cieniuchną chusteczkę z szerokim szlakiem koronkowym.

Damy dworskie, same Włoszki, towarzyszyły królowej. Izabella Papacoda niosła krosienka najjaśniejszej pani; Marina Arcamone, ochmistrzyni dworu, miała w pogotowiu duży wachlarz od słońca; Laura Beltrani, lektorka, dźwigała kilka tomów poezyj do wyboru; Beatrycze de Macris kosz z jedwabiami i perełkami; Lukrecja Caldorra i Hipolita de Opulo, najmłodsze z dam dworskich, nie zaszczycone w tym dniu żadnym poleceniem, szły na ostatku i szeptały sobie widno coś bardzo wesołego, bo to jedna, to druga zasłaniała usta chusteczką, tłumiąc niestosowne w pobliżu królowej chichotanie. Sześciu paziów w barwie Sforzów postępowało po obu stronach alei równoległe z paniami, drugich sześciu zamykało orszak królowej.

Pan ochmistrz wybierał zazwyczaj najurodziwszych i najrzęczniejszych ze swych wychowanków do usług miłościwej pani. Ani ospały Montwiłł, ani przysadzisty Czema, ani Wiśniowiecki jąkała, ani czerwonołosy Kostka nie dostępowali tego zaszczytu. Za to król jegomość nie zwracał uwagi na powierzchowność, dla każdego z malców zarówno bywał łaskawym i sprawiedliwym.

Na co dzień nosili paziowie szaraczkowe lub granatowe sukienne ubrania; od święta i na służbie musieli być strojnie przyodziani. Dziś więc każdy z dwunastu miał berecik jasnoszafirowy, aksamitny, z białym strusim piórkiem, koszulkę białą, atlasową, z koronkową krezką, suto namarszczoną i sztywnie przylegającą do szyi aż pod same uszy. Szatka zwierzchnia z tego samego aksamitu co beret, nisko wycięta wzorcem kobiecych sukien, a wdziewana przez głowę i dlatego zwana nasuwniem, nie miała wcale zapięcia ani guzików; w pasie zaś przytrzymana była złotą taśmą, u której wisiała jedwabna torebka. Sute rękawy ujęte były w trzy bufy i ponacinane szeroko w kilku miejscach, przez które to przecięcia wyglądał biały atlas koszulki; od ramienia po łokieć aksamitne, od łokcia do ręki białe atlasowe, zakończone koronką dokoła ręki. Nogawice bardzo obcisłe, z niebieskiego jedwabiu, także safianowe ciżemki.

Donna Marina Arcamone, wysoka siwiejąca brunetka, złagodziła swe zazwyczaj złośliwie skrzywiane usta słodkawym uśmiechem i z wyrazem uwielbienia słuchała słów królowej, rzucając od czasu do czasu jakieś krótkie zdanie dla podtrzymania rozmowy. Orli jej nos, zapewne bardzo kształtny za młodu, zaostrzył się z biegiem lat i począł mieć niejakie konszachty z brodą, która się ku niemu uprzejmie wysuwała. Brwi, podniesione wysoko nad wypukłymi oczami, nadawały jej twarzy wyraz wiecznego pytania. I rzeczywiście pytanie, a raczej badanie i podpatrywanie były treścią jej życia i zajęcia przy dworze. Z lubością wywiadywała się o ważniejszych, mniej ważnych i zupełnie błahych zajściach, snuła domysły, a czasem nawet przedła leciuchne, pajęczne nici intrygi.

— Warto by zajrzeć do nowego ogrodu — rzekła Bona — ciekawam, jak się sprawiają moje pinie i

cyprysy, i co Paolo obsadził dokoła altany.

— Wasza królewska mość raczy sobie skrócić drogę przez wirydarzyk czy woli obejść wzdłuż murów? — spytała Beatrycze de Macris.

— Ach, oczywiście, że lepiej prosto niż kołować — odparła Bona. I całe towarzystwo skierowało się ku ogródkowi księżniczki Jadwigi.

Dziewczynka klęczała właśnie przed krzakiem róży i ostrym nożykiem obcinała przekwitłe kwiatki. W cieniu lipy na ławce darniowej siedziała Szczepanowa i szyła jakąś bieliznę. Na widok przechodzącej królowej staruszka dźwignęła się z trudem i skłoniła pokornie; mała królewna przerwała także swe zajęcie, powstała z klęczek i złożyła ukłon nie przynoszący niestety wielkiego zaszczytu jej wychowawcy.

Bona skinęła z lekka głową i uśmiechnęła się do signory Arcamone ze wzgardliwą litością. Gdy jednak minęły wirydarzyk, przystanęła, coś sobie jakby przypominając, i rzekła do ochmistrzyni:

— Zechciejcie poprosić królewnę, by się połączyła z nami i przeszła do nowych ogrodów, gdzie zasiądziemy z robotą i słuchać będziemy zajmującej lektury.

Stara dama zawróciła się skwapliwie i pobiegła, o ile jej nogi starczyły, do wirydarza.

— Przychodzę z zaproszeniem od najmiłościwszej pani na robótkę i czytanie w nowym ogrodzie — wyrecytowała urzędowym tonem, bez cienia uprzejmości.

Dziewczynka skrzywiła się nieznacznie i spojrzała pytająco na niańkę.

— Proszę pójść ze mną, najmiłościszka pani czeka.

Na twarz Szczepanowej uderzył ciemny rumieniec, płótno zadrzało w jej rękach.

— Czy waszmość panna nie wiesz, jak się przemawia do królewskiego dziecka? Swojej równej gadaj, wasza miłość, „proszę pójść ze mną”. Gdyby król jegomość słyszał podobne zuchwalstwo!

— Nie przyszłam tu po nauki do pani Szczepanowej — odparła ochmistrzyni drwiąco. — Jeżeli się tak rozumiecie na dworskich przepisach, to lepiej nauczcie jej królewską wysokość wytworniej szych ukłonów... bardzo by się to przydało, bo istotnie chyba nikt nie odgadnie, patrząc na nią, że ma z księżniczką do czynienia.

— Cicho, nianiu — głaszcząc staruszkę po rozognionej twarzy, szepnęła Jadwiga i dodała głośniejszym głosem — ja nie zważam na mowę tej pani; słyszę ino, że jej królewska mość matka najmiłościszka prosi mnie do siebie, więc chętnie idę.

Podniosła główkę dumnie, nie racząc spojrzeć w stronę donny Mariny, i wybiegła szybko, ani się na nią oglądając.

Włoszka zbladła i zacisnęła pięści w bezsilnej złości...

Nie ona jedna, zacisnął je także Konstanty Gedroyć, przechodzący w orszaku paziów za królową. Widział i słyszał wszystko i gniewem wezbrało mu serce.

Księżniczka Jadwiga przysunęła się do królowej i szła ciągle tuż przy jej boku, z pogodną twarzą, jakby niepomna tylko co doznanej przykrości.

Nowy ogród zawiódł nadzieje Bony: piękne krzewy południowe, z największą troskliwością zasadzone o wczesnej wiosnie, do starannie przyrządzonej i użyźnionej ziemi, strzyżone i pielęgnowane umiejętnie przez ogrodników, nie chciały się jakoś przyjąć, wyglądały słabo i wątło, marniały w oczach, a niektóre z nich uschły na dobre i wznosiły w górę nagie, czarne badyle. Królowa spoglądała z gorzkim uśmiechem na biedne karłowate roślinki, obeszła kilka ścieżek, dotknęła ręką więdnących liści, pochyliła się nad grządkami zamorskich kwiatów, wreszcie ruszyła ramionami i rzekła z gniewem:

— Zaiste, martwe stworzenia rozumnie się zachowują od ludzi, nie chcą żyć w tym kraju bez słońca i ciepła. Stęsknione oczy moje nie ujrzą już pinij rozłożystych ani cytryn o połyskliwych liściach i

złotych owocach, ani wysmukłych cyprysów, ani srebrnozielonej oliwy... Ach, co za kraj! Niedźwiedzi i turów ojczyzna... jakże dumną jestem, że danym mi było urodzić się w słonecznej Italii.

— Słowa najmiłościwszej pani znajdują echo w naszych sercach — rzekła z przymileniem donna Arcamone — lecz komu los pozwolił zażyć szczęścia z przebywania w pobliżu waszej królewskiej mości, ten jako żywo nigdy dziwić się nie będzie, że dla kwiatu tak doskonałego ino boska Italia mogła być ojczyzną.

— Gdy sobie spomnę — mówiła dalej Bona z łaskawym wejrzeniem na ochmistrzynię — to nasze niebo z ciemnego szafiru, tak przecudne, tę wieczną zieleń i z różnobarwnego kwiecia kobierce, to słońce pełne żaru, te wonne gaje pomarańczowe, a patrzę na smętne szare obłoki, przysłaniające przez połowę roku blade słońce północy, próżne siły żywiołej, gdy widzę one wierzby i brzozy ze zwieszonymi żałobnie gałęzmi, to mi jakiś lęk serce ogarnia i zda mi się, że nie wytrwam na tym wygnaniu i raczej królowanie porzucę, byle...

— Najmiłościwsza pani... król jegomość przechadza się po tamtej ścieżce z mistrzem Bereccim; zapewne ku nam się zwróca.

— Lauretta... pojrzyj no, kto. jest ten przygarbiony człek, co się tam na ławie w słońcu wygrzewa. Głowę wsparł na rękę, nie widzę twarzy.

— To magister Johannes Krabatius, miłościwa pani.

— On? Przecz tak znękany?

— Rozkaże najjaśniejsza pani spytać go?

— Nie trzeba, sama go zagadnę.

Jedną ręką wspierając się na lasce, drugą na poręczu ławki, z ciężkim wysiłkiem powstał stary Niemiec na powitanie królowej.

— Dzień dobry, signore Krabario — rzekła Bona uprzejmie — cóż tam u was słyhać?

— Pokorne służby u stóp waszej królewskiej mości składam; ze mną jest bardzo źle.

— Czy kłopot, czy zmartwienie jakie?

— To jest największy kłopot... to jest największe zmartwienie... ja jestem bardzo słaby.

— Nie trapcie się waszmość; wždy, jako medyk, łączno zwyciężycie chorobę.

— To jest właśnie największe nieszczęście, że ani przyczyny zrozumieć, ani symptomatów poznać dotąd nie mogłem. Jak piorun to na mnie nagle spadło... wczoraj w południe zdawało mi się, że ja jestem zdrow jak jedna ryba.

— A dziś?

— Na przemian ogień mię pali, to jest mi zimno jak lód, głowa chodzi w kółko, żaden apetyt, serca pukanie, ani godzina snu... ach, darujcie mi, najjaśniejsza pani, nadto się rozgadałem; lecz wiadomo: *ex abundantia cordis* \*...

— Życzliwym uchem słucham i chętnie bym ulżyła. Nie próbowaliście żadnych leków?

— Zaraz wieczorem puściłem sobie sześć uncyj krew; dziś południe jeszcze jeden raz tak wiele.

— Powinno się okazać polepszenie; co by to była za chorość? Ni stąd, ni zowąd; czy nie zawianie, a prędzej jeszcze *malocchio*...nie macie posądzenia, by was kto urzekł podstępnie?

— Żaden ślad takiej myśli, miłościwa pani! Chorość już z dawna we mnie skrycie musiała tkwić, ino nie dawałem na to uwagi. Przed wieczorem dopiero paziowie, co podle mej sypialni od wczoraj zamieszkali, spostrzegli, że idzie mi źle, i wiele mi przychylności okazali. Niech, jak się to nagle objawiło, Szydłowiecki sam powie, prawda? Waszmościowie ze mną sąsiadujecie; ten drugi młodzieniec także. Bardzo poczciwe chłopcy.

Gedroyć i Szydłowiecki, na poły zmieszani, na poły rozbawieni widokiem choroby z przywidzenia,

którą Jaś Drohojowski jednym niebacznym żartem wywołał, stali zaczerwienieni po uszy i milczeli.  
— A czyby nic było dobrze, gdybyś waszmość wyjechał na południe? Często zmiana powietrza gubi chorobę. Ot, wysyłam w tych dniach zaufanego a wielce uczonego męża do Italii, by zakupił dla Akademii Krakowskiej dzieła autorów greckich i łacińskich, świeżo wydane w typografii weneckiej. Moglibyście się wybrać razem.  
— Silvius Siculus?  
— Tak jest; wyjeżdża w przyszłym tygodniu. Miłym byłby dla waszmości towarzyszem, a podróż do ukochanego kraju mego, ojczyzny wszelkich nauk wyzwolonych, kolebki sztuki i poezji, odświeżyłaby i podniosła ducha waszego. Choćbyście nic więcej widzieć nie mieli, jak najnowsze dzieło mistrza Leonarda, malowidło przedstawiające Wieczerną Pańską, tuszę śmieje, że od zachwyty dusznego zdrowie by wam w pełni powróciło. A tu... czyż w tym barbarzyńskim kraju wiedzę, czują, rozumieją cokolwiek? Czy tu jest jaka nauka albo sztuka?

— Wdzięcznie przyjmie Akademia waszmości dar waszej miłości — rzekł król stając niespodzianie pomiędzy rozmawiającymi. — Cieszyć was będzie, małżonko miła — mówił dalej — gdy spomnicie, że w godne ręce dostaną się one księgi uczone; toć przeszło od wieka szkoła krakowska wydaje męża mądrością sławne, a jej uczeń, Mikołaj Kopernikus, nieśmiertelną chwałą polskiego imienia właśnie napęnia świat cały.

Bona słuchała słów męża ze spuszczonej oczyma, zmieszana i zawstydzona.

— Prośbę mam wielką, miłościwy królu — zawołał zniechęca Stańczyk, nieodstępny trefniś Zygmunta I, i pokłonił się do samej ziemi, aż dzwonki u czapki zabrzęczały.

— Cóż tam nowego umyśliłeś?

— Aha, zgadłeś, królu, o nowość mi chodzi. Wybieram się jutro do Włoch; dasz mi pieniędzy na drogę?

— A ty tam po co?

— Po błazeństwo.

— Zaliż go mało masz w Polsce? — ostrym głosem spytała Bona.

— Jest ci ta coś niecoś na codzienną potrzebę; lecz gdy wszystko zdaniem pani najmiłościwszej znamienitsze jest w tej krainie wybranej, przeto i błazeństwa nowomodnego a doskonałego nie gdzie indziej dostanę. Daj, królu, na drogę; zobaczycie, jakim ja to arcybłaznem powrócę.

Roześmiał się Zygmunt, zachichotali paziowie, królowa skrzywiła usta z niesmakiem, a panny dworskie, znalazłszy się między młotem i kowadłem, stały sztywne, poważne i bez wyrazu, istne lalki drewniane.

— A gdy chodzi o sztukę — mówił król, nawiązując przerwana rozmowę — nie tak znów ubodzy jesteśmy, byśmy się aż trapić mieli, toć mistrza Wita piękne dzieła nie mają sobie równych. Co się zaś tyczy nowszej sztuki, radzi ją w naszym kraju zaszczipimy. Oto właśnie mistrz Bartolomeo wykończył abrysy do budowy nowego pałacu, jaki wasza królewska mość mieć żądasz. Oglądałem to już i właśnie zdania waszej miłości przyszliśmy zasięgnąć, czy kruzganki kolumnowe, okalające podworec, należy dać ino na pierwszym i drugim piętrze, czy także i na dole?

Mistrz Berecci rozwinął przed królową plany i tłumaczył, co te lub owe linie oznaczały, a król, zadowolony z delikatnej nauczki, jaką dał żonie za jej niesprawiedliwe mowy, uśmiechał się nieznacznie i w roztargnieniu głaskał po główce małą księżniczkę Jadwigę.

Król Zygmunt, mężczyzna wówczas pięćdziesięciokilkolletni, robił wrażenie człowieka jeszcze młodego, w całej pełni sił męskich. Wyniosłej budowy ciała, szeroki w ramionach, dobrej, lecz proporcjonalnej tuszy, postacią swą uosabiał potęgę i silną wolę. Głowę miał bardzo foremną, profil rzymski, oczy przenikliwe i mądre, ocienione gęstymi brwiami, usta dumnie zarysowane z wysuniętą

naprzód dolną wargą, wspólne Jagiellonom dziedzictwo po Elżbiecie austriackiej. Ciemne włosy nosił ówczesną modą długie, lecz dla wygody lub w gorące dni letnie podczytywał je nieco w górę i pokrywał nagłownikiem siatkowym, z cienkich jedwabnych sznurków złocistych plecionym. Toteż dziejopis jego robi wzmiankę, że „w czepcu rad chadzał”.

Nosił się zazwyczaj ciemno i dziś więc odziany był w szubę z cienkiego, cynamonowej barwy sukna, bramowaną sobolami. Nogawice obcisłe, ciemne, ciżmy naturalnego koloru skóry. Tak przedstawiał się król Zygmunt na zewnątrz.

Dusza królewska równie wspaniałe i imponujące miała cechy, jak ciało. Z natury małomówny bardzo, roztropny i sprawiedliwy, nad czynem każdym, jak i nad słowem rozważał długo; za to raz powziąwszy jakiś zamiar lub wypowiedziawszy stanowcze zdanie, trzymał się go uparcie i nigdy nie zmieniał. Gdy co przyrzekł, dotrzymał świącie, i za największą chlubę uznawał, jeżeli sprawdził, że na czyimś słowie polegać było można.

Jedyne, co go kiedykolwiek zastraszało, to myśl, czy ten lub ów postępek zgodny jest z prawem i z chrześcijańską uczciwością. Nawet w rzeczach małej wagi pytanie: uchodzi? nie uchodzi? było mu zawsze probierzem. Szczęście osobiste, pomyślność kraju niczym mu były, gdyby je przyszło okupić czynem nieprawym. Przysłowiowe wyrażenie „*dedecet*” (nie uchodzi) często bardzo miał na ustach. Gorliwy chrześcijanin, brzydził się nowatorstwami religijnymi i wzgardę miał dla odstępców od Kościoła Rzymskokatolickiego.

Gdy tak stali przy sobie oboje z Boną, tworzyli parę małżonków skończenie piękną i fizycznie jak najdoskonalej dobraną. Rozum i wykształcenie Bony również znakomitymi nazwać można było; jedynie dusza jej i charakter odbiegły od ideału, którego żywym wcieleniem był Zygmunt.

Budowniczy, odebrawszy pewne wskazówki i zanotowawszy sobie życzenia królowej, oddalił się; król pozostał z całym towarzystwem.

— Wybrałyście się wasze miłości, jak widzę, z robótkami do ogrodu na pogawędkę. Gdzież działki? Czy w sadzie?

— Bellina kaszle, a Zygmunta lękam się wypuszczać z komnaty, powietrze za ostre.

— Pieścisz je wasza miłość nad miarę; ciepło, sucho, powietrze zdrowe; ja bym radził nawet Zosieńkę wynosić na parę godzin na słońce, a starsi śmiało po całych dniach bawić się mogą z Jadwisią przy Szczepanowej.

— Obawiam się...

— Pomnijcie, królowo moja, że nie ino włoska, ale i pełna wigoru polsko-litewska krew płynie w żyłach naszego potomstwa. Nie wygrzewać przy piecu, nie chronić od lada powiewu; zdrowe córki chcę mieć i syna dzielnego, a nie panięta z morskiej piany!

— Jutro nie omieszkać spełnić wolę waszej miłości; dziś zda mi się już za późno.

— Zapewne. Aa... księgi na stole! Jejmość panna Beltrani przeczyta nam coś pięknego. Zasiądźmy i słuchajmy.

— Na czymżeśmy to stanęli? — spytała Bona.

— Czytałam wczoraj, jako Rugier zwyciężył Eryfilę dziewięsiłkę i szedł do pałacu Alcyny — odpowiedziała Laura.

— Ariosto? — spytał król.

— Tak jest, proszę waszej królewskiej mości, „Orland szalony”.

— A Jadwisią rozumie do tyła włoską mowę?

— Przysłuchuję się ciekawie i rozumiem bez mała, najmiłościwszy ojczy — odpowiedziała dziewczynka, całując króla w rękę.

— Zaczynajcie, proszę, słuchamy.

Laura szukała chwilę po strofach oczami i tak zaczęła: *Zbiwszy bohater z konia sprośną białogłową  
Dobyl miecza...*

— To już było... — przerwała czytanie królowa. Mruczając półgłosem, lektorka przebiegła parę strof i czytała dalej:

*Sama tylko Alcyna wszystkich zaś pięknnością  
Przechodzi jako słońce gwiazdy swą jasnością  
Stan tak piękny i tak ma dobrze pomierzony,  
Jaki tylko zmaluje malarz nauczony;  
U długiej i na węzły powiązanej kosy  
Lśniły się, jako złoto, jej żółtawe włosy.  
Róże się wychowane w sabejskich ogrodach  
Z fiołkami rozeszły po gładkich jagodach;  
Z gładzonych alabastrów ma wyniosłe czoło,  
Którem po wszystkich stronach obraca wesoło  
Pode dwiema cienkimi czarnemi łukami Są dwie oczy, ale je lepiej zwać gwiazdami. Oczy pełne  
litości, same w się ubrane, W których skrzydlata Miłość gniazdo ma usłane. I widać prawie  
dobrze, kiedy z nich wychodzi I łuk ciągnie, i w serce widomie ugodzi. Twarz dzieli nos tak piękny  
- wolę was nie bawić, Że sama zazdrość nie wie, gdzie by go poprawić.  
Pod nim wdzięczne w niemniejszej zostawując chwale  
Są usta, w przyrodzone ubrane korale;  
W nie dwa rzędy wybranych perel...*

- *Morisco!... Dio mio... sono morta!...* — przeraźliwy pisk Lukrecji Caldorri przerwał czytanie...  
Najmłodsza z panien dworskich tak się czegoś przelękła, że nie *bacząc* na majestat i osoby  
królewskie, wskoczyła na ławkę i drząc na całym ciele, krzyczała wniebogłose. Wszyscy patrzyli na  
nią ze zdumieniem; biedactwo było tak nieprzytomne, że nawet Bona nie poczuła się obrażoną jej  
niesfornym zachowaniem.

— Czego krzyczysz?

— Co ci się stało? Czy cię zmija ugryzła? — pytały towarzyszki przestraszone.

— Tam... tam... potwór... ach! sunie ku nam... *Santa Margerita! San Giorgio! Difendete mi!* —  
wzywała świętych skutecznych przeciw smokom.

Inne panny, spojrzawszy w kierunku jej oczu osłupiale zapatrzonych, zerwały się jak oparzone i  
chórem zawiodły wrzaski nieludzkie.

A na samym końcu ścieżki, tuż za wirydarzykiem królowny Jadwigi, poruszało się ciężko jakieś  
istotnie niesamowite stworzenie...

Mała księżniczka przytuliła się do ojca, który ją objął ramieniem i patrzył ze śmiechem na dziwaczne  
miny i konwulsyjnie podskoki panien dworskich.

— Idźże waś zobacz, co tam takiego! — krzyknął na Stańczyka.

Ale ten padł na trawnik i *tarzał* się ze śmiechu, wierzgając nogami jak żróbek rozhukany w szale  
wesołości.

— Co za uszy kłapciaste! — wołała jedna.

— Czerwone jak płomień! — wrzeszczała druga.

— Pysk biały, ślepie w krwawych orbitach!

— Cielsko obmierzłe!

— Pręgi jak u tygrysa!



— Co za sierść nie widzianej maści!

— Zielona ,niczym trawa, a smugi po niej ceglaste!

— Ogon ptasi!

— Na nogach guzy jakieś czy narośle!

Potwór, co z początku włókł się ociężale i wahająco, nagle spuścił łeb ku ziemi, a uszy olbrzymie opadając łeb mu cały zasłoniły i biegł... pędził... leciał... aż... skoczył w objęcia na wpół omdlałej signory Izabelli Papacody. Nie ma na świecie pióra, które by zdolne było odtworzyć martwymi literami zgrzypienie ochryple, jakie wydała z siebie nieszczęsna dziewczica.

Znalazłszy się w bezpiecznej przystani straszycło wspięło się na tylne łapy, przednie oparło na szyi donny Izabelli i jęło ją lizać po twarzy różowym językiem.

— Kupidoł. *Poverino mio! Carissima bellezza mia!* — oblewając pieska strumieniem łez gorących, wołała dama.

A łzy te serdeczne zmywały po części farbę z sierści Kupidyńka, przenosząc ją na stanik, spódnicę, rękawy, a nawet, o zgrozo, na wygorsowaną szyję i wąsate oblicze signory.

— Jedno urodne i drugie niczego — dziwował się Stańczyk, potrząsając dzwoneczkami.

A król Zygmunt rozbawiony, jak może od młodości mu się nie przytrafiło, śmiał się, śmiał, śmiał do rozpuku.

- *Guardate che disgrazia!* Pomalowali cudni Kupidu! Uszy doprawili... do śliczny ogonek pióry kogutu... *la mia povera bestiolina!* Lapeczki mała owiązali *con conce... Briganti! Lazzaroni! Maledetti!*

— Nie domyślasz się wasza miłość, kto może być sprawcą tak niecnego figła? — spytała królowa ochmistrzyni.

Lecz nim signora Arcamone zdołała zebrać rozpierzchłe myśli, Papacoda krzyknęła łkając:

— Kto? Ja przysięgała na główka mój piesek, co to pазie uczynili... nie kogo innemu, ino pазie! A nawet powiedziała który: *questa canaglia di Cristoforo, il piccolo barbaro* Czi... Cza... *mi rammento gia! Czema! Certissimo!*

— Zaraz się to wyśledzi i bądź wasza miłość przekonaną, że z całą surowością wymierzmy karę — uspokajała rozszlochaną Włoszkę królowa — mocno mię ino dziwi, że wam, najmiłościwszy panie, ucieszną i śmiechu godną widzi się psota, która dokuczyła aż do rzewnych łez osobie tak zacnej i tak bardzo mi bliskiej, jak signora Papacoda. Gdyby coś podobnego Polkę spotkało, znalazłaby się sprawiedliwość.

Król spojrział surowo na żonę, lecz nie odpowiadając wprost na niesłuszny zarzut, dał znak ręką jednemu z paziów:

— Hej, Zbylitowski! Biegaj co żywo do pana ochmistrza Strasza, powiedz, że go prosimy tutaj w bardzo ważnej sprawie. Z nikim po drodze nie mówić słowa! Rozumiesz?

— Słucham, najmiłościwszy panie!

Pobiegł paź, sprowadził ochmistrza i wytoczono przed jego trybunał całe zajście z Kupidyńkiem. Jegomość pan Strasz, zarówno jak i Papacoda, sumiennie był przeświadczony, że to zemsta Krystka Czemy za pokąsaną łydkę; lecz na żądanie króla, który nie poszlak i podejrzeń, ale niezbitej pewności się domagał, postanowiono zwołać wszystkich dwustu paziów do ogrodu i badać jednego po drugim. Który by nie umiał się wytłumaczyć, co robił od godziny obiadowej do tej pory, będzie prawdopodobnie winowajcą. Przy obiedzie bowiem najmilejszy Kupido kręcił się jeszcze po pokojach fraucymeru we własnej swej, niezmienionej postaci.

Paziowie, zajęci cały dzień na służbie u króla jegomości i u najmiłościwszej pani, nie wchodzili oczywiście w rachubę, gdyż ani na krótki czas nie opuszczali pokoi królewskich. Tak więc nazwiska

tych dwudziestu czterech szczęśliwców wypisano na karcie papieru, a resztę zwołano. Pokazało się że wszyscy mieli lekcję łaciny zaraz po obiedzie aż do godziny czwartej, czyli podług ówczesnych zegarów do godziny szesnastej; następnie grali w palcaty na wielkim podwórku i prosto stamtąd zawołani przybiegli do ogrodu. Pan bakałarz, mistrz Ambroży z Olkusza, zaręczał, że na początku lekcji czytał ich nazwiska i nie brakowało żadnego; to jest właściwie trzech tylko nie stawiło się.

— Aha... hhhrrrum — odchrząknął ochmistrz — którzyż to?

— Dymitr Montwiłł, Andrzej Boner i Krzysztof Czema.

— Nie mówila? Nie mówila? — krzyczała Papacoda, wznosząc w górę pięści i dysząc zemstą.

Pan Strasz i pan bakałarz pośpieszyli na górę zrewidować mieszkanie obwinionych i osadzić ich w karceresie. Lecz, niestety, ani resztek farby, ani zrzyneków czerwonej materii, ani piórka jednego... nic nie znaleźli. Na oknie ino leżał ogryzek kiełbasy, atoli nikomu na myśl nie przyszło, by ten drobny szczegół miał jakikolwiek związek ze sprawą biednego Kupidyńka. W izbie nie było nikogo prócz Dymitra Mojntwiłła śpiącego twardo. Szarpali nim i trzęśli — ledwie się ocknął; a każde jego słowo i całe zachowanie się wobec sędziów świadczyły wymownie, że jak do łaciny, tak i do sztuki malarskiej nie posiada najmniejszych zdolności. Wzięty w krzyżowy ogień zdradliwych pytań ochmistrza i bakałarza, odpowiadał spokojnie, patrzył im prosto w oczy, a ziewał przy tym tak serdecznie, że, chcąc nie chcąc, musieli mu wtórować.

Gdy prześladowcy odeszli, zadumał się Dmytruś głęboko; chodził sumując wzdłuż komnaty i parę razy wyrwało mu się z ust pytanie:

— Taj czego oni chcieli ode mnie? Coże mnie wykręcali na wszystkie boki? Ot, tobi masz z taką robotą!

Nagle stanął, uderzył się ręką w czoło...

— Mamoż ty moja mileńka! Głupi ja, że nie zgadł od razu! Chłopcy nabroili znowuż i stary Odmiwąs obławę robi. Ani wątpić, Jędreku... jakbym go widział... a może i który jeszcze... tak, coże oni myśleli? Że ja im wydam kolegów, jak Judasz? Żeby mi się byli przyznali, tak może bym i obronił, ale co gadać, kiedy nic nie wiem. Wpadliście, sierotki, w kałabanię... nic to, nie bojcie się, już ja was wytaszczę, choćby się sam miał stalapać.

Zostawiam wyobraźni czytelników odtworzenie onej pracowitej godziny, w której dwie pary pilnych rąk przeistoczyły zgrabnego Kupidyńka w potwór apokaliptyczny\*, a uprzedzając astmatycznego Strasza i pulchnego, na krótkich nóżkach bakałarza, biegnę śladem złoczyńców. Nieśli oni cichaczem jak najustronniejszymi schodkami i korytarzami kosz z pokrywą do ogrodu. Tam również zapadli w boczne ścieżki gęsto zarosłe; dopiero przy baszcie sandomierskiej, tuż obok wirydarza królewny, skrywszy się za szkarpę, wypuścili swoją ofiarę.

— Teraz nie ma co dłużej popasać, drała nad rzekę! — zakomenderował Boner.

— Jak to... bez mur? Wždy nas kto pewnikiem spostrzeże

— Głupis... czy ci kazuję bez mur? Stoi przy furtce i pyta się.

— Nie zamknięta?

— Po zachodzie słońca dopiero straż zamyka wszystkie wyjścia na kłody; teraz ino zasunięte na skubel.

— A z koszem co?

— Weźmiemy go do rzeki, wypłukać trzeba dobrze, bo się ano cudnie usmarował i mógłby nas niechybnie zdradzić.

Wymknęli się tedy przez furtkę i zbiegli pędem po pochyłości góry nad Wisłę. Tam Jędrus, który miał w całym mieście przeróżne stosunki, skoczył do znajomego rybaka.

— Pożyczcie mi dwóch wędek, Szymonie. A śpieszcie się, na miły Bóg!

— Toli są, paniczku; ledwie co z Frankiem od wody powrócił.

— Rety... ryby może macie?

— Juści mam, pełen koszyk.

— Co za nie?

— Ile ta paniezek dadzą, tyle wezmę.

— Dwa złote chcecie?

— Dorzućcie ta parę groszy, bo ładnie mi się ułowiły.

— Na, macie; dawajcie chyżo. A niech was Bóg broni jedno słówko pisnąć komukolwiek, żeście je nam sprzedali! Złamanego szeląga nie dałbym wam już nigdy zarobić!

— Co bym miał gadać, pojem se ano i spać legnę, bo od rana w gębie nic nie miałem.

— Pamiętajcież!

Zbiegli chłopcy trzydzieści kroków nad sam brzeg rzeki, wypłukali kosz skrzętnie, przesypali doń ryby, kobiałkę Szymona wrzucili do jego łodzi, a sami zasiedli do pracy i zapuścili wędkę.

— Panie ochmistru... tędy, tędy, prosto nad rzekę — szeptał bakałarz — przeczucie mi mówi, że ich tu gdzieś znajdziemy. Pewnikiem polecili wykąpać się, bo to i ręce, i twarze muszą mieć uwalane jak ,nieboskie stworzenia.

— Pst... widzisz ich waszmość?

— Toli siedzą z wędkami, jak niewiniątka...

— Ha! Tuście mi, niewstydniki! Ciężki sąd i kara was nie minie!

— Ach, najdroższy panie bakałarzu! Wždy nigdy nie jesteście srogim dla nas!

— Miłościwy panie ochmistru! My się jutro wszystkiego wyuczymy *expedite*...

— Tak nas coś kusiło dzisiaj na rybki...

— No, no, bardzo proszę, przez krotofil... nie pomnażajcie swojej winy!

— Niechże nas Bóg broni przed takowym pomnażaniem! Wždy błagamy o przebaczenie po stokroć, żeśmy lekcję łaciny opuścili, ale na cześć naszą przyrzekamy powetować to jutro w dwójnasób.

— Milczeń! Hhrrrum... o pieska donny Papacody chodzi, niecnoty jedne!

— A to łotr bezecny... — oburzył się Krystek — kogóż znowu pokąsał?

— Dość już wykrętów... nie na gadanie do was przyszedłem; marsz na górę! Król jegomość wie o wszystkim i będzie was sądził.

— Co? Za parę werbów?

— Za jedną lekcję? Sam król?

— Milczeń! Marsz na górę, powiadam.

— Ale idziemy, idziemy, ino kosz z rybami trza zabrać.

— Z jakimi rybami?

— A o... tyle ślicznych karpi, karasi, nawet dwie szczuki...

— Od samego obiadu człek siedzi, pełen kosz nałowiliśmy.

— Wždy ich nie wrzucimy na powrót do wody — burknął zuchwale Boner.

— Wasza miłość pozwoli odnieść to do marszałkowskiej kuchni.

— Chcieliśmy się Serczykowej podchlebić; pięknieśmy wyszli!

— Za taką błahostkę do samego króla!

— Gdyby wasza miłość nie był tak zagniewanym, przysiągłbym, że sobie ino dworuje.

— Niechże pan ochmistru ulituje się ten ostatni raz, każe nam wlepić po dziesięć batów na kobiercu, pocałujemy go w rękę i sza!

— Jak Boga kocham, nijakiej uciechy biedny paż zażyć nie może!

Malcy paplali bez wytchnienia, jak najęci, a biedny Strasz i mistrz Ambroży stali zmieszani, zupełnie

zbici z tropu i poglądali na siebie, ruszając ramionami.

— Alibi... — westchnął ochmistrz.

— Alibi... — westchnął bakałarz.

— Słyszałeś, co mówili? — w samo ucho syknął Jędrus Krystkowi.

— No, to jakże... czegoś czekamy? Idziemy na tę górę, czy nie? — domagał się Czema z odwagą męczennika wiedzionego na tortury.

— Idźcie precz na złamanie karku! Niech was moje oczy nie widzą!

— Bóg zapłać waszej miłości; trzymajże i ty kosz, bo ciężki.

— Chodźmy — rzekł Strasz — trzeba królowi jegomości zdać sprawę.

— Właściwie rzekłszy, to chyba nie między paziami szukać trzeba winowajcy — zauważył Ambroży.

— I mnie się tak zdaje. Chwała Bogu.

W zamkowym ogrodzie tymczasem niewesoło się bawiono: królowa, rozdrażniona do najwyższego stopnia, mówiła niby do swych towarzyszek, lecz co drugie zdanie wtrącała jakiś przytyk do męża, tonem szorstkim, zjadliwym. Robiła to jednak o tyle zręcznie, że można było nie rozumieć tych przykrych słówek i król Zygmunt, nie chcąc doprowadzać do poważniejszego nieporozumienia, starał się nie słuchać i nie słyszeć tej niebezpiecznej rozmowy.

Signora Papacoda pobiegła z ukochanym zwierzątkiem do swej komnaty, by za pomocą wody, mydła i ścierek przywrócić Kupidynkowi jego pierwotną urodę. Poczciwy Stańczyk coraz to nowymi konceptami silił się zabawić króla, ale w powietrzu ciągle jeszcze wisiała burza.

I paziów rola łatwą nie była: jeśli nie oni osobiście, to kilku z ich grona obraziło ulubioną damę dworu, a obrazę odczuła gniewnie królowa. Stali więc wyprostowani w szeregu, nie śmiejąc po cichu nawet rozmawiać z sobą.

Wtem wielkie zdziwienie odmalowało się na ich twarzach, najpierwsi spostrzegli coś niebywałego i niespodziewanego: oto na ścieżce, wiodącej od strony podwórza, ukazał się Dymitr Montwiłł... nie wołany, nie będący w służbie, w szarym codziennym ubraniu. Kołpaczek barankowy miał w rękach i szedł z jakimś wahaniem, to przyspieszając kroku, to stając, to wlokąc się noga za nogą... W końcu przemogła silna wola nad obawą; biegnąc prawie, doszedł do króla i upadł przed nim na kolana.

— Racście, najmiłościwszy panie — zaczął, jękając się — racście rozkazać, bym został ukarany, bo... to... ja zawiniłem.

— Ty? Wszak-ochmistrz...

— Jam to uczynił; przyznaję się waszej królewskiej mości.

— Dwadzieścia pięć korbaczów — krzyknęła, nie hamując złości, Bona.

— Dlaczegoż to zrobił? Powiedz szczerze. Montwiłł milczał.

A Stańczyk, wsparty na poręczy ławy królewskiej, rzucał badawcze i przenikliwe spojrzenie w twarz klęczącego chłopaka.

— Wiedziałżeś, że to koń miłościwej pani, gdyś mu obcinał ogon? — spytał.

— Jak możecie posądzać mnie nawet o podobne bezceństwo! — krzyknął paź z oburzeniem. —

Obciąłem ogon, to prawda, ale mniemałem, że to wierzchowiec panny de Opulo; te siwki takie do siebie podobne.

— Wstań i pójdz bliżej — rzekł król łagodnie. Położył rękę na ramieniu Dymitra i spytał:

— Dlaczego kłamiesz?

— Ja... praw...

— Kłamiesz. Przyznajesz się do winy, a cale nie wiesz, o co chodzi. Konie wszystkie zdrowe, żadnemu ogona nie brakuje. Przecz skłamałeś?

Chłopak milczał. .

— A to Litwin uparty! — szepnął król do Stańczyka. — Jeżeli powiesz prawdę, choćbyś i winien był, nie spotka cię kara. Nie chcesz, to cię każę natychmiast odesłać rodzicowi.

— O panie najmiłościwszy... najlepszy... tak już powiem.

Jego miłość pan ochmistrz, jego miłość pan bakałarz przyszli do naszej izby, a zbudziwszy mnie nagle ze snu, rozpytywali, a trapiłi, a wyciągnąć ze mnie duszę chcieli, aż mnie z tegowszyskiego w głowie zakręciło się. Dopiero, kiedy się zabrali z komnaty, jasność mnie ogarnęła... chyba gdzie niektóry z paziów co przeszkobałszy. Także ja rzekę do siebie: I nicnie zrobisz dla dobrych kolegów, Montwiłł? Choćbyś i bicie dostał, nu to i co? Lepiej tobie wytrzymać, coś twardey i zęby ściśniesz, niż Boże broń na słabszego by padło. Tak ja i przyszedł przyznać się najmiłościwyszemu panu, jedno bieda, że nie wiedział do czego.

I znowu runął do nóg królowi.

Zygmunt spojrział przeciągle na żonę i rzekł:

— Zbyt pochopne sądy najczęściej okazują się mylnymi. A gładząc dobrotliwie płową czuprynę Dmytrusia, dodał:

— Zaiste warto paziem zostać, by zyskać takiego przyjaciela!:

# ROZDZIAŁ II

## FIGIEL JANA DROHOJOWSKIEGO

Nazajutrz rano w izbie paziów żywa toczy się rozmowa przy ubieraniu.

— Wiesz, Jędrek — zagadnął Kostuś Gedroyć Bonera — że o włos, o pajęczynę, a byłoby się wszystko wydało.

— Juści, jakim sposobem?

Sprawiliśmy się tajemnie: zrzynki, strzępki, szmatki pozmiatałem własną ręką i do cna spaliłem na kominie; popiół nawet rozgarnąłem aż do samej głębi.

— A miednicę z wodą, cośmy sobie ręce z farby myli — dodał Czema — wyniosłem na strych i het porozlewałem po polepie.

— Co nas miało zdradzić? Ciekaw jestem — puszył się Boner.

— Zaraz ci powiem: pani Szczepanowa.

— Ona? Aniśmy jej nosa nie widzieli.

— Za to ona widziała wasze oba i koszyk, i Kupidyńka. Zabaczyliście o wirydarzu królowny; babina tam siedziała cichuśko, no i miała sobie najpierwsze miejsce w onym teatrum, jakieście Papacodzie sprawili.

— Rety... wyrzucą nas ze służby! — wrzasnął Krystek.

— Z jednej ręki strapienie i z tejże otrzymanie pociechę! — zadeklamował Gedroyć. — Gdyśmy z ogrodu wracali po onym niefortunnym śledztwie, królowa jejmość kwaśna i (nachmurzona, panny złe jak jędzonki, a król i my wszyscy rozmiłowani w Montwille na umór...

— Masz gadać co mądrego, to gadaj, a pleść nie wiedzieć jakie głupstwa, to lepiej...

— Wždyś chyba nie zapomplął, jako cię miłościwy pan pięknie pochwalił? A żeśmy cię dopiero wczoraj naprawdę poznali, że nasze serca k'tobie się kłonią, to i mówić nie trzeba — każdy to czuje.

— Et... nie marudziłbyś. Cożeś zaczął o Szczepanowej?

— Ano, wyszła naprzeciw nas po królownę Jadwigę, a skorom ją mijał (szedłem w ostatniej parze), szepnęła mi na ucho: „Kłaniaj się waśc ode mnie panom malarzom i doradz, coby na drugi raz pilniej się strzegli, bo gdyby tak kto inszy, a nie stara Szczepanowa, toby było krucho”. „Dla Boga, nie wydajcie ich!” — szepnąłem. Zaśmiała się, machnęła ręką: „Spijcie spokojnie”. I rozeszliśmy się.

— Prawdziwa łaska boska, że to ona była, a nie na ten przykład wielebna dzwonnica Serczykowa.

— Ale co tam rozmyślać o przeszłorocznym śniegu! Dobrze było, udało się, nie wydało się, po całym grodzie huczek poszedł, miłościwy pan przykazał szukać pilnie onego mistrza od pieków malowania, więc też pilnie szukają... wiatra w polu. A waszmość panowie, sercem umiłowani, radujcie się, iż Andrzeja Bonera macie pośród siebie, jako chwałę i piękną ozdobę stanu paziowskiego.

— Zarozumialec jakiś! - zachnął się Czema — vždy pieska ja sam, przez twojej rady umyśliłem.

— A byłbyś co wskórał, matusina kukielko, gdyby nie ja? Po dziesięćkroć dałbyś się złapać na uczynku.

— Słuchaj no, Jędrek — przerwał mu Ostroróg — nie masz się z czego bucić, bo do figłów i psot wszyscyśmy skorzy, ilu nas tu jest, i gdy ino zechcemy dokazować, to starego Odmiwasa w żółtaczkę wpędzimy.

— Oho, w gębieście mocni, robotym nie widział!

— To zobaczysz. Słuchajcie wszyscy, zali wam się zda, co powiem.

— Pst!

— Czego chcesz?

— Coś się szmera za drzwiami...

— Podejdźmy wszyscy na palcach... dość już tego podsłuchiwania, trza ptaszka złapać.

— Ty, Szydłowiecki, stań przy oknie i gadaj głośno, niby że to rozmawiamy ze sobą, coby się w izbie cicho nie zrobiło, bo gotowa uciec.

Gedroyć na przedzie, tamci za nim, podsunęli się ostrożnie do drzwi, otwarli je zniecka... Signora Marina Arcamone w czepcu nocnym na głowie i luźnej kwiciastej sukni stała w korytarzu o pół kroku ode drzwi i tak złapana niespodzianie, że nawet odskoczyć nie miała czasu.

Ostroróg, Montwiłł, Czema, Drohojowski i Boner parsknęli śmiechem szyderyczym, a Gedroyć pokłonił się w pas jak przed królową.

— Cóż za niewysłowiona i niczym niezastuzona łaska, że czcigodna pani ochmistrzyni raczy nawiedzić marnych paziów o tak rannej dobie?

— Prosimy, prosimy! — wrzasnął chór jednogłośnie.

- *Sciocchi senza vergogna! Somari* — drząc z wściekłości, zapiszczała dama i pobiegła do swej komnaty.

— A tośmy babę przyhaczyli! Cha, cha, cha...

— Nieprędko się chyba drugi raz odważy.

— Dobrze jej tak, niech nie myszkuje.

— A co tam wygadywała na nas? Nie słyszałeś, Pawełku?

— Przeważała nas niewstydnymi głupcami i osłami — przetłumaczył Szydłowiecki.

Gedroyć uderzył silnie pięścią w stół.

— Poczekaj, stara sowo! Jużem ci wczoraj nakarbował w pamięci za królowę Jadwigę, dziś znowu... osły! Doznasz ty mojej wdzięczności, aż ci one osły bokiem wyleżą!

— A teraz zasiądźcie spokojnie i posłuchajcie — zaczął znowu Ostroróg.

— Słuchamy pilnie.

— Jędrus Boner się szczyci, że ino on jeden ma głowę do trefnych figli; ja zaśię twierdżę, że nie ma w tym nijakiej sztuki, a przy dobrej woli każdy z nas mu dorówna abo i prześcignie.

— Powtarzam swoje: w gębieście mocni!

— Tedy ustanówmy związek alboli bractwo i niech każdy własnym pomysłem, własnymi siłami popisz się, jako zdoła najlepiej.

— Figlikowe turnieje — zawołał Gedroyć.

— A po włosku jak?

— Nie wiem: *concorso* chyba.

— Jak się zwie, tak się zwie, ja przystępuję do bractwa! — zawołał Jaś Drohojowski.

— Nu, to i ja — zawtórował dziwnie ozywiony od wczoraj Montwiłł.

— Ja także!

— I ja! — wołali wszyscy.

— Ale poczekajcie, to jeszcze nie koniec; zrobimy siedem gałek z chleba, sześć jednakich, a siódmą usmarujemy sadzą, coby była czarna. Będziemy je wszyscy ciągnąć, a który dostanie czarną, nie należy do współzawodów, ino będzie naszym sędzią.

— Ojoj!

— Czyją on sprawkę uzna za najtrefniejszą, ten zostanie naszym hetmanem na cały rok.

— E... ja tak nie chcę...

— Wielka mi łaska być sędzią...

— Ale zaszczyt nie lada!  
— A to ci go darujemy!  
— A gdyby tak sędziego do pomocy w robocie wołać?  
— O, nie wolno! Sprawiedliwy sędzia nie może się w takie rzeczy wdawać.  
— Rety... cobym to ino ja nie był!  
— Róbcie gałki, śpieszcie się!  
— Już są.  
— Czarna także?  
— Juści, o... niczym diabeł.  
— Ale, ale, jedną odrzucić, bo Krystek już wczoraj swoje spełnił.  
— No, wsyp je do kołpaka, przykryj połą, a wy nie patrząc ciągnijcie.  
— Biała!  
— Biała!  
— Biała!  
— Biała!  
— O nieszczęsna godzino! — jęknął Szydłowiecki.  
— Taj dosyć, bo mnie na ostatku takóž biała znalazła się.  
— Więc, Czema, *ad acta*.  
— Szkoda!  
— Kto co ma do powiedzenia? — rozpoczął z powagą swe urządowanie Szydłowiecki.  
— Ja — rzekł Drohojowski. — Upraszam pokornie waszą wielmożność, miłościwy sędzio, coby mi przyznane było prawo zakończenia sprawy z Niemcem. Gdy za moim to jednym słowem stało się, iż ów medyk znamienity legł powalon ciężką chorością, tedy niech go już do końca operuję, za czym zdrowego i wesoluchnego waszym miłościom okazać nie omieszkam.  
— Przyzwalamy! Pierwszy tedy numerus, Krzysztof Czema, drugi — Jan Drohojowski. Kto się zgłasza dalej?  
— Ja proszę o trzecie miejsce.  
— Konstanty Gedroyć — już wpisane.  
— Zapisz wasza wielmożność: Mikołaj Ostroróg — czwarty.  
— Tazež mnie nie pchajcie na sam koniec! Cierpliwemu zawždy krzywda! Niechajże będę choć piąty... — narzekał Mortwiłł.  
— A ja tam nie żalę się — skromnie oczki spuszcżając, cichym głosem odezwał się Boner. — Przyjmuję najpośledniejsze miejsce. Od dzisiejszego dnia zacnę się ćwiczyc w pokorze.  
— O, ty Judaszu!  
— Pan sędzia nie wierzy?  
— Mikołka, chodź ze mną do Krabatiusa; wczoraj mu już wszelakie niemoce dolegały, godzi się odwiedzić biedaka.  
— A my?  
— Was się później przywoła albo sami z własnej woli zgłóście się do pielęgowania. No chodźże! Przebiegli na drugą stronę korytarza, zapukali do drzwi. Słabym głosem odpowiedziano „proszę”.  
— Przychodzimy zapytać, jak zdrowie waszej miłości — zaczął Drohojowski.  
— Zawsze gorzej... zawsze gorzej; już mnie ostatnia nadzieja opuszcza — jęknął Niemiec.  
— Niech pan magister daruje moją śmiałość, ale czy nie pomnażacie swej słabości imaginacją?  
— Żadną drogą. Przytomność mam, Bogu dzięki, stale pełną i z każdego uderzenia pulsu zdaję sobie sprawę... bije coraz słabiej.



— Przyczyną tego, łącno zrozumieć, jest krwi puszczenie. Jako medyk, wiecie lepiej od nas, że takowy środek siły odbiera.

— Ale zarazem i chorosć wigor swój traci. Najjaśniejsza pani raczyła w jej wielkiej łaskawości przysłać mi własnego doktora.

— Signora Bisantizzi?

— Tak jest; a bawiący tu w przejazdu signor Giulio di Santa Croce nawiedził mnie również z własna przychylnosć. Uczonosć tych mężów zdumieniem mnie napelnia. Wyjrzyjcie ino, chłopcy, w antykamera i zobaczcie, jak wiele mi leki signor Bisantizzi przysposobił; zda się niepodobienstwem, byajsrozsza febris tylu specyfikom oprzeć się miała.

Zaciekawieni paziowie skoczyli do alkierzyka (pracowni Krabatiusa) i teraz dopiero Jaś Drohojowski zdrętwiał ,na myśl o możliwych skutkach swego płochego żartu: na okrągłym drewnianym stole w pośrodku izby stała cała bateria flaszek, puzderek, słoiczków itd.; było tego około trzydziestu sztuk.

Rzucili okiem dokoła... półki z księgami i rękopisami piętrzyły się przy dwóch ścianach; długi wąski stół pod samym oknem zarzucony był instrumentami lekarskimi, retortami do badań chemicznych; na ścianie nad stołem wisały dwie wagi, jedna na pospolitszy użytek, druga maluchna aptekarska. Moździerz czarny, marmurowy, do ucierania proszków, drewniana forma do kręcenia pigulek, zioła suszone w ogromnych pękach, słowem, laboratorium alchemiczne i lekarskie.

Ale te mikstury czerwone, białe, zielone, brunatne! Te jakieś driakwie czy balsamy... Zaliż to wszystko miał spożyć nieszczęsny chory z urojenia?

Jasiek jednym susem wrócił do sypialni i stanął przy łozu Krabatiusa.

— O kochany panie magister... miejcie litosć nad sobą! Nie tykajcie tych podłych leków! Ino leżcie spokojnie, krwi już więcej nie puszczajcie, my wam z kuchni samego króla miłosciwego dostarczymy rosółu i kurczątką w polewce lub wędliny świeżej. Wypoczynek, zdrowe jadło to najlepsze leki. Chciejcie mi wierzyć!

— Ty jesteś dobre dziecko — odparł chory wzruszonym głosem — ale się tyle znasz na medycyna, co ja na teologia. Chorosć moja tkwi w żołądku, podkrada się ku płuc; chce zająć moje, nerki i moja wątroba, zanieczyszcza żyły. To wszystko jasno i uczenie wyłożył mi doktor Bisantizzi; ano i ja sam, o ile mnie wybadać mogę, te symptomata rozumiem nie inaczej.

Odpocząwszy chwilę, chory mówił dalej żałosnie:

— Przeto najpierwej organismus należy skrupulatnie wyczyścić, co, dzięki uczynnosć tego zacnego męża, ,nad wyraz dokładnie uskuteczniłem. Następnie mamy się wziąć do każdej wnętrznosci z osobna; Bóg miłosierny ulitował się nade mną zsyłając mi taką jedną przemądrą pomoc. Może choć powoli odzyskam moje zdrowie.

— Na Boga was zaklinam, dobry panie Krabatius... wstrzymajcie się choć do jutra z tą straszną kuracją! Wspomnicie moje słowo, że się wam polepszy jak amen w pacierzu, ino nie pijcie tych bezecnych jadów ani kropelki.

— A ten drugi medyk nic wam nie zalecił? — spytał Ostroróg.

— Santa Croce? O, to jest jeden mąż także niepomiernej nauki! Ale jego metoda jest cale jedna inna; przepisał mi ciepłe kataplazmy na całe ciało, twierdzi bowiem, że wszelakich dolegliwosci przyczyną są wilgotne wapory, dają się które wyprowadzić i precz usunąć przez gorące jedynie okłady.

— No, to chyba nieszkodliwe — szepnął Jaś do Mikołki i zaraz tonem pełnym przekonania prawił:

— Taki lekarz to prawdziwa gwiazda jaśniejąca; jego rady się trzymajcie, panie magister! A wiecie dlaczego? Śmiało wam doradzam, gdyż właśnie (tu się zaciął, szukając konceptu) stryj mój rodzony,

który śmiertelnie zachorzał był przed miesiącem i przez nadziei nieprzytomny już a konający leżał, kataplazmami jakby cudem uleczony, krzepki i rzeźwy po czterech dniach z łoża powstał.

— Może i dobrze radzisz, mój kochany chłopiec; będę tedy zostać przy kataplazmach. Zaiste, już pierwsza doza mikstury omdlenie mi przyciągnęła, a przykazał mi z sześciu flaszek kolejno co godzina trzy łyżki... lecz gdy nadejdzie Bisantizzi, a spostrzeże żaden ubytek leków...

— O taką drobnostkę trąpilibyście się, miły papie? Poulewamy z każdej flaszki po trosze, niech ano ma uciechę, że was uzdrowił. Kataplazmy gorące — to mi rada! Tego się trzymajcie; a rosół i wina dobrego kieliszek jeszcze nikomu nie zaszkodził. Przyniosę wam, dobrze?

— Apetyt by się znalazł, niesmak czułem srogi po miksturze, ale to już przeszło; ino ten straszny żołądek kurcz.

— Z głodu, panie magister, z głodu.

— Ha... ja zaryzykuję... rosółu parę łyżeczki.

— Zobaczycie, jak się wam polepszy! Lecę, a wrócę jak najrychlej. Spokój i ciepłe okłady! Tymczasem zaś przyjdą moi koledzy posługować waszej miłości, grzać i odmieniać kataplazmy.

— Zaliżby chcieli?

— Oni? Jeszcze nas, panie magister, nie znacie: zabawę rzucają, a do was przybiegną.

— A tom sobie piwa nawarzył! — zaśmiał się z cicha Jasiek do kolegi, wychodząc z mieszkania chorego.

— Ino przypilnujmy, coby go ten truciciel nie przerobił na swoją wiarę, to wszystko będzie dobrze — odparł Ostroróg.

— Bogiem a prawdą żal mi starego i nie spocznę, póki go nie uleczę. A co się wyleży, przepości, wygrzeje pod kataplazmami, to ino na dobre mu się przyda, a nam ku zabawie. Krzyknij no po drodze na tamtych, niech idą nie mieszkając do Niemca i godnie mu posługują. Dogonisz mnie przed kuchnią.

— A gdzież to paniczom tak pilno? Co za sprawa do królewskiej kuchni? Czy was kto posłał, czy może ino po jaki przysmaczek dla siebie? — zaczęła pażów Serczykowa, klucznica i gospodyni drugiego stołu, zwanego marszałkowskim, przy którym jadał przedniejsi dworzanie i armia pażów.

Pani Serczykowa pędziła przy dworze królewskim życie niezmiernie czynne, bo i zaopatrywanie spiżarni w różnorodne zapasy, owocowe serki i powidła na zimę, wędliny, wydawanie kucharzom, dogładanie, przyznać trzeba nader troskliwie, by uczestnikom drugiego stołu na niczym nie zbywało, zabierało jej wiele czasu.

Dobrowolnie zaś stwarzała sobie jeszcze uboczne zajęcia, gdyż — będąc ciekawą jak Ewa, żana Lota i wszystkie siedem żon Sinobrodego, a gadulstwem nieokiełznanym przewyższając Midasowego balwierza — wtrącała się z zapalem do spraw cudzych, wypytywała służbę na prawo i lewo i puszczała w świat plotki niepodobne do prawdy.

W tym o tyle się różniła od Mariny Arcamone, że nie w celach złośliwych to czyniła; jeśli zaszkodziła komu swą gadatliwością, co się często zdarzało, spłakiwała się potem rzewnymi łzami i starała się złe naprawić, z czego prawie zawsze jeszcze większy kłopot wyrastał, i tak bez końca.

— O co chodzi? O co chodzi? — terkotała jak na kołowrotku. — Niech się panicze nie trudzą, ja usługę.

— Bóg zapłać pani gospodyni; rosółu mocnego i wina potrzebujemy — odpowiedział Drohojowski.

— Rosółku? A jakże, w tej chwilusi przyniosę, dobrego, a jakże; jest wyborny, dla panny Papacody, osobno się gotuje. Ale Bóg jeden raczy wiedzieć, czy się na co przyda, bo jut tej biedaczce niewiele się należy.

— Co pani Serczykowa powiada?

— A tak, tak, święta prawda, jak nieboszczykowi memu wiecznego zbawienia pragnę.

— Cóż jej się stało?

— Jak to, nie słyszeliście panicze? Wždy od jednego z was o tym nieszczęściu się dowiedziałam.

— Od pazia?

— Sprawiedliwie gadam, a jakże. Pan Piotruś Stadnicki mi się zwierzył; kochany aniołeczek! Ino zmiłujcie się wasze miłości, bo to sroga tajemnica... najmiłościwsza pani śmiercią zagroziła, gdyby kto śmiał mówić o tym.

— To niechże pani gospodyni śeiśnie zęby i ucieka czym prędzej.

— Nie, nie, ja wiem, że paniczom powiedzieć to jakby w studnię wrzucić, powiem wam, a jakże... ino że to straszne dziwy, uwierzyć nawet trudono.

— Powiadajcież prędzej, bo nas pali!

— Ano, wczoraj w ogrodzie, gdy królowa jejmość przechadzała się z pannami, nagle ziemia rozpękała się na dwoje, jak raz ponad tym miejscem, gdzie jest smocza jama; dym smrodliwy buchnął jak z piekielnych czeluści, za czym wyskoczył potwór ognisty, rzucił się na jej miłość pannę Papacodę i pokąsawszy ją, uciekł na powrót do onej pieczary. Dym się w powietrzu rozpląnął, ziemia skleiła się gładziutko, rzekłbyś wszystko przywidzenie, gdyby nie ono biedactwo tak srodze pokaleczone.

— Ach, straszne wydarzenie! — westchnął Ostroróg, zasłaniając twarz rękami, by gospodyni nie dostrzegła, że się krztusi od śmiechu.

— Zaraz ją rozebrali, a jakże, do łóżka położyli, no... i w Bogu jedyna nadzieja. Ale na tym padole ziemskim jednemu piołun, a drugiemu miód, a jakże. Panna Arcamone ino przed zwierciadłem siedzi, głową sobie przytakuje, a piosenki włoskie z cicha nuci.

— Cóż za uciecha niewczesna?

— Ano jakoż się nie ma radować, gdy bez ten szpetny trafunek jasno się okazało, że Papacoda z całego fraucymeru najstarsza.

— Nie może być!

— Wcale to nieładnie przeczyć starszym, a nawet grzech, a jakże. Wždy całemu światu wiadomo, że smoki i insze ludożery rade rzucają się ino na leciwe niewiasty. O, święte panny i wdowy... czegóż ja po rosół i po wino nie idę!

— Niechże się pani gospodyni śpieszy!

Za krótką chwilę przybiegła zdyszana, z garnuszkim wrzącego rosółu i buteleczką wina.

— A dla kogo rosółek? Dla kogo? Czy który z paniczów może?

— Ej, dziękować Bogu żaden z nas, ino medyk pana Kmity zachorzał ciężko.

A Drohojowski dodał ciszej:

— Uroki.

— I rosółem chcecie go waszmościowie kurować? Wždy lepiej od razu nóż wbić w samo serce; toć urzeczonemu kropli wody podać nie wolno, pokąd się wedle prawego przepisu uroku nie odczyni.

— Naprawdę?

— Każde jadło kamieniem, każde picie smołą diabelską się staje.

— A to kłopot!

— Powiedz waszmość raczej śmierć, a nie zmylisz.

— Więc jakaż rada?

— Odczynić.

— Nie umiemy.

— Szczepanowa umie.

— Aaaa!

— Ach, to wybornie!

— Dziękujemy pani gospodyni. Lećmy czym prędzej, bośmy się już i tak srodze zapóźnili.

— A pomyślcie, com wam o jedzeniu mówiła! — wołała za nimi Serczykowa.

— Juści, juści, nie zahaczmy!

Wbiegli na schody po trzy stopnie naraz, potem do pacjenta. Zastali przy nim Szydłowieckiego i Gedroycia, bardzo pilnie grzejących kataplazmy na małej kuchence i pocieszających strapionego Krabatiusa, że mimo tak ciężkiego przebiegu choroby, wszystko się na dobre odmieni.

Jaś Drohojowski przystąpił do łóżka i trochę namową, trochę przemocą, zmusił Niemca do wypicia garnuszka doskonałego rosółu i pół kieliszka wina. Chory z urojenia, który od trzydziestu kilku godzin nic nie miał w listach prócz ohydnej mikstury, strachał się wprawdzie i bolał nad swą lekkomyślnością, ale pił ze smakiem.

— Zaprawdę... jedno nowe życie wstępuje we mnie... żołądka kurcz minął, lżej mi oddychać...

— A widzi pan magister? To wszystko sprawiły kataplazmy; trzeba słuchać doktora Santa Croce.

— O dla Boga... ktoś wszedł do antykamery... sprzątnijcie czym prędzej wino, wynieście garnek.

Słuszna była ostrożność pana magistra, gdyż nie kto inny pojawił się w komnacie, ino sam znamienity i wielce poważany nadworny medyk królowej Bony, doktor Ferdinando Bisantizzi.

Był to mężczyzna lat średnich, bardzo niskiego wzrostu. Rączki miał starannie utrzymane i kosmetykami wypieszczone; nóżki w cienkich jedwabnych nogawicach i ciżemkach z najdelikatniejszej skóry. Niezwykle wysokie obcasy miały zapewne przysparzać wzrostu panu doktorowi, ale niestety nawet mimo tego sztukowania signor Bisantizzi wydawał się niemal karzełkiem. Nosił się czarno, jak to przyjętym było u lekarzy i w ogóle u ludzi uczonych, a strój jego cały był wzorem wykwintu i ostatniej mody.

— Kto by pomyślał — szepnął Drohojowski do Ostroroga - że taka pchełka potrafi zdrowego człeka o ziemię powalić.

— Witam, witam, sługa oddany pana magistra! Cóż tam słyhać dobrego od wczoraj.

— Żadne polepszenie... idzie mi źle — jęczał chory, bojąc się przyznać do nowego doktora i smacznego lekarstwa z królewskiej kuchni.

— Nie lepiej, powiada wasza miłość? Byłem tego pewny... za słabe dozy przepisałem, za delikatne kombinacje. A jednak powinny były leki choć nieco poskutkować; widziałem, przechodząc, że z ordynowanych sześciu flaszek sporo ubyło. Czy waszmość co godzina zażywał?

— Skrupulatnie — jęknął chory.

— Uhum — odezwało się coś z kącika.

— Jak to... i nic?

— Ale gdzież nic! Straszne cierpienia!

— To ślicznie!

— Mdłości...

— To mi się podoba.

— Osłabienie śmiertelne...

— Otóż to, otóż to właśnie, czego było potrzeba. Zatem wzmocnię ino dozę i nie z sześciu, a z siedmiu flaszek będziesz kolega zażywał!

I wznosząc oczy w górę, jakby na powale recepty szukał, doktor Bisantizzi mrucał pod nosem:

— *Rumbarbarum... senes... jalapa... nux vomica\**... tak, nie dodam ,nic więcej; nadmiar leków mógłby zaszkodzić. A więc czcigodny kolego: trzy łyżki co godzina. Pierwszą dawkę zażyjemy zaraz. „Ty sobie zażyj, jeżeli chcesz, a od mojego chorego wara!” — pomyślał Jaś Drohojowski, a głośno zaprotestował:

— Za łaską waszej wielmożności zwrócę uwagę, że tuż przed przyjściem pana doktora sam podałem lekarstwo jego miłości panu magistrowi.

— Tylko co trzy łyżki ja wypilem — zaświadczył chory z wdzięcznym spojrzeniem na swego młodego opiekuna.

— A, to oczywiście można się wstrzymać; ale za godzinę koniecznie.

— Nie omieszkam.

— Do widzenia zatem jutro rano, a nie troskajcie się, kolego, wcale, choć kurcze powrócą silniejsze. A omdlenie, nawet dłuższe, jest nader pożądane.

— A bodaj cię omdlenie chybiło i do jutra trzymało! — syknął Jasiek, zamykając drzwi za doktorem, a Szydłowiecki dodał:

— Błogosławieństwo boskie, że królowa jejmość żelaznym zdrowiem się cieszy i dla zwyczaju ino medyka (nadwornego utrzymuje, bo...

— Ale, ale, co jeszcze chciałem dodać — wracając z pośpiechem do sypialni, z cicha rzekł Bisantizzi — gdyby tu przyszedł doktor Santa Croce... nie radzę... to światły i wielkiej nauki człowiek, sława jego rozbrzmiewa szeroko, ale... nie radzę; gdybym chorował, nigdy bym go nie wezwał. Genialny człowiek, mędrzec po prostu, ale nie zdarzyło mi się spotkać uleczonych przez niego. Nie ma szczęścia; kuracje jego zawsze smutno się kończą. Uciekam... śpieszę... dieta zupełna, nic prócz mikstury; do widzenia, najjaśniejsza pani czeka. Nie radzę!

— A niech cię wszyscy! Dobry, kochany panie Krabatius, ja wam nie dam ani powąchać tych diabelskich dekottów; choćbyś waszmość prosił i płakał, nie dam. Za to winka dobrego napijecie się zaraz, i to pełny kubek.

— Zaszkozi...

— Niech mnie kołem łamią, jeżeli zaszkozi! Pijcie, wasza miłość, przez obawy. Na zdrowie wam! Teraz obróćcie się na prawy bok. Oho, a tam kto znowu?

- *Tanti saluti... tanti saluti...* zanim odjadę, raz jeszcze przychodzę do kolegi. Posłuchaliście, jak widzę, dobrej rady, kataplazmy się grzeją, *benissimo*. Cera zaróżowiona, oczy żywe, bardzo ładnie, *benissimo*! Grzać, okładać, nie przestawać przez tydzień co najmniej... *benissimo*. A leków wewnętrznych ani się ważyć! Mikstury do cebrzyka, proszki do pieca, pigułki za okno... *benissimo*! — Są jeszcze — prawil dalej — nieuki, idioty, co zalewają pacjentów lurami, nadziewiają pigułkami, trują, zabijają; na hak z nimi, pod topór, na pal... *benissimo*! Do widzenia! Kataplazmy od rana do nocy, *benissimo*!

Wpadł jak wichler, wyleciał jak z procy, nie dał nikomu przyjść do słowa, nagadał się, co wlało, i gdzie się podział.

— To był... ten drugi? — spytał Gedroyć.

— Uhum... — zaszemrał Krabatius prawie przez sen.

Druga porcja Jasiowego lekarstwa, podana na osłabiony postem żołądek, sprawiła swoje: pan magister zasnął snem twardym i smacznym.

— Zawołajcie Montwiłła, niech sobie tu drzemie przy onym męczenniku, a my... po co tu aż czterech. Odmiwaj gotów gdzie z kąta wyleźć i znowu brać na spytki, a mamy co innego do roboty jeszcze. Ja sam pójdę do Szczepanowej; jak ułoży do snu królownę, musi tu przyjść odczynić owe uroki. Stary uparciuch zawzjął się chorować, żeby mu się sam Eskulap ukazał, i przysięgał jeszcze, nie da wiary, że mu wcale nic nie brakuje. Jedyna ucieczka w Szczepanowej; a z trojakich bredni, gdy jedno parzy, drugie truje, najlepsze trzecie, bo nic nie wadzi, choć zarówno głupie.

Tak więc chłopcy, zostawiwszy magistra pod opieką Montwiłła, rozbiegli się w różne strony: Jasiek na poszukiwanie Szczepanowej, Mikołka Ostroróg, Krystek Czema i Pawełek Szydłowiecki do

kolegów na boczny dziedziniec, gdzie najstarsi z paziów objęli przywództwo i urządzali bitwę pod Grunwaldem.

Największą przeszkodą w zabawie było naturalnie to, że ani jeden z chłopców nie chciał być zwyciężonym, zginąć sromotnie lub iść do niewoli. Przy każdej bitwie powtarzały się te zatargi i rozmaicie sobie radzono. Dziś także — dopiero Aleksander Korybut, którego jednogłośnie mianowano Jagiełłą, podzielił stu siedemdziesięciu kolegów na dwa obozy; z tych dwóch hufców wybrał po jednym wojowniku i kazał im ciągnąć losy: czarny kamyczek oznaczał Krzyżaków, biały — Litwinów i Polaków.

Spod czapki króla jegomości wyciągnęli wyrok przeznaczenia: osiemdziesięciu czterech chłopaków z Korybutem (Jagiełłą) i Tarnowskim (Witoldem) na czele stanowiło wojsko polskie. Krzyżacy mieli dowódcami Pieniążka (Ulrich Jungingen) i Czarnkowskiego (Konrad Lichtenstein).

W obozie polskim oczekiwano tylko na szydercze poselstwo od rycerzy krzyżowych z mieczami dla Jagiełły i Witolda, by rozpocząć walkę wiekopomną, gdy od strony zamku ukazali się Szydłowiecki i Ostroróg. Powitano ich okrzykami radości i bez namysłu wręczono złowrogie miecze jako posłom krzyżackim. Nie było wykretów, musieli słuchać.

Czema zaś, który szedł o parę kroków w tyle, dostał się jako Oleśnicki do wojska polskiego. Niebawem przeraźliwe krzyki, dzikie wycia, tupotanie stu siedemdziesięciu par nóg na boisku, wrzaski zwycięzców i jęki rannych zwiastowały światu, że dwie potęgi przemożne ścierają się z sobą w śmiertelnym boju.

Pan ochmistrz Strasz zezwalał zawsze na tego rodzaju wojenne zapasy, rozwijające siły i zręczność ruchów, najczęściej nawet brał duchowy współudział w utarczkach, przypatrując się z niezmiernym zapałem przebiegowi walki. Pod jednym tylko względem bywał nieubłagany, a mianowicie żadnej innej broni używać nie pozwalał prócz rąk, rękom zaś nie wolno było tykać twarzy. Ktokolwiek ze znamienitych rycerzy przekroczył ten surowy zakaz, całymi tygodniami za pokutę bywał wyłączany od zabawy.

Kostuś Gedroyć tymczasem, pogrążony w myślach nad ważnym zadaniem, jakie go czekało, przechadzał się po starym ogrodzie królewskim; zeszedł aż do murów od strony południowej i tam w ciszy a odosobnieniu trafił się, że jakoś żaden, nie tylko świetny, ale nawet wcale pospolity concept nie przychodzi mu do głowy. „Ach, szczęśliwy ten Krystek! — myślał — już swoje zrobił, i powiodło mu się... i nic go nie zdradziło... i Papacodzie zapłacił... czemuż ja nic wynaleźć nie mogę dla tej suchej wierzby z opuszczonym nosem! Jużem jej wczoraj za królownę ślubował... i dziś rano takież, ano głowa pęka z tego myślenia i nic”.

— Paniczku wielmożny, usuńcie się krzyne jeśli łaska, bo droga wąska, fura ciężka, a osły uparte.

— Mam... mam! Już nic lepszego nie wynajdę... jak matkę kocham! — krzyknął rozradowany paż i poleciał dalej w ogród, jakby go kto gonił. A parobek z furą pełną ziemi popędzał swoje osiołki i rozważał w duchu, jakie to dziwactwa u panów trafiają się. „Nawet taki młody, a ot go mamony obsiadły i wyrozumienie odbierają”.

— Tak, tak, doskonale, wybornie... — powtarzał Gedroyć podskakując jak młody wróbel — ino wszystko trza sprawnie wymiarkować, obmyśleć jak się patrzy, coby się udało, aż ha! Ale choćbym Salomonową mądrość posiadał, sam jeden nie dam rady, muszę się zmówić przynajmniej z dwoma. Jędrus najważniejszy, jego mi trzeba.

Zapanował trochę nad swą uciechą i pozornie poważny, przypatrywał się robotnikom kopiącym ziemię i innym, zakładającym rury, którymi miała być prowadzona woda do fontanny w modnym ogrodzie królowej. Jakby spod ziemi wyrósł, stanął nagle Boner po drugiej stronie rowu.

— Kostuś, nie poszedłeś pod Grunwald?

— E... miałem *coś* ważniejszego do roboty. Przeskoczył do Bonera i zaczęli szeptać z sobą, a śmiać się, a w ręce klaskać.

— Słyszeli też panicze, cośmy tu wykopali pod złodziejską basztą? — spytał jeden z robotników.

— Skrzynię ze złotem?

— Bogać ta, bogać... przydałoby się i srebro, a choćby i grosze miedziane.

— Więc cóż takiego?

— Kości ludzkie.

— O rety... a bardzo stare?

— Dostyc ta szerniałe, ze sto lat mają.

— A trzymały się kupy, czy cale były rozsypane? — spytał Jędrak.

— Jakeśmy kopiąc o nie zawadzili i ziemię potem ostrożnie zebrali, to sobie tak leżały ze wszystkim, jak cały człowiek. Dwa szkielety były.

— Ino kuźden głowę miał pod stopami.

— O święty Hieronimie, poratuj mnie w tej godzinie? A kołki w piersiach mieli?

— Jak mi Bóg miły — szepnął Boner — tej Serczykowej to wszędy pełno. Pani gospodyni coś dobrego w koszyku niesie? — dodał głośno.

— Nowalijka, nowalijka, a jakże: będziecie, paniczekowie, zajadać na obiad. Karafioły, co najmiłościwsza pani wraz z innymi osobliwymi jarzynami ze swego kraju sprowadzić raczyła w przeszłym roku. Z warzywnego ogrodu idę, a jakże. Ale nie bałamućcie, waszmoście, bo tu o ważniejsze sprawy idzie; więc pytam was powtórnie, Wawrzyniec, zali one kościotrupy miały kołki w piersiach wetkane?

— Lichoż ich wie, miały czy nie miały; może ta i była jaka trzaska zbutwiała, kto by się temu przypatrywał.

— O ludzie przez upamiętania! — jęknęła gospodyni, stawiając kosz nad rowem i załamując ręce.

— Wždy o spokojność naszą, o życie chodzi!

Jędrus słuchał z zajęciem, siwe oczy tryskające wesołością utkwiał w twarzy gospodyni, a ta lamentowała dalej:

— Toć pierwszy lepszy nie umiejący człek, dziecko nawet wie, że upiorom głowy się kładzie w nogi, coby nie wstawały z grobu i nie straszyły. A dla wszelakiego spokoju i pewności, wbija się takiemu kołek osikowy w piersi, to już do sądneho dnia leży cichusko, jak Pan Bóg przykazał.

— E, niech się jejmość nie boją, już się ano i przez kołków obejdzie; kościska spróchniałe, skrzynkę drewnianą cieśla przyniósł, ksiądz jałmużnik z polecenia najmiłościwszego pana był tutaj, pokropił święconą wodą i poszli spać na powrót pod złodziejską basztę, tam gdzie pierwaj byli. Jutro msza na Skałce za ich dusze.

— Święta Urszulo z towarzyszkami! Ileż razy wam gadać jedno i jedno! Pożałujecie wy gorzko takowej letkomyślności; jeszcze się wam one upiory srodze dadzą we znaki, wspomnicie moje słowo, a jakże!

— A wiecie wy, pani gospodyni — zawołał Wojtek ogrodniczek — że to pewnikiem był mąż i żona abo siostra i brat, bo jedno miało głowę wielką i piszczele grubaśne, a drugietakie cieniuskie niczym patyczki i główkę jak u dziecka.

— Wielką głowę czy małą, proś Pana Jezusa, cobyś jej o północku nie nadybał. Ino tyle ci gadam.

— Święte słowa pani gospodyni — przyświadczył Boner — już ja czuję, że nas ciężkie godziny czekają. — I chwyciwszy w pół Kostusia Gedroycia, pobiegł z nim w boczną aleję, nadalsze jakieś bardzo ważne konszachty.

Po obiedzie, na którym pani Serczykowa popisała się dwiema nie znanymi dotąd potrawami, a

mianowicie zupą pomidorową i kalafiorami podanymi na małym półmisku jak na lekarstwo, rozeszli się dworzanie, chwając lub ganiąc nowewłoskie jarzyny, paziowie zaś prosto od stołu poczwałowali do mistrza Ambrozego na lekcję łaciny, która się odbywała w wielkiej izbie szkolnej, ponad archiwum królewskim.

Krystek Czema i Jędrus Boner nie zapomnieli o danym wczoraj słowie szlacheckim, umieli lekcję tak wybornie, że zdumiony bakałarz raz po raz pochyłał głowę i spoglądał na nich spoza okularów, jakby chcąc się przekonać, czy mu sięnie przesłyszało i czy to naprawdę ci sami roztrzepańcy, z których dotąd nie miał żadnej pociechy.

Po skończonej nauce Jaś Drohojowski zwołał swych sześciu najserdeczniejszych i solennie zaprosił na uroczystość odczyniania uroków u chorego Niemca.

— Pani Szczepanowa radym sercem przyrzekła swoją pomoc, a nawet ma przyjść na górę nie czekając wieczora — mówił — królowna bowiem i dziś, tak samo jak wczoraj, ma spędzić parę godzin z robótką przy najmiłościwszej pani.

— A więc śpieszmy, bo już blisko siedemnasta godzina. - Śpieszmy, śpieszmy!

— Łatwo to powiedzieć, ale mnie jeszcze wielka przeprawa czeka.

— Cóż takiego?

— Stary Krabatus, człek roztropny i uczony, w nijakie uroki nie wierzy; nawet wczoraj, gdy sama królowa o tym napomknęła, ośmielił się zaprzeczyć jej słowom. Chorobę dał w siebie wmówić, poszło jak po maśle, ale teraz ciężka będzie sprawa.

— Nu to jakże? Taki, powiadasz, uczony, a o urokach nie nauczył się? Ot, nie wiedzieć co!

— A ty, Dmytruś, wierzysz?

— Takóż pytanie! Co dzień rano, pacierz ino zmówiwszy, jeszcze nim do śniadania zasiedli, babunia nas wszystkich stawiała pod rząd; i rodzica, i matkę, i nas dziewięcioro. Jewdocha przynosiła wodę w dzbanku, węgle, ot, co gadać, wszystko co należy się. A babunia dopiero odczyniała uroki każdemu z osobna. I zaraz my z tego dowiadywali się, komu potrza było, a komu na zapas. Ja dlatego taki zdrów i spokojny, bo tam babunia co ranka o mnie pamięta. Śmiejcie się, śmiejcie, mnie wszystko równo, a taki moja babunia by wam przydała się.

— Dmytruś, serce moje, nie z ciebie my się śmiejemy, nie. Od wczorajsza my z tobą w ogień; ale jak możesz wierzyć w takie brednie?

— Ojce i praojce wierzyli, ja takóż.

— Dajcie mu spokój... łzy ano ma w oczach. Cicho!

— Wszystko to dobrze, ale...

— Nie gadać dużo, a brać się do roboty!

— Chodźmy!

Wbiegli z hukiem i rumorem na schody, ale w korytarzu zwolnili kroku i cichutko, delikatnie weszli do mieszkania pana magistra.

Doktor Johannes Krabatus, pokrzepiony mocnym rosołem, starym winem i trzygodzinnym snem, czuł się o wiele zdrowszym, a wiara jego w geniusz i głęboką wiedzę medyka miłościwej królowej mocno była zachwiana.

Powitał mile siedmiu okrutników, których przychylności tak był pewny, a którzy istotnie z serca już teraz pragnęli naprawić złe zartem popełnione i wszyscy, a zwłaszcza Jaś Drohojowski, dobrym słowem i usługą przymilali się choremu.

— Więc lepiej, chwała Bogu? Spodziewałem się tego... jutro będzie zupełnie dobrze, a pojutrze uprosimy gospodynię o Sardanapalową ucztę na cześć pana magistra.

— I choć król miłościwy sam nijakich trunków nie lubi prócz piwa, może się przecie znajdzie w



piwnicach jaki taki gąsiorek z zieloną pieczęcią, gwoli wypicia za zdrowie waszej miłości.

— Dodajecie mi otucha z waszą wesołością; głowa czyni mi straszny ból, dzwonięcie uszu bezustanne, usiąść o moich siłach nie zdołam.

— Już ja wam powiadam — mruczał Jaś, odwracając się do łóżka plecami — że on gotów trzy tygodnie kawęczyć, gdy raz sobie oną ciężką niemoc umyślił. Jeśli uroki nie pomogą, to chyba mi przyjdzie klęknąć przed łóżkiem i przyznać się do wszystkiego. Ale wtedy...

— Ani się waż! Król jegomość nigdy by ci tego nie darował.

— Panie magister...

— Co, Jasiu?

— Nie śmieście się ze mnie i nie mówcie, że jestem głupi, ino posłuchajcie spokojnie, co wam rzekę.

— Prefacja zacna, słucham oracji .

— Tedy krótko i węzłowato: cała wasza chorość to nic innego, tylko uroki.

— Dzieciństwo pleciesz; wstydzilibyś się!

— Nie wstydzę się, bo słusznie mówię; wasza miłość był zdrow jak rydz, wesół, silny, nic mu nie brakowało, w jednej godzinie przyszła niemoc, a spomnijcie ino, czym się objawiła? Chodź, Montwiłł, gadaj, co się dzieje urzeczonemu?

— Co gadać... także wiadomo, nasamprzód w głowie kręci się ..

— Miałeś waszmość zawrót głowy?

— No tak, ale...

— Cóż dalej, Dmytruś?

— Później ciężkość, nudność, wstręt do jadła.

— Było tak?

— Ależ to nie dowodzi!

— A teraz najważniejsza rzecz: osłabienie i ból głowy. Nad oczyma czy w skroniach?

— I tu, i tu.

— Niechże wasza miłość nie zaprzecza, bo tu ślepy dojrzy, jako są bezecne, przez człeka zdradliwego rzucone uroki. No, chłopcy... pomagajże mi który... — szepnął ze złością do kolegów — godziną już kłamię, a wy stoicie jak kukły.

— Tak, tak, słusznie Jaś wam doradza; dajcie sobie odczynić, mój złoty panie! — zapiszczał swym wróblim głosikiem Krystek, a Montwiłł dodał:

— Odczyni się wedle przepisane obrządku, w jednej chwili złe szeźnie, a pan magister wstanie z łoża, jakby nie chorowałszy.

— Do takie niemądre praktyki nie mogę ja się zgodzić.

— O cóż waszej miłości chodzi? Jeżeli to zabobon, to ani pomoże, ani zaszkodzi; a jeżeli... więc dlaczegoż nie spróbować? Jużśmy nawet uprosili panią Szczepanową, która jest białogłowa znająca; właśnie tylko co ktoś wszedł od alkierza, pewno ona.

— Ależ, chłopcy... pozwalacie wam za wiele!

— Prosimy, prosimy, wejdźcie do komnaty, nasz biedny chory oczekuje was z upragnieniem!

— Jędrus... dam ja tobie! — jęknął Krabatius.

— Co wasza miłość rozkaże?

Pani Szczepanową ukłoniła się Niemcowi z szacunkiem, lecz w poczuciu dumy ze swej tajemniczej umiejętności trzymała się trochę sztywno i spoglądała z góry na zgromadzonych.

— Jeśli wasza wielmożność zgadza się, to nie zwlekając możemy rozpocząć, bowiem dłuższego czasu potrzeba na próbę, przekonanie i odczynienie, a ja muszę się kwapić do mojej królowny.

Krabatius milczał, ale siedmiu paziów kręciło się i gadało tyle, że staruszka nie zauważyła tego

niemego oporu.

— Proszę o kubek z wodą, ale musi być szklany, bym widziała wyraźnie, jako się urok przydarzył i przez kogo był uczyniony.

— W alkierzu na półce stoją szklane kielichy — z westchnieniem rezygnacji objaśnił chory szukającego po kątach Jasia.

— Wszystko inne przyniosłam z sobą; oto ręcznik, proszę stół nakryć i zapalić dwie woskowe świece.

— Gdzie świece, panie magister?

— W alkierzu na oknie — jęknął męczennik.

— Teraz proszę być cicho i nie kręcić się po izbie.

Szczepanowa z miną kapłanki, rozpoczynającej modły do jakiegoś złowrogiego bóstwa, patrzyła badawczo w szklankę z wodą, postawioną na białym ręczniku, między dwiema świecami. Ostrożnie, by wody nie poruszyć, wpuściła kawałek węgla do szklanki i szepcząc jakieś tajemnicze zaklęcie, trzymała nad nią lewą rękę zaciśniętą mocno; po skończonym egzorcyzmie otworzyła ją nagle i wyprężyła palce. Następnie wrzuciła kawałek chleba i znów powtórzyła te same słowa i ceremonię z ręką, ale już nie lewą, lecz prawą. Wreszcie oparła się łokciami na stole, małe palce obu rąk przyłożyła do skroni i znowu patrzyła w wodę, a patrząc mówiła cicho:

— Jest urok... oj jest; węgiel wypłynął, chleb opadł, niewiasta urzekła, a nie mąż. Chleb obrócił się skórką do góry... wielka pani. Węgiel stuknął o szklankę, tu gdzieś blisko... zda się, ktoś ze dworu chyba. Kiedy już tyle powiedziało, powie i więcej; ino jeden' raz karty rozłoży: 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1, aha... nie mówiłam? Stara niewiasta... tuz czerwieny pod nią,, więc pod tym samym dachem... dwójka żółędna z prawej strony, to znaczy, co jest wysoka, a chuda... tuz dzwonek po lewej stronie — wielki urząd piastuje.

— Ochmistrzyńni dworu? Panna Arcamone? — krzyknął Krabatius, zapominając na śmierć, że w zabobony nie wierzył.

Szczepanowa skrzyżowała ręce na piersiach i spuściła oczy, a zagadkowy półśmiech poruszył na jedno mgnienie oka jej pomarszczoną twarz.

— Niechże mnie Bóg broni... wždy nie wymówiłam niczyjego nazwiska... nie wiem nic. A teraz niech wasza miłość napije się z tej szklanki trzy razy, ino prędko, bo skuteczność w powietrzu się rozplynie. Pijcie, pijcie, nie ociągajcie się... raz... i dwa... no, jeszcze kropelkę... teraz wam prysnę w oczy lewą ręką... ot tak, a wasza miłość otrzyjecie się rąbkiem własnej koszuli. Bardzo ślicznie! Aha... byłabym zabaczyła; jeszcze jedno, żeby trojaki siły w wasze ciało wstąpiły.

Tu Szczepanowa złożyła koniec swego fartucha w trzy grube fałdy, stanęła przed chorym i biorąc kolejno jeden fałd podrugim w palce, mówiła:

— Święta Zofia trzy córki miała... jedna przedła, druga motała, a trzecia — tu rozciągnęła raptem wszystkie fałdy naraz — świętym pańskim uroki odczyniała, amen. Wasza miłość może teraz jeść i pić, ile się żywnie podoba, a jutro raniuchno wstać i świętej Zofii za zdrowie podziękować. Mnie zasię nie dziękujcie, boby urok dziewięcioraki spadł na mnie. Ostańcie z Panem Jezusem!

— Jasiu... jakoś mi dziwnie lekko i wesoło... tak bym coś zjadł... — mówił Niemiec.

— Biegnę, lęcę, zaraz coś dobrego przyniosę!

Wszyscy chłopcy wybiegli na korytarz za Jasiem, a on śmiał" się, aż się za boki trzymał.

— Biedaczysko! Z głupstwa zachorzał, błazeństwem się uleczył... ot i koniec krotofili...

A Krabatius, rozważając w samotności wieszczce słowa wyroczeni, mrucał, potrząsając głową:

— No, no, ale ta Arcamone... zawsze mówiłem, co ta baba brzydko na mnie patrzeć.

Z nadmiaru serca (łac); (przyp. aut.)

Jod. Lud. Deeius: *De Sigismundi Regis temporibus* (przyp. aut.).

Przekład Piotra Kochanowskiego (przyp. aut.).

Nazwy ziół leczniczych (przyp. aut.).

# ROZDZIAŁ III

## FIGIEL KONSTANTEGO GEDROYCIA

Król Zygmunt wstawał zazwyczaj wcześniej i skoro się tylko ubrał, szedł na czezo do kościoła krytymi schodkami, które wiodły wprost z komnat królewskich do kaplicy Przenajświętszego Sakramentu, dziś zwanej kaplicą Batorego.

Tam, usiadłszy na krześle tronowym z różowego marmuru, słuchał z wielką pobożnością mszy świętej, odprawianej przez księdza kapelana, ojca Wita z zakonu dominikanów. Dworzanie, służba pokojowa i paziowie mieli surowo nakazane codzienne nabożeństwo w kościele i pan ochmistrz Strasz dobrze poglądał i pilnował, czy którego z jego wychowanków czasem nie brakło. Dopiero po powrocie z kościoła spożywano gorącą polewkę winną, piwną lub kluski z mlekiem, po czym każdy szedł do swego zajęcia.

Królowa i jej damy przychodziły w trzy godziny później, a mszę dla miłościwej pani odprawiał ksiądz Battista Trivulzio, nadworny kapelan Bony. Zaś w trzeciej komnacie za sypialnią królowej znajdowała się jej prywatna kaplica, gdzie za dyspensą biskupa krakowskiego dozwolonym było odprawiać nabożeństwo w razie niezdrowia najjaśniejszej pani.

Bona lubiła bardzo tę kaplicę, zaścierała ołtarz pięknie haftowanymi obrusami, przystrajała go co dzień świeżymi kwiatami; w ciężkich, srebrnych lichtarzach o bogatych ornamentach paliły się grube świece z najbielszego wosku, a ornaty i inne aparaty kościelne, złotem i perłami wyszywane, były dziełem jej rąk, z małą tylko pomocą dam dworskich wykonanym.

W zagłębieniu za ołtarzem stała bogato rzeźbiona skrzynia z oliwnego drzewa, perłowcem i koralami inkrustowana (jeden ze sprzętów wyprawnych Bony), a w niej monstrancja o dwunastu promieniach sadzonych diamentami, ampułki złote, krucyfiks z kości słoniowej misternie rzeźbiony, kielich z wyobrażeniem Przemienienia Pańskiego u góry, a oskrzydłonymi główkami aniołków na podstawie; robota młodego, a już wielkiej sławy mistrza Benvenuto Celliniego. W puzdrze skórzanym, wyłożonym purpurowym ałtarem, złożona była najcenniejsza perła tego skarbcza, relikwie św. Andrzeja apostoła i męczennika, w złotej skrzynce ze szklanym na wieku okienkiem.

Mikołaj Ostroróg, jeden z dwunastu paziów wyznaczonych na dziś do obsługi króla jegomości, stał przy drzwiach i czekał, aż miłościwy pan skończy pożywać gramatkę piwną z grzankami, zwykłe swoje śniadanie. Janusz Zebrzydowski karmił ulubioną wiewiórkę Zygmunta I, a Bogusz, Karnkowski,

Drohojowski, Łaski, Gorayski i inni siedzieli w przedpokoju, czekając rozkazów.

— Możesz to zabrać, ale wracaj natychmiast — rzekł król do Mikołki, odsuwając próżny talerz.

— Słucham, miłościwy panie.

Wybiegł na korytarz, oddał naczynie pacholikowi i już był z powrotem.

— Pójdiesz na dół do kancelarii, do pana sekretariusza Rylskiego, powiesz mu ode mnie, by zaraz rozpisał kartelusze foremne do ich miłościów: pana hetmana Tarnowskiego, pana wielkorządcy Bonera, pana marszałka Kmity, do księdza biskupa, do pana Justa Deciusa i do tych wszystkich panów senatorów, o których obecności w mieście miał się za moim rozkazem dowiedzieć. Niech uprzejmie wyrazi w swym piśmie jako im najlaskawiej przypomina, że jutro o piętnastej godzinie odbędzie się uroczystość poświęcenia dzwonu, po czym przewiezienie go na Wawel, a następnie skromna wieczerza, na której ich wszystkich rad widzieć będę.

— Weź ze sobą — dodał po chwili — Łaskiego, Bogusza i Gorayskiego, poczekajcie w kancelarii,

a gdy kartelusze będą gotowe, rozdzielić je między siebie i w tejże godzinie poroznosić gdzie należy. Pana Justa nie szukać na Woli, bowiem dziś rano miał być u księdza biskupa — tam go znajdziecie.

— Słucham, miłościwy panie.

Ostroróg zabrał po drodze wymienionych przez króla paziów i zbiegli ze schodów, nie... zsunęli się po poręczy jeden za drugim.

Kancelaria królewska mieściła się na dole, w dwóch izbach sklepionych, z oknami na wewnętrzne podwórze. W pierwszej siedziało sześciu pisarków, ludzi niższej kondycji, umiejących tylko wprawnie władać piórem; tych używano do kopiowania metryk, robienia wyciągów z aktów, przepisywania na czysto listów urzędowych do starostów itd.

Druga komnata równie obszerna jak pierwsza, zastawiona dokoła ścian wysokimi szafami i stanowiąca część archiwum królewskiego, była siedzibą regenta kancelarii\*, jegomości pana Marcina Niemętowskiego i wicesekretariusza, pana Floriana Rylskiego.

Pan regent lubił się spóźniać, ale podwładni wcale się o to nie gniewali, uważali bowiem, że robota nie ptaszek, nie ucieknie, więc w nieobecności przełożonego bawili się gawędką, opowiadaniem ploteczek dworskich, a najstarszy z nich, pan Łukasz Wiórko, miał nawet zacny schowek za skrzynią z zapasami papieru i pergaminu, gdzie ukrywał wspólną własność panów braci, pękata kamionkę i kilka kubków.

Gdy pan Niemętowski, przejrzawszy urzędowe pisma i wydzieliwszy każdemu skrybie zajęcie, wychodził do króla po dyspozycje na jutro, wiadano już z doświadczenia, że nie pokaże się w kancelarii, aż za dwadzieścia cztery godzin. Wtedy upragniony gąsiorek wysuwał się na światło dzienne, w kieszeni każdego kubraka znalazł się chleb z twarogiem lub z kiełbasą i następowała przekąska, zakrapiana wytrawnym miodkiem, co prawda wcale nie hojnie szafowanym przez pana Łukasza.

Pan Rylski zaś, zamknięty w drugiej komnacie, błogosławił również nieobecność pana regenta i korzystając z chwil swobody, rozczytywał się zapamiętale w jakichś starych jak świat księgach, wyblakłym inkaustem pisanych. Foliały te przechowywał pan Florian w większej jeszcze tajemnicy niż pisarze swój niebezpieczny gąsiorek.

Gdy paziowie wbiegli z impetem do kancelarii, wywołali wielkie przerażenie i zamieszanie wśród pisarków, którzy dziś właśnie wyjątkowo przed przyjściem pana Niemętowskiego zamierzali łyknąć po pół kubka za zdrowie pana Wawrzyńca Kotowicza — solenizanta. Imieniny jego były wprawdzie przedwczoraj, ale z powodu zaziębienia i ciężkiej chrypki pan Wawrzyniec dwa dni siedział w domu i dziś dopiero ukazawszy się w biurze, przyjmował życzenia i oracje kolegów.

— A bodaj waszmościów ubito! Napędziliście mnie strachu niemało!... — zawołał pan Łukasz, zatykając gąsiorek. — Ażem zdrętwiał, że to pan regent.

— Nie ma go jeszcze? — spytał Mikołka.

— Ale pan wicesekretariusz Rylski jest już.

— My też ino do niego mamy sprawę. I weszli do drugiej komnaty.

Na ich widok pan Florian przyrzucił płatem pergaminu księgę, w której właśnie czytał, i odpowiadając uprzejmie na ich ukłony, zapytał, czego by sobie życzyli.

— Od miłościwego pana przychodzimy z poleceniem — rzekł Ostroróg i wyjaśnił, o co chodziło.

Pan wicesekretariusz napisał prędko rodzaj formularza, wydobył z szuflady przyrządzony już pierwej spis senatorów i znaczniejszych osobistości, którym zaproszenia miały być rozesłane, i podał to wszystko, uchyliwszy drzwi, skrybom do jak najrychlejszego przepisania.

— Spocznijcie waszmościowie — rzekł do paziów — osiemdziesiąt kilka inwitacji napisać to długo potrwa; chocia ich siedmiu tam siedzi i kwapić się mają, zawżdy to nie palcem przekićwać.

— Za godzinę będzie? — spytał Bogusz.

— Może.

— Toby należało skorzystać z czasu i do sadu skoczyć; mówił mi Kuba, że tam dziś lubaszki trzęsą.

— No to lećcie na jednej nodze i wracajcie cwałem — rzekł Ostroróg — a mnie tam jaką przygarść niech każdy przyniesie. Boję się odchodzić, bo jakbyście się, broń Boże, zapóźnili, tobym ja jeden przynajmniej zabrał większą część listków, a wy byście mieli mniej do roboty.

— Chodźcie, chłopcy!

— Pomnijcie ino, że rozkaz królewski to nie żarty, i wracajcie niebawem.

— Straszniem ciekaw onego poświęcenia dzwonu — rzekł Ostroróg, przysuwając zydel bliżej stołu pana Ryłskiego — mistrz Hans Behem wprowadzie na cały świat słynie jako ludwisarz najpierwszy; ino brat jego Tebaldus w Norymberdze może się z nim zrównać, ale... takie odlewanie to zawsze trafunek. A nuż się forma po brzegi nie wypełni, a nuż bańka z powietrza w którym miejscu ostanie? A nuż nierówno zastygnie albo gdzie rysa, czyli szpara się znajdzie? Gadał mi o tym wszystkim towarzysz z ludwisarni mistrza Hansa i zaręczał, że choć jego pan zna wszelkie sposoby i przepisy tajemne, zawsze pewności pełnej, nie ma i z niepokojem onego jutra wygląda.

— Ino że w pomyślnym miesiącu dzieło poczynał i w dobrym je skończył, tym się może w swej niepewności krzepić — rzucił jakby sam do siebie pan wicesekretariusz.

— Jak to waszmość rozumie?

— Lipiec, miesiąc najsporszego kwitnienia wszelkiej rośliny, miesiąc pszczołom sprzyjający, w łacińskiej mowie miano rzymskiego cezara noszący, pomyślny jest każdemu przedsięwzięciu. Sierpień zaś mianem swym żniwo oznacza, a po łacinie „August” także imię cezara. Przeto wiedział dobrze mistrz Behem — zwłaszcza że i gwiazdy najlepiej się ninie układają — powtarzam, wiedział mistrz Behem, co czyni, gdy się w takowej sposobnej porze wziął do dzieła.

— Waszmość, jak widzę, astrologię uprawia? — spytał ciekawie Mikołka.

— Po trosze, niewiele — odparł pan Florian — ani czasu, ani ksiąg potrzebnych nie mam; a kupić, choćby się i grosz po temu znalazł, wielce trudno, bo te nowsze pisma, co ich to w każdej typografii dostanie, małą wartość mają i głębokiej nauki w nich nie szukać. A starodawne... na wagę złota.

— Ja zaś słyszałem, że uczeni mężowie powiadają, jako właśnie one dawne astrologie, alchemie, magie ino kłamstwa i bałamuctwa szerzyły i że człek oświecony ku zabawie tylko a rozweseleniu odczytywać je może.

— Brednie... jako żywo... bez nieuków a zarozumiałców głoszone. Nie wierz waszmość temu! Ino w zaufaniu wam się zwierzę, zatrzymajcie to przy sobie, ja sam cokolwiek się na magii rozumiem, ale to nauka tak wielka i nieprzystępna, że całego żywota nie starczy, by ją zbadać, a nie tych marnych kilka lat, jakie jej dorywczo poświęceni.

„Oho, bratku, toś ty taki!... — przeleciało, jak iskra, przez głowę Mikołki — to mi woda na mój młyn!” — Nie obawiacie się grzechu, czcigodny panie? — spytał, strojąc zalęknioną minę.

— Ach, grzesznego w tym nic nie ma; zaraz ci to wyjaśnię. Starożytni Persowie, Medowie, Egipcjanie znali już tę naukę którą magią zowiemy, stąd sobie imaginuj i eksplikuj, że nie lada mędracy zgłębiali swymi umysłami tajemnice niewidzialnego świata.

— Niewidzialnego świata?! — krzyknął paż.

— Strachasz się waszmość? To zaprzestaną; w istocie za młody jeszcze jesteś.

— Nie, nie, mówcie śmieje, to ino pierwsza chwila.

— Tedy, przez długich wstępów, ino co się tyczy grzechu, powiem ci, że dwie są magie: czarna, czyli związek ducha człowieczego z duchem złym, pakta zawarte z piekłem, mocą których całe plemię diabelskie staje na służbę człowiekowi — to jest grzechem śmiertelnym i potępieniem wiecznym.

Biała zasię magia, gdzie ino uczy się człowiek przynikać siły przyrody i poznawać duchy pośrednie.  
— Cóż to za jedne?  
— To są... jakby ci rzec... duchy ludzi jeszcze nie narodzonych; nie ich miejsce w niebie, gdyż na nie zasłużyć nie miały czasu. Do czyścica im się takóž iść nie należy, a już najmniej do piekła, gdyż nie popełniły wcale grzechu. Tych duchów smętnych a błędnych są między niebem a ziemią niezliczone roje i one to właśnie chętnie poddają się woli naszej, służą nam i wszelakie nasze rozkazy spełniają.  
— Rozumiem — kiwając poważnie głową, rzekł Mikołka — z samego uprzykrzenia a nudów, aby ino nie latać z kąta w kąt.  
. — W tym atoli cała sztuka, by je umieć zagarnąć pod swoje panowanie i tego uczy biała magia.  
— Rety!... Gdzież ja miałem głowę! — zawołał chłopak, bijąc się w czoło. — Chyba to jakie mamidła, iżem tak na śmierć zabaczył... wždy ja mam takową księgę! U rodzica na strychem ją znalazł, ino żem nijakiej wagi do onych bredni nie przywiązował.  
— Nie pomnisz waść tytułu?  
— Zaraz... aha, na pierwszej karcie stało napisane:

*Arcana magiej białej  
Czyli zakłęcie przednie,  
By cię, człeku, słuchały  
Wszelkie duchy pośrednie.*

— Czy być może? Co za zrządzenie losu!... Nigdy o takiej księdze nie słyszał... musi być bardzo stara?  
— Okropnie.  
— Przynieś mi ją waszmość zaraz jutro.  
— Oho, ho, ani myślę — butnie sprzeciwił się Ostroróg — pierwej sam spróbuję onych zakłęt, może mi się uda przywołać jakiego ducha.  
— Ależ, dziecko nierozważne, bez długoletnich przygotowań nic nie sprawisz, a ja już niejedną tajemnicę zgłębiłem.  
— Nie, za darmo jej nie dam; coś przecie za tak wielki skarb w zamian muszę dostać.  
— Więc gadaj waszmość, ile chcesz?  
— Pieniędzy mi nie trza, mam ich dość od rodzica. Dajcie mi ten wasz pierścień z rubinem.  
— Co? Podarunek najmiłościwszego pana? Nigdy!  
— Dziwny z was człek; wždy nauczywszy się czarów, tysiąc takich pierścieni na dzień mieć będziecie.  
— Zaiste, prawdę mówisz; więc księga za pierścień, pierścień za księgę, słowo?  
— A co... wróciliśmy na czas? Patrz, ile śliwek! Nastaw połę! — wrzeszczeli, jeden przez drugiego, Łaski, Gorayski i Bogusz, wpadając do kancelarii.  
Pan Łukasz wścibił głowę przeze drzwi.  
— Kartelusze gotowe; mogą waszmościowie zabrać. Pokłonili się grzecznie i wylecieli jak wicher.  
— Żeby mi się ino chycić dało onego czarodzieja na wędkę! — mruzczał pod nosem Mikołka i pobiegł w miasto z zaproszeniami.

Powyżej klasztoru OO. Franciszkanów, wzdłuż murów miejskich, cisnęły się tłumy ludu nieprzeliczone; z każdej strzelnicy, z każdego okienka baszt wyzierały głowy i główki ciekawych. A było czego się cisnąć, było za czym wyglądać! Toż to dziś właśnie, dziś, za pół godziny, z formy do ziemi wkopanej i przed tygodniem wrzącym spiżem napełnionej, wyłonić się miał na powierzchnię

ziemi, ukazać po raz pierwszy słońcu złocistemu i królewskiemu majestatowi dzwon wspaniały, jakiego dotąd jeszcze Polska nie widziała\*.

Niedaleko murów, między Basztą Prochową a Basztą Iglarzy, stały duże trybuny bogato przyozdobione. Wchodziło się na nie po trzech stopniach czerwonym sukniem wysłanych. Mniejsza, przeznaczona dla rodziny królewskiej, okolona była z trzech stron barierą takimże czerwonym sukniem obitą. Na wzorzystych kobiercach ustawiono trzy krzesła, pod adamaszkowym szkarłatnym baldachimem, dla miłościwego króla, jego małżonki i dla księdza biskupa. Za nimi w głębi opierała się o barierę szeroka ława dla panien dworskich. Na stopniach od przodu mieli siedzieć paziowie. Drugie wzniesienie, o wiele obszerniejsze od królewskiego, przeznaczone było dla zaproszonych senatorów i wysokich urzędników państwa.

Tuż ponad grubą (tak się nazywało miejsce, gdzie sprawa odlewania dzwonu się odbywała) pobudowali cieśle rusztowanie wysokie, kształtem do wieży podobne. Były to wkopane na kilka stóp w ziemię, pokrzyżowane i skośnie o siebie oparte tramy ze stuletnich dębów, przybite jedne do drugich bretnalami i hakami kilkucalowej długości, prócz tego spięte gęsto żelaznymi kłami. Potężnej bowiem wytrzymałości musiały być ramiona, które bodaj na czas krótki miały piastować olbrzyma. Na bloku w samym szczycie rusztowania zarzucone liny grube, kręcone z konopnych powrozów, zwieszały się podwójnymi końcami ku ziemi.

Tuż obok stał Hans Behem z czeladzią i z sześćdziesięcioma ludźmi wypróbowanej siły, którzy mieli dzwon wyciągać do góry. Po wyrazistym obliczu rzemieślnika-artysty przesuwają się kolejno blaski i cienie... obawa, radość, duma, niepewność, zwątpienie, a w końcu spokojna ufność i mocne przekonanie, że wielkie dzieło, którego się podjął, nie było wcale zadaniem nad jego siły i że dzień dzisiejszy nazwisko jego nową sławą okryje.

Oparł głowę o jedną z potężnych belek rusztowania i czekał.

Zanim strażnik z wieży Mariackiej otrąbił na cztery strony świata godzinę piętnastą, już wszystkie miejsca na trybunie gości królewskich były pozajmowane. Straż miejska i służba grodzka utrzymywały porządek wśród tłumu, nie dając mu podsuwać się zbyt blisko i utrzymując szeroką drogę, aż pod samą górę wawelską.

— Jada już, jada! — dały się słyszeć okrzyki.

Wszystkich oczy zwróciły się ku zamkowi, skąd istotnie widać już było zbliżający się orszak królewski. Paziowie jeno i przyboczni dworzanie szli pieszo; królowa, damy dworskie i duchowieństwo jechali w lektykach, król i starszyzna dworska konno.

Okrzyki powitalne, wołania: „Niech żyje miłościwy król!”, „Niech żyje miłościwa pani!” — rozbrzmiewały w powietrzu i ucichły dopiero, gdy oboje najjaśniejsi państwo zasiedli na swych krzesłach.

Olśniewający przepychem strój królowej pociągał ku sobie oczy wszystkich; zdumiewano się, zachwycano; ci, co lepiej widzieli, opowiadali z cicha tym, którzy dojrzeć nie mogli, niewiasty zwłaszcza gorzały uwielbieniem.

— Gadajcież, kumosiu, boście wy między nami, niczym bocian między kaczkami... gadajcie, ino nie zmylcie, wszystko za porządkiem, cóż ma na głowie?

— Cieniuchne, białe, ni czepiec, ni rańtuch, widno włoską modą uczynione... opaską złotą przytrzymane, a co na niej kamyków iskrzących... ognie się ino migocą! Na szyi łańcuch złoty i krzyż diamentowy.

— Dźwignijcież mnie krzynę, boście mocna, niech aby raz okiem rzucę... Jezu! Szata jak samo słońce! Wždy nie ze złotej lamy, bo cale inaczej świeci niż suknia miłościwego pana.

— A nie, to jedwab taki przedni i barwa o wiele jaśniejsza niż u króla w żupanie.



— Kwiaty po niej aksamitne, na podobieństwo żółtych róż.  
— Przyjrzyjcie się dobrze, Kasprowa, czy mi się ino widzi, czy w osnowie nić fiołkowa wmieszana, bo się ano mieni raz żółto, a raz jak malwa ciemna.  
— Jużci prawda.  
— Córeczka po nieboszczce stoi wedle niej za krzesłem.  
— Ta bledziuchna, w niebieskim aksamicie?  
— Aha, a przy nogach na poduszce, to jej rodzona, królowna Izabella. To zasię po lewicy, maluśkie...  
— Gdzie, gdzie?  
— E, nie dojrzycie. To będzie chyba synuś najukochańszy... ani chybi królewicz Zygmunt. Najmiłościwszy pan rękę na główce mu położył.  
Chwilę jeszcze trwały rozmowy, szmery, falowanie głów ludzkich, wreszcie wszystko umilkło, nastąpiła cisza, lecz cisza pełna niepokoju i oczekiwania.  
— Tak mi serce wali... czegoś się boję... — szepnął Krystek Czema do Jasia Drohojowskiego.  
— A mnie w uszach dzwoni i huczy.  
— A mnie ręce i nogi drżą — rzekł Szydłowiecki.  
— Mnie z tego czekania tak nudno, aż spać się zachciało.  
— Montwiłł, zmiłuj się, nie ziewaj tak głośno!  
— Taże nie obraza majestatu. Ot, patrzaj, sam ksiądz biskup tak sobie ziewnął, aż strach, a wedle króla siedzi.  
— Cicho! Już się zaczyna...  
Czeladź mistrza Behema usunęła deski zasłaniające otwór gruby; w głębi ukazało się ogromne ucho, wysoko sterczące . ponad sam dzwon. Zadziergnięto w nie dziesięć lin, które sam mistrz poplątał w misterne węzły, a te węzły jeszcze osobnymi sznurami pościągano i omotano.  
Każdy koniec liny chwyciło sześciu muskularnych chłopów. Hans Behem wstąpił na belkę od zewnątrz rusztowania sterczącą, podniósł obie ręce w górę i zawołał:  
— Baczność!  
Sześćdziesiąt par oczu wlepionych w twarz jego czekało znaku.  
Opuścił ręce z krzykiem:  
— E -hej!  
Dziesięć lin wyprężyło się równocześnie, a w głębi gruby coś zaszemrało.  
— E — hej! E — hej! — powtarzali teraz chórem robotnicy wyteżając ramiona, chyląc żylaste karki i rozstawiając szeroko nogi.  
— E — hej! E — hej! — powtarzał tysiącem głosów lud zgromadzony, pracując myślą, wołą, całą duszą razem z nimi.  
Dźwignął się olbrzym leniwie, jakby mu żal było opuszczać swoje łoże podziemne, i z wolna, zrazu niedostrzeżenie, wznosił się ku otworowi gruby. Nareszcie ponad powierzchnią ziemi ukazało się ucho oplątane linami, za czym szary, lśniący, kopulasty grzbiet dzwonu.  
Dalej trwały nawoływania, wyżej podnosiło się spiżowe dzieło mistrza Behema.  
A on stał na rusztowaniu z rękoma wzniesionymi w górę, krople potu wystąpiły mu na czoło... jego praca była w tej chwili najcięższą.  
Gdy nareszcie cały dzwon oparł swe krawędzie na czterech głazach, u stóp rusztowania ustawionych, puścili robotnicy liny i dysząc ciężko, odpoczywali.  
Wtedy ksiądz biskup Tomicki, odziany w złotolitą kapę i infułę św. Stanisława, zbliżył się tuż; za nim asystujący księża nieśli kociołek ze święconą wodą i dwie złote puszki ze świętymi olejami.  
Biskup odmówił najpierw przepisane do tej ceremonii psalmy, po czym wodą, do której wmieszał

szczyptę święconej soli, umył cały dzwon zewnątrz, a asystenci otarli go ręcznikami. Nastąpiły nowe modlitwy i biskup olejem świętym dla chorych namaścił dzwon w siedmiu miejscach znakiem krzyża. Gdy się pierwsza część obrzędu skończyła, wyciągano dalej na rusztowanie. Zaś po raz drugi zbliżył się doń ksiądz biskup, umył wewnątrz jego tak samo, jak to czynił poprzednio z wierzchu, oraz namaścił krzyżem świętym cztery razy i rzekł donośnym głosem:

— Błogosławię cię i poświęcam ku czci świętego Zygmunta, w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, *Amen*. Pokój tobie!

W szeroką przestrzeń między tramami rusztowania wjechał wóz przemocny, umyślnie ku temu zbudowany; opuszczono liny i w samym środku na grubej pościeli ze słomy ustawiono dzwon.

Wspaniała procesja, w której uczestniczyło całe duchowieństwo krakowskie, zakonne i świeckie, z biskupem na czele, ruszyła ku zamkowi; następnie szedł król z rodziną, dygnitarze, senatorowie, dwór cały, potem wóz umajony gałęzmi, wiozący nowo ochrzczonego, i wreszcie cała prawie ludność Krakowa. Dwanaście par wołów ciągnęło z wysiłkiem wielkim ten ciężar niezmierny pod górę. Z nie mniejszym, jak powyżej opisany, trudem zawieszono dzwon w nowej wieży, od dnia tego Zygmuntofską nazwanej.

Ostatecznym zakończeniem ceremonii poświęcenia, czyli chrztu dzwonu, jest akt uderzenia weń sercem' po raz pierwszy, która to czynność przypada jako zaszczyt w udziale fundatorowi lub ojcu chrzestnemu. Tutaj jednak musiano odłożyć ten obrządek do jutra, ponieważ mimo pośpiechu i wytężonej pracy robota na wieży przeciągnęła się aż do późnego wieczora, a serce, na osobnej podwodzie przywieszono, zawieszono zostało za ledwie po północy.

Najjaśniejsi państwo i ich goście nie mogli czekać tak długo; po skończonej tedy procesji i nabożeństwie w katedrze udał się król z zaproszonymi do swych pokoi, przykazując surowo służbie kościelnej, by nikt nie ważył się tknąć dzwonu jutro rano, póki on sam na wieżę nie przyjdzie.

Niebawem podano wieczerzę, która, ze względu na opróżnione i skazane na zburzenie wschodnie skrzydło zamku, nie mogła się odbyć w wielkiej sali stołowej, lecz w izbie Syreny, nazwanej tak z powodu złocistego świecznika, wiszącego na trzech łańcuchach u stropu, a przedstawiającego Meluzynę o rybim ogonie, z bukietem świec woskowych w każdej ręce.

Pan ochmistrz Strasz wydał rozkaz, by wszyscy paziowie stawili się zaraz po zachodzie słońca w antykamerach najmiłościwszych państwa, by mieli przysposobione świece do przeprowadzenia dostojnego towarzystwa przez ciemne korytarze do sali jadalnej, a potem stali za krzesłami gości, gotowi do posług i baczni na każde ich skinienie.

Prócz królowej i jej dam sami tylko mężczyźni zasiedli do stołu; miłościwa pani wyraziła dzień przedtem życzenie, by żadnej z niewiast bywających u dworu nie zapraszano, przeczuwa bowiem, że nadto będzie znużoną, by uczestniczyć w wieczornym przyjęciu. Tymczasem wspaniała uroczystość jakoś jej wcale nie zmęczyła, owszem, w wyjątkowo dobrym usposobieniu i wesołym humorze weszła na czele gości swego małżonka do komnaty Syreny.

— No i co ja pocznę, nieszczęśliwy — szepnął Kostuś Gedroyć do Bonera — tak wszystko wybornie ułożyliśmy, nawet i ta wieczerza była jakby li dla naszej wygody umyślona, a tu jak na złość Odmiwásowi strzeliło do głowy spędzić nas tu wszystkich co do nogi.

— Ot, zamiast lamentów i wyrzekań, radować się ano powinieneś — odmruknął Jędrak — ale nie każdego Pan Jezus roztropnością obdarował.

— Co gadasz?

— Cichaj; pan hetman po sól sięga, muszę mu podsunąć. Na pierwsze danie wniesiono ozory z polską podlewa, do tego makaron włoski, który z rozkazu miłościwej pani całymi pakami sprowadzany, co dzień musiał być na stole; następnie sześciorakie jarzyny, dzięki włoskim

ogrodnikom królowej od roku uprawiane w ogrodach, a mianowicie: kalafior, szpinak, pomidory, kalarepę, fasolkę szparagową i karczochy. Książdz biskup Tomicki odchwalić się nie mógł tych nowalijek i coraz to sobie dobierał, a miłościwa pani łaskawym okiem poglądała na niego i na wszystkich, co w onych przysmakach gustowali.

Signora Papacoda, bardzo jeszcze mizerna po przebytych cierpieniach moralnych, siedziała smętna obok starego Bonera i choć ją namawiał a częstował, ledwie jak ptaszek dzióbnęła dwa listeczki karczocha i jeden strączek fasoli. Za to panna Arcamone z Justusem Deciussem szermowała zawzięciem językiem, lecz przy rozmowie nie zapominała o żołądku i jadła za dwie. Inne damy dworu siedziały poniżej i... uczyły się po polsku od swych młodych sąsiadów.

— No, gadajże, coś miał gadać — zaczął znów Gedroyć do Bonera, który się ku niemu nieznacznie podsunął.

— Cóżem miał gadać? Wždy jasne jak słońce, że nas dwustu, a gości ani połowy przy stole, tedy łącno dwom, trzem, a nawet i czterem wymknąć się choćby na pół godziny.

— Zahaczyłeś, letkomyślniku bezmierny, jakoś mi sam wczoraj ze srogim umartwieniem zwiastował, że Arcam...

— Koniecznie ci potrza na głos wszystkie nazwiska wykrzykować?

— Ale gdzieżby słyszała!

— Więc cóż z tego, że klucz od swej sypialni w torebce nosi? Zali torebka przykuta? Wždy na wstędze uwiązana wisi. Czasem przy posłudze spadnie sztuciec na ziemię, trza go podnieść, niechże trafunkiem wstęga... się... sama rozwiąże, no i tego... A za jakie pół godziny Konstanty Gedroyć spostrzeże zgubę; nie... lepiej Koniecpolski, bo ten mydłek u całego fraucymeru w łaskach; on tedy zobaczy kieszonkę na ziemi (już się taki najdzie, co mu palcem pokaże), oczywiście skoczy ha wysługi, podniesie, z dwornym ukłonem odda — i sprawa skończona.

— A dasz radę?

— Jużem wymiarkował, co ino koniuszek leciuchno pociągnąć, to się samo rozwiąże.

— Klucz weźmij, na mnie mrugnij...

— A ty Drohojowskiego z sobą zabierz!

— Ostroroga nie trzeba?

— E, wystarczy nas trzech.

Rozmowa przy stole coraz bardziej się ożywiała; nie tykano spraw poważnych, żartobliwe ino anegdoty i opowieści sypali biesiadnicy jak z rękawa, a pan hetman Tarnowski prym trzymał. Słuchano go z zajęciem, czasem nawet z niedowierzaniem, bo niejedno mniej wykształconym z biesiadników pomieścić się w głowach nie mogło. Czego ten człowiek nie widział, gdzie nie bywał, iloma językami mówił! I Paryż znał prawie jak Kraków, i na hiszpańskim dworze długie miesiące spędził, i Włochy zjeździł całe!

O Wenecji, cudnej oblubienicy morza, umiał pięknie rozpowiadać, w Padwie u grobu św. Antoniego złote serce zawiesił, florenckich mistrzów znał osobiście, z Leonardem da Vinci przyjaźń zawarł, w Rzymie papieskiej mszy słuchał, pod Neapolem górę ziejącą ogniem widział. Czy na tym koniec? Gdzie zaś — do Afryki się przeprawił, a że o ciemnoskórych Maurach zasłyszał, to mu ich na własne oczy oglądać pilno było.

Król umyślnie rzucał pytania, by zmusić przyjaciela do tych zajmujących opowieści.

Aż tu wniesiono kurczęta ze śmietaną i włoską soczystą sałatę.

— Wszelkie uciechy na jeden dzień! — zawołał Zygmunt wesoło. — Czy jest na świecie lepsze jadło, jak kurczęta ze śmietaną? \* Strzeżcie się, waszmościowie, byście głodno od stołu nie wstali, bo gdy tę potrawę uwidzę, niemal o wstrzemięźliwości zapominam.

— Zakonotuję te słowa waszej królewskiej mości — rzekł biskup Tomicki z uśmiechem — bo ano pora wielka wypić za zdrowie mego chrześnika, najmłodszego z Zygmuntów. Wznoszę kielich i piję w ręce wasze, miłościwy panie!

— Tak że mi przewielebność wasza źle życzyte? — z udanym żalem zawołał król. — Wiadomo wam, że wina dla zdrowia nigdy nie pijam.

— Gotów jestem do ustępstw — zmieszamy je z wodą.

— Ustąpcie jeszcze krzynę, księżę biskupie... zali moje ulubione piwo piotrzkowskie nie stanie za wino z wodą?

— Uważaj waść! Daru boskiego nie umiesz uszanować — oburknęła zgryźliwie ochmistrzyni Jędrusia Bonera, który tuż przy jej krześle upuścił koszyczek z nakrajanym chlebem.

— To niechcący, raczcie wasza miłość darować; pośliznąłem się ino — przeproszał paż pokornie — wyzbieram co do okruszynki.

Rzucił się na kolana i również niechcący sparł się jedną ręką na powłoku donny Arcamone, by ciągnąc suknię, mógł odwrócić uwagę od lekkiego szarpnięcia przywiązanej na wstędze torebki.

Ulubiona potrawa Zygmunta I (Gloger, „Encyklopedia staropolska”) (przyp. aut.).  
Jod. Lud. Decius: „De Sigismundi Regis temporibus” (przyp. aut.).

— A cóż za niepolityczny chłopak! Teraz mi znowu suknię z fałdów wrywa; usuńże się waść!

— Już, już, idę po świeży chleb do kredencera. I pobiegł ku drzwiom od sieni.

— I cóż? Jest? — spytali z biciem serca Gedroyć i Drohojowski.

— O! — lakonicznie odparł Jędrus, uchylając poły.

— O rety... po cożeś wszystko zabierał? Nie lepiej ino klucz?

— Aha, miałem ci klęczeć i rozpinąć torbę, a za powrotem znowu padać na kolana przed starą sową i chować klucz na swoje miejsce? Toć by ślepa i głucha być musiała, żeby nie zmiarkowała, co się święci.

— Hola! hola! nie czas na rozhowory; musimy się sprawić piorunem.

Zbiegli ze schodów, potem chyłkiem, muru się trzymając, w sam kąt ku stajniom, od których wozowniami oddzielona stała szopa niewielka, na nocleg dla osłów naprędcie z desek zbita.

— Szmaty grube masz?

— Starą derkę ze strychu zabrałem.

— Podrzyj na czworo.

— A nie wierzga?

— Oślica zła, kasa i wierzga, ale osioł całę łaskawy; chleba pół bochenka capnąłem, będę łamać i bez całą drogę podawać, to ani piśnie.

— Owińcież mu kopyta starannie, coby szedł cicho po kamieniach i po schodach.

— Ja sam poprowadzę — rzekł Kostuś — ty mu podawaj chleb.

I znowu z całą ostrożnością, boczkim, chyłkiem, przekradli się do nie zamieszkanego wschodniego skrzydła i do starych schodów obecnie również nie używanych. Gedroyć trzymał osła za grzywę i prowadził pod górę; gdyby nie chleb, ciężko by się dał uparciuch nakłonić, a tak co parę stopni dostawał przysmaczek i jakoś wcale prędko wydrapali się na drugie piętro. Obrócili się w swój kochany ustronny korytarz, dotarli do drzwi pokoju ochmistrzyni i...

— Święci patronowie, ratujcie!... A Krabatius w drugiej izbie... ino drzwi dzielą; usłyszcy nas...

— On? Jeszcze mu się nieco chorość przywidywała, dałem mu przed wieczorem dwa kubki starego wina, śpi ano, aż chrapi. Słyszycie?

— No, to otwieraj na gwałt, bo czas ucieka!

— Już?

— Już.

— A nie będzie ryczał?

— E, ciemna izba, ciepło, najadł się, pewnikiem zaśnie.

— Na dwa spusty muszę zamknąć tak, jak było.

— Lećmy na miłość boską w te pędy, bo mi się zda, że już wszyscy goście zauważyli, że nas na sali nie ma.

— Bo ci się rozum ze strachu miesza; ani pół godziny cała robota nie trwała.

— Słuchaj, Drohojowski, ja się nie mogę narażać na przyłapanie, bom się już pierwej dość wedle Arcamony kręcił; idź więc ty, trzymaj torbę pod nasuwniem, a przechodząc podle jej zydła, upuść z letka na powłok i nie oglądając się cale, wolnym krokiem stąpaj dalej. Zaś Kostuś chyci się Koniecpolskiego lub Korybuta, który z nich będzie pod ręką, i niby niechcący pokaże mu oną torebkę na podłodze. Pierwej by się ziemia zapadła, zanimby który z tych dwu był o jaką psotę posądzony.

Wśród gwarnej rozmowy, wśród śmiechów i toastów, wśród bieganiny służby, nikt, nawet czujny jak Argus pan ochmistrz Strasz, nie zauważył nieobecności trzech chłopców ani ich powrotu na salę. Bawiono się jeszcze z godzinę przy stole, na wety obnoszono słodkie dania i marcypany, wreszcie królowa jejmość powstała z krzesła, dając znak do rozejścia się. Oboje królestwo zegnali najłaskawiej każdego ze znamienitych gości jakimś uprzejmym słówkiem, przy czym król Zygmunt przypomniał, że jutrzejsze święto Wniebowzięcia Matki Boskiej nowy dzwon o szóstej rano swym śpiewem powita.

Pogaszono światła, sześciu paziów nocną służbę pełniących poświęciło królowi do jego komnat, drugich sześciu odprowadziło królowę.

Bractwo figlikowych turniejów pobiegło cwałem do swej sypialni, by nie zapalając w niej światła, stać u przymkniętych drzwi, czyhać na przyjście panien dworskich i widzieć powitanie panny Arcamony z ukrytym w jej komnacie osłem. Szydłowiecki, jako sędzia i przełożony związku, troskał się o bezpieczeństwo swoich braciszków.

— Słuchajcie no, chłopcy — rzekł — pamiętaliście też o tym, by was ciągle przy obsłudze widziano, a krótkiej wycieczki nie spostrzeżono? Bo na tym właśnie sztuka. Taką już mamy złą sławę (Bogiem a prawdą cale zasłużoną), że i dzisiejszej psoty autora, czyli sprawcy, najpewniej między nami szukać będą. Choćby ino dlatego, że tutaj mieszkamy, a tamci daleko, a po wtóre, żaden by tu nawet nie trafił w one zakrętasy i zakamarki, jeszcze by które z paniątek nóżkę złamało. Więc ja najstarszy i sędzia zapytuję was, jakeście się sprawili.

— Ja — rzekł Gedroyć — bez calušką wieszczę, aż do samych kurcząt, stałem na jednym miejscu, bo tak najroztropniej.

— A kto znamienity może zaświadczyć, że cię widział?

— Ano, niech wasza wielmożność osądzi: stałem za krzesłem pana Firleja i miłościwa pani dwa razy do mnie przemówiła, bym mu coś tam podał. Nalewałem piwa królowi jegomości, gdy pił zdrowie swego imiennika, i umyślnie przelałem wierzchem, a miłościwy pan odwrócił głowę i połajał: „Uważaj, co robisz!” A gdym z osłej wyprawy powrócił, znowu skoczyłem na to samo miejsce i ani drgnąłem już do końca wieszczę. Zali dobrych mam świadków? Sam król i królowa!

— A ja posługowałem z całego serca pannie ochmistrzyni — roześmiał się. Jędrus — aże jej nudno było, takem wedle niej skakał. Nie moja wina, że mi się noga na onej powłoku skręciła i z piętnaście skibek chleba na ziemię spadło. Rzuciłem się wybierać, a ta jeszcze mruży, że jej suknię depczę; jakożbym inaczej mógł wstęgę rozwiązać i torebkę uszczknąć... chi, chi, chi...

— A nie zauważyła?

— Ani krzty.

— No, a ty Drohojowski?

— Ja się razem z Krystkiem uczepiłem krzesel panien de Macris i de Opulo i wyprawialiśmy krotofile, aż się pokładały ze śmiechu.

— Ja zaśię — rzekł Ostroróg — trzymałem się duchownych osób; księza biskupi obaj mogą przysięgać, jako ich na jeden pacierz nie odstąpiłem.

— No, a mnie także niezgorzej się działo — dodał Szydłowiecki — bo sama panna Papacoda przyzwała mnie do siebie i prosiła, bym się nie oddalał, bowiem ze służbą nie umie się zgadać, a ja po włosku rozumiem. To i stałem trzy godziny wedle niej. A ty, Dmytruś, nie boisz się posądzenia?

— Tążeż ja niczym dziecko przy matce stał sobie podle samego Strasza i coraz to do niego ręce składał, żeby mnie puścił coniebądź przespać się. Niech no on powie, czy mnie przy nim nie było.

Korybut, Koniecpolski, Stadnicki i Łaski, najwykwintniejsi z paziów, ofiarowali swe usługi damom dworskim; w starym korytarzu bowiem, którędy miały iść do swych tymczasowych sypialni, ceglana posadzka bardzo była nierówna, powybijana, niespodziewane schodki i zakręty utrudniały drogę po ciemku, bo jedna świeczka w ręku ochmistrzyni *nie* rozjaśniała ponurych ciemności. A że korytarz był wąski, więc po dwoje iść mogli, i to z wolna, ostrożnie, uważając na nierówności i dziury w podłodze. Korybut z Łaskim szli ze świecami przodem, Koniecpolski ze Stadnickim na ostatku.

— Co to tak zgrzypi czy jęczy? — spytała Hipolita de Opulo wzdrygając się.

— Gdzie? Nie słyszę.

— Aha, jakieś dziwne głosy, niby w samym końcu korytarza — rzekł Stadnicki.

— Co? W samym końcu? — zawołała Laura Beltrani — to ja kroku dalej nie idę.

— Coś krzyczy... co za ryk piekielny!

— Niechże się wasze miłości nie boją, to może z podwórca jakie głosy dochodzą; przecie w korytarzu nie ma żywego ducha prócz nas.

— W istocie nic teraz nie słychać.

— Zupełna cisza.

— Zresztą, przystaniemy tu, póki wasze miłości do swoich komnat nie wejdą.

Panna Arcamone włożyła klucz do zamku; żaden szmer złowrogi nie ostrzegł jej o grożącym niebezpieczeństwie.

— Dobrej nocy życzymy waszym miłościom!

- *Grazie, grazie*, pomówię jutro z miłościwą panią, opowiem jej, jako waszmościowie uprzejmi byliście dla nas i jako na całą zgrają trutniów i zuchwalców bezczelnych wy czterej tylko to prawdziwe panięta i *veri gentiluomini*. *Buona notte!*

— Ehe, ehe, pogadasz ty o niejednym jutro z miłościwą panią... — szydził z niej w duchu Gedroyć wyzierając przez szparkę.

Ochmistrzyni obróciła klucz dwa razy, otworzyła drzwi i weszła do swej komnaty.

Signora Papacoda zęgnęła się jeszcze z paziami, a Beatrycze szukała w torebce klucza od sąsiednich pokoi, gdy nagle stanęli wszyscy jak gromem rażeni... z ciemnej antykamery biegła cofając się donna Arcamone, z lewą ręką sztywnie przed siebie wyciągniętą, jakby *coś* wstrętnego odpychała, podczas gdy prawą bezustannie i prędko kreśliła krzyże w powietrzu.

— *Congiuro te... va via] va via* — zatoczyła się i padła w objęcia Lauretty i Stadnickiego, którzy stali najbliżej.

— Co wam jest? Czy złodziej? Czy przywidzenie jakie? — pytali ze współczuciem.

— Może niemoc nagła? — szepnął Korybut do Beatryczy, pokazując palcem na czoło.

— Idźcie, kto w Boga wierzy!... wygnajcie go... święcona woda przy drzwiach.

— Od rzeczy gada; uderzenie do głowy. Uspokójcie się wasza miłość.

— Nie uspokoję się, póki... on... tam jest!

— Kto?

— Diabeł! *Ahi me...* diabeł najstraszniejszy... łeb ogromny, rogaty...

Nie domówiła ostatnich wyrazów, zagłuszył je wybuch niczym niehamowanego, nieokiełzanego, spazmatycznego śmiechu... Łaski aż przysiadł na ziemi, Korybut wił się, jakby go tarantula ugryzła, Konięcpolski i Stadnicki tupali nogami i kwiczeli nieczłowiecznym głosem, a panny skakały jak piłki w górę

Spokojnie, z namysłem i rozwagą kroczyło ku nim niewinne długoucha zwierzątko, przyczyna całego zamieszania.

— Znowu oni! — zdławionym od wściekłości głosem wyszeptała ochmistrzyni.

Donna Izabella, która od niepamiętnych czasów, czyli od lat młodości, zawsze pozostawała na skrycie wojennej stopie z donną Mariną, klasnęła w ręce:

— A to ucieszni krotofila! *E veramente una* wyśmienita figla! Osiol *nella camera* pani okmiczini... barzo wesola zabawka!... cha, cha, cha...

— Równie wesola zabawka, jak z pieskiem waszej miłości; ino że wtedy myśmy się śmiały, a kto inny płakał. Panie Konięcpolski, zechciejcie wyprowadzić to bydlę — dodała z udaną obojętnością. Osiołek tymczasem szedł sobie wcale swobodnie przez korytarz, a na widok wesołego i hałaśliwego towarzystwa uczuł się również mile podnieconym, zadarł łeb zuchwale i ryknął, jakby go żywem obdzierano ze skóry.

— Hi haaaau!

Gloger: „Encyklopedia staropolska” (przyp. aut.).

Przeździecki: „Jagiellonki”, 1, 63 (przyp. aut.).

Dzwon „Zygmunt” odlany był w r. 1520. Ze względu na piękność tej chwili, przesunęłam datę, byle umieścić ten epizod w moim opowiadaniu (przyp. aut.).

# ROZDZIAŁ IV

## FIGIEL MIKOŁAJA OSTROROGA

Nazajutrz król Zygmunt wstał raniej niż zwykle. Ledwie doczekał wschodu słońca, tak mu pilno było dostać się na wieżę i własną ręką zbudzić do życia śpiącego olbrzyma.

Przed godziną szóstą wyszedł z przedpokoju królewskiego Aleksander Chodkiewicz, jeden z paziów, i śpiesznie biegł najkrótszymi drogami do mieszkania kościelnego, Marcina Grudy, by go zawiadomić, że król jegomość kończy się ubierać i za małą chwilę będzie na wieży.

Marcin ze swojej strony zawołał czterech pachołków, bo wczoraj jeszcze pouczył go mistrz Behem, że co najmniej czterech lub pięciu ludzi potrzeba do rozhuśtania dzwonu.

Miłe było zdziwienie króla, gdy wyszedłszy po stromych schodkach na dzwonnice, zastał tam nie tylko mistrza Hansa, co było zupełnie naturalnym, a nawet koniecznym, ale hetmanów: Tarnowskiego, Firleja i marszałka Kmitę.

— Witajcie waszmościowie, z wielkim rozradowaniem was widzę — rzekł król łaskawie.

Przypatrzył się z bliska napisowi, biegnącemu dokoła dzwonu, i pięknym wypukłorzeźbom, które wyszły w odlewie nader ostro i czysto, i rozpytywał ludwisarza z wielkim zajęciem, jakie kruszce wchodzi w skład spiżu, czy długo się mieszanina owych metali roztopia, zanim jest gotową do wiania w formę, jak długo trwa ostygnięcie. A mistrz Behem odpowiadał szczegółowo na pytania, tłumaczył cały przebieg ciężkiej tej pracy, której pomyślnego wyniku nigdy nie można oczekiwać na pewne, i dodał w końcu:

— Ot i dziś jeszcze wątpliwości z serca nie wygnałem... dzwon odlany jest wprawdzie bez błędu ni skazy, przyjął wszystkie ozdoby najdokładniej, na pozór w niczym nie chybia, a jednak... jeszcze to nieme stworzenie... dopiero odetchnę swobodnie, gdy przemówi.

— Czegóż się obawiacie? — pytał król.

— Wiele się lękam, miłościwy panie; może być trafunkiem rysa, i to niejedna w ścianach dzwonu, warstwą napływającego spiżu po wierzchu zalana. Ja jej nie widzę okiem, ale wszelkie ucho ją pozna, bo dzwon niejednolicie odlany głucho a chrypliwie dźwięczyć będzie.

— Więc po co się długo dręczyć? Zaczynamy w imię Boże! I król dał znak pachołkom, by zaruszali dzwonem. Stanęli czterej rzędem, ujęli za liny i pociągnęli co sił... ani drgnął.

Kościelny, chłop setny, wyższy nawet od króla jegomości, skoczył im na pomoc — nie dał rady.

A mistrz Behem, oparty plecami o mur, chwycił rękoma za skronie i zapatrzył się rozmiłowanym wzrokiem w swoje dzieło, o bożym świecie niewiedzący.

— Hej, panie! — zawołał Gruda, pociągając go za rękaw. — Nie chce się ruszyć; czy posłać po więcej chłopów?

— Posłać?... gdzie... a tak... to jest nie... nie trzeba, ja pomogę. Raz, dwa, wszyscy razem... trzy!

Zatrzeszczały belki, dzwon usłuchał rozkazu i zakołysał się ku górze. Jeszcze raz... i jeszcze raz...

Gdy już za każdym pociągnięciem lin wznosił się regularnie i opadał, król skinął ręką na pachołków, ustąpili na bok, a sam pan miłościwy, trzej jego najwierniejsi przyjaciele i mistrz Hans z natężeniem sił swoich pociągali za sznury w coraz szybszym tempie, by zmusić serce do uderzenia.

I uderzyło! Dzwon przemówił!

Zatrzęsło się wiązanie, zadrżały mury... ze spiżowej paszczy dzwonu buchnął huragan dźwięków. Tętniące fale głosu przeniknęły wszystkich aż do wnętrza, gromko dudniły im w uszach, muskały ich po twarzach, niby powiew brzmiający przedziwną harmonią. Cała wieża pełna była śpiewu, który na



skrzydłach wiatru porannego popłynął ku miastu. Zdawało się niemożliwym, do prawdy niepodobnym, by te akordy tak bogate, ten chór jakby cudnie dobranych instrumentów muzycznych był... tylko głosem dzwonu.

Hans Behem płakał.

Oddano sznury dzwonnikom; król stanął w oknie zwróconym wprost na miasto, słuchał modlitwy dzwonu i patrzył...

Patrzył na baszty obronne, na wieżyce kościołów, na strzelającą wysoko pod niebo, najwyższą w Polsce wieżę Mariacką, dalej poza miastem widział wioski gęsto rozsypane, łąki zielone, pola ze zbożem w kopy poskładanym i czarne szmaty lasów na horyzoncie, widział mrowisko ludzkie zdążające drogami i ścieżkami na nabożeństwo do miasta...

Widział tym oknem całe dziedzictwo swoje, dwa ludy niegdyś obce sobie i wrogie, związane nie przemocą i orężem, lecz wiarą i miłością w jeden naród. Widział ten naród zdążający pod jego błogosławionym berłem do światła, szanowany przez sąsiadów, straszny wrogom, swobodny, szczęśliwy; czuł, że imię jego przechodzić będzie z pokolenia na pokolenie, jasne jak słońce, potężne jak słońce... i dziękował w pokorze Bogu, że go uczynił wielkim królem.

Z powodu uroczystego święta, miłościwy pan, oprócz zwykłej cichej mszy, wczesnym rankiem odprawionej, był jeszcze na wotywie o dziewiątej godzinie przed ołtarzem Wniebowzięcia Matki Boskiej, po czym wstąpił do zakrystii zapytać księdza Krzyckiego o wrażenia, jakich doznał słuchając po raz pierwszy głosu „Zygmunta”. Ksiądz Krzycki, biskup przemyski, lecz mniej na swej stolicy niż w Krakowie przemieszkujący, był człowiekiem uczonym i dworakiem wytrawnym; rozwodził się nad arcydziełem mistrza Behema i chwalił je wymownymi słowy, a zakończył pochlebnym zwrotem:

— Godzien jest król dzwonów nosić wasze imię, najmiłościwszy panie.

Wychodząc, spostrzegł król we drzwiach zakrystii nieznanego szlachcica, który błagalnym wzrokiem nań spoglądał i pokornie się kłaniał.

— Z prośbą? — spytał krótko Zygmunt.

— O sprawiedliwość! — również krótko odpowiedział szlachcic.

— Idź waszmość za mną; wysłucham i rozważę.

Weszli do kaplicy Przenajświętszego Sakramentu i krytymi schodkami wprost do komnat królewskich.

W pół godziny później szlachcic z otuchą w twarzy wychodził z zamku, a Starowolski, paż dyżurny, biegł do królowej jejmości z zapytaniem, czy może przyjąć odwiedziny miłościwego pana. Oznajmił się w antykamerze pannie de Macris, która zajrząwszy do bawialni, gdzie miłościwa pani listy nadeszłe z Włoch odczytywała, przedstawiła jej życzenie króla.

— Uprzejmie proszę! — rzekła Bona i żywo przebiegła do sypialni poprawić uczesanie przed zwierciadłem i zapiąć na szyi sznur wielkich bladoróżowych koralii, w których wyglądała uroczo a skromnie, co najjaśniejszemu jej małżonkowi najbardziej się podobało.

— Dnia dobrego waszej miłości z serca życzę — rzekł król wchodząc, a przybliżywszy się do żony, powitał ją powtórnie i ucałował.

— Czemu lub komu zawdzięczam tak miły dnia początek, że waszą królewską mość u siebie widzę?

— Zapytać was chciałem w pewnej sprawie, ale to później; cóż pisze wicekról Neapolu?

— Powołuje się na cesarza i przyrzeka zastosować się do jego rozkazów. W każdym razie ufam, że moje prawa do księstwa Bari są święte, a że po śmierci najmiłościwszej pani, matki mojej, niesłusznie je wicekról objął w posiadanie, przeto cesarz Karol powinien uczynić, co sprawiedliwe, i powrócić mi dziedzictwo.

— Przez nijakiego wątpienia — zapewnił Zygmunt — lecz gdybyś wasza miłość zażądała mego zdania, radziłbym wysłać z listem do cesarza człowieka wymownego i erudyka, by ustnie dopowiedział i wyłuszczył, czego by się w piśmie nie dało wyrazić.

— Raccie mi wskazać takiego człowieka.

— Ksiądz kanonik Stanisław Borek\* odpowie godnie waszemu zaufaniu; mąż to dziwnej przenikliwości, bywalec i polityk wielki, a wymowy niepospolitej i dowcipu bystrego. Jemu zawierz, wasza miłość, a czego by nikt nie zdołał, on sprawi.

— Dziękuję po stokroć waszej królewskiej mości, zaraz jutro zawezwę księdza Borka. Ale przejdźmy teraz do owego pytania, które mi macie zadać, a któregom ciekawa mocno.

— Chodzi tu o nieporozumienie, a zrządzeniem przypadku pełnię u waszej miłości podobną służbę, jaką u cesarza Karola sprawiać będzie wysłannik wasz, ksiądz Borek.

— Zaiste, zaciekawiacie mnie, miłościwy panie.

— Sprawa jest, zda mi się, jasna: dobra koronne, które wyznaczyłem waszej miłości jako oprawę, a w razie mej śmierci dożywocie wdowie, przynoszą dochody cale znaczne; zda mi się tedy niesprawiedliwością, że zarządcy, z ramienia waszego ustanowieni, gnębią przez wiedzy waszej dzierżawców i czynsze coraz to wyższe wyznaczają. Tak nie ma być... *dedecet!* I właśnie po sprawiedliwość przychodzę do waszej miłości, by skarciła samowolę swych sług i zagroziła wydaleniem. Proszę, uczynicie to dla mnie.

— Słusznie użyliście słowa „nieporozumienie”, miłościwy małżonku — odpowiedziała powoli i dobitnie Bona — lecz istnieje ono li między wami a mną, co zaraz wyjaśnię. Czynsze dzierżawne, za życia ojca waszej królewskiej mości ustanowione, a sądzę, że nie zaręczylibyście mi słowem, czy jeszcze nie za dziada waszego, króla Jagiełły, są śmiesznie niskie. Nakazałam memu pełnomocnikowi Grzymale przed trzema laty, by je podniósł, a w tym roku otrzymał także samo polecenie i rozkaz, by wolę moją ściśle wypełnił.

Zygmunt zmarszczył brwi i przygryzł usta, lecz nie unosząc się gniewem, mówił łagodnie:

— Niedobry to rozkaz, chcecie mi wierzyć. Czynszownicy mieli bardzo ciężkie lata ostatnie: grady w zeszłym roku wybiły wszystko, wiadomo wam również, jako tegoroczne srogiemrozy popsowały oziminy, śniegi do Świątek stały na polach, a po wsiach ludzie chwastami się żywili; nierzadko i pożary się trafiają. Zaliż król jest tyranem, a nie ojcem swoich poddanych?

— Pięknie i rzewnie przemawiacie, najjaśniejszy panie — z lekkim szyderstwem w głosie rzekła Bona — kłamcą byłby ten, który by was lub najmiłościwiej w Bogu spoczywających przodków waszych tyranami ośmielił się mienić. Królowie polscy w ogóle, a wy Jagiellonowie najbardziej, szlachetną wspaniałomyślnością się rządzą... darowywać na prawo i na lewo, nagradzać, kupować miłość poddanych, nie bacząc na jutro; a gdy to jutro zapuka do skarbcza waszego, znajdziecie... klejnoty cnót wszelakich, lecz szkatuły puste.

Nie tak postępują mocarze w moim kraju i nie na waszą modłę mój rozum urabiano. Gdy mam skrzynie pełne pieniędzy, kupuję wojsko i trzymam lud żelazną ręką. Królowie polscy zasię kupują serca, sieją dobrodziejstwa, a zbierają niewdzięczność!

- *Tace, fatua!* — jak piorun padły z ust króla dwa słowa. Pierwszy raz w życiu Zygmunt stracił cierpliwość. Wstał ciężko zagniewany z ławy i rzekł surowym głosem:

— Grzymała pójdzie precz, rządcę sam zamianuję, czynsze wyznaczę. Biada temu, kto mi się na jotę ośmieli sprzeciwić!

Ledwie się drzwi za nim zamknęły, Bona zerwała się z krzesła i czując swą bezsilność wobec twardej woli męża, zapalała gniewem, niemal wściekłością... Nazwał ją głupią i ziemia go nie pochłoneła! Kazał milczeć i ust nie otworzyła. Co się to stało? Gdzie się podział ów mąż

wyrozumiały i pobłażliwy? Jenó króla srogiego widziała przed sobą.

— I nic nie mogę... nic... muszę słuchać... wszystko się stanie, jako rozkazał... — krzyczała, biegnąc po komnacie jak szalona. Za upokorzenie, za niemoc swoją chciała wyrzucić zemstę na kimś czy na czymś, zadać ból, zranić, podeptać... Szarpnęła oburącz korale na szyi, pękła nić jedwabna, a korale rozsypały się z suchym łoskotem po posadzce...

Damy dworskie miały zawsze łatwy przystęp do królowej; otaczała ona swe rodaczki łaskawością wielką; najstarsze zwłaszcza, Izabella Papacoda i Marina Arcamone, które długie lata na dworze jej matki spędziły i na rękach ją dzieckiem nosiły, cieszyły się przyjaźnią miłościwej pani.

W parę minut po odejściu króla ochmistrzyni weszła do antykamery, ustrojona już świątecznie na sumę do kościoła; korzystając z przywileju przywiązanego do swego urzędu, otworzyła swobodnie drzwi do pierwszej izby — nie było nikogo. Z bawialni dochodził ją niewyraźnie głos królowej. „Zapewne rozmawia z którą z pańien” — pomyślała i przyłożyła ucho do drzwi.

„Gniewa się... — szepnęła — krzyczy... łaje... ciekawam, która znów coś przeskrobała... dobrze trafię, jak jest zła, to rada się znęca; za piołun wczorajszy wyproszę łącno plagi dla tych łotrów paziów. Ale których obwinić? Ostroróg i Boner... najpewniej oni... zresztą, wszystko mi jedno, byle plagi dostali. Ona także nie będzie dochodzeń czynić, zawoła Strasza i każe ich oćwiczyć”.

Delikatnie, jak przystało na osobę wykwinnych obyczajów, nie poruszając prawie kłamką, wsunęła się do komnaty i ku niemałemu swemu zdziwieniu przekonała się, że królowa jest sama.

Wyczerpana złością, krzykiem i płaczem Bona stała przy oknie z czołem opartym o szybę — odpoczywała.

Na swe nieszczęście donna Arcamone nie mogła dostrzec jej twarzy; pewna dobrego przyjęcia, odezwała się słodko:

— Najuniżeńsze służby moje składam u stóp miłościwej pani.

Milczenie.

„Zamyślona, nic nie szkodzi, zacznę wprost...”

— Ze skargą przychodzę do mej ubóstwianej monarchini... — przerwała.

Lecz nie mogąc doczekać się słówka od królowej, mówiła dalej:

— Paziowie, te nikczemniki zuchwałe, obrazili mnie wczoraj śmiertelnie... racz najjaśniejsza pani wydać wyrok jak najsurowszy.

Bona odwróciła się ruchem gwałtownym od okna i krzyknęła, nie hamując furii:

— Idź precz! Nic mnie twoje strapienia nie obchodzą!... Czego tu stoisz i wytrzeszczasz na mnie te sowie oczy?

— Najjaśniejsza pani... Bona tupnęła nogą.

— Czy już nawet własnej sługi wyrzucić za drzwi siły nie mam? Precz, mówię!

Jednym skokiem ochmistrzyni znalazła się za drzwiami i padła na ławę bliska omdlenia.

„Kto mnie oczernił... kto mnie zabił... w niełasce... ja, Marina Arcamone. *Dio mi lascia morire!*... Czy mi każe natychmiast opuścić pałac? Zawlokę się do mego kąta i tam będę oczekiwać strasznego losu... Jedyna pociecha, że nikt... ach, ulitował się Bóg nade mną... nikt mego poniżenia nie widział. Beatrycze i Lukrecja dokazują z Koniecpolskim, drzwi do antykamery zamknięte, reszta paziów biega po korytarzu; nikt nie widział, nikt nie słyszał”.

Donna Marina uprzedziła swe towarzyszki, że słuchając łaskawej rady miłościwej pani, idzie się położyć, gdyż po wczorajszym przestrawieniu czuje się bardzo, bardzo słabą.

Minął atoli ranek, minęło południe, zapadł wieczór, żadna wieść hiobowa nie nadchodziła, zboleły duch donny Mariny spoczął w pokrzepiającym uśpieniu.

Nazajutrz, gdy o zwykłej rannej godzinie paziowie wychodzili z kościoła po mszy księdza Wita, pan

ochmistrz Strasz, zatrzymawszy ich na podwórzu, przeliczył, czy którego nie brakło, i kazał się stawić w tym samym miejscu zaraz po śniadaniu. Gdy się zesli, wywołał po nazwisku dwudziestu czterech na codzienną usługę do miłościwych państwa, resztę zaś posłał do sali szkolnej na naukę; mistrz Ambroży bowiem narzekał bardzo na próżniaków i leniwców i pod tym względem zaprowadzono od tygodnia surowszy dozór.

Zamiast uczyć się jak chcą i kiedy chcą, musieli chłopcy przygotowywać swe lekcje rano, odpowiadać je dziesiętnikom, najpilniejszym i najzdolniejszym spomiędzy wszystkich paziów, wybranym przez pana bakałarza. Dopiero gdy zadania były napisane, a pamięciowe lekcje korepetytorom „wydane”, wolno było bawić się, iść na przechadzkę, z wędką nad Wisłę lub w odwiedziny do znajomych. Po obiedzie zaś półtorej godziny lekcji z mistrzem Ambrożym, potem wspólna zabawa na podwórzu zamkowym, jakieś turnieje, bitwy, zjazdy monarchów itp.

— Gdzie lecisz? Czemu nie na górę? — pytał Jerzy Opaliński Stacha Czarnkowskiego, który zamiast do szkoły, skręcił w bok na korytarz.

— Mam sprawę do kancelarii.

— Ehę, już umykasz, byle się nie uczyć, w mojej dziesiątce jesteś i jak nie będziesz umiał, to na mnie spadnie!

— Jako żywo nie uczynię ci tego; ale widzisz, i tak strachu mam niemało; miłościwy król wczoraj wieczorem, gdy z służby schodził, przykazał mi szukać zaraz dziś rano pana wicesekretariusza i zawezwać go na górę, jako jest ważna sprawa, nie cierpiąca zwłoki. A ja w kościele byłem i pośniadałem, a o rozkazie na śmierć zabaczyłem. Więc ino pobiegnę, powiem mu i w te pędy do szkoły.

— Tak, to co inszego, muszę cię puścić.

Ostroróg, który idąc obok, słyszał tę rozmowę, aż się za głowę chwycił.

— O Jezu... Jasiek, Jędrek, na pomoc!

Boner i Drohojowski przyskoczyli z gotowością.

— Co się dzieje?

— Musicie radzić. Mówiłem wam wczoraj, jaką sobie krotofilę umyśliłem, gwoli zadworowania z pana wicesekretariusza.

— Aha, z onego, co to w czary i w magię wierzy?

— Juści właśnie. Jużem wszystko przysposobił pięknie, składnie, nie wiedziałem ino, kiedy mi się nadarzy najforemniejsza chwila. Wždy rozumiecie, że musi być ułożone tak trefnie, aby się nie pozpał przed czasem, że to ino figiel.

— Więc cóż?

— Dziś właśnie taka wyśmienita sposobność się przygodzi, bo postyszałem tylko co, że pan Ryłski do króla jegomości jest wezwany. Pewnikiem jakie ważne pismo ma przysposobić; więc czy szedł będzie do króla, czy wracał, muszę go przypadkiem gdzie po drodze nadybać. A tu nie sposób wyrwać się ze szkoły, bo dziesiętnicy nie puszczają. Was bym obu zabrał, jako świadków, i Szydłowieckiego, bo on sędzia.

— To może by się najpierw lekcji nauczyć?

— Co ci się uwidziało? Ani za godzinę nie będziemy gotowi, Ryłski nam się wymknie i czekajże dopiero Bóg wie pokąd, zanim go ściągniesz w to miejsce, gdzie potrzeba.

— Wiecie co, Russocki użyczliwy chłopak, w jego dziesiątce wszyscy czterej jesteśmy, ino mu na rozum rzekę, to nas wypuści.

— Myślę, że nie, bo strasznie zawzięty do onej łaciny.

— No to chodźcie, spróbujemy.

— Marek, mójże ty, poczwórna suplika do ciebie idzie.

— Nijakiej supliki nie słucham, znam się na waszych wykrętach, zabierajcie się do roboty!

— Słuchajże, musisz nas wypuścić na dwie godziny koniecznie.

— Ani myślę.

— Nie przerywajże, póki nie skończę. Słowem szlacheckim ci ręczę, że nim na obiad zadzwonią, odpowiemy ci lekcję bez zająknięcia i *pensa* napiszemy, jeno przejrzysz, czy dobrze.

— Mamli zawierzyć?

— Niech no byś nie wierzył!

— Zatem zgoda; ale podajcie każdy rękę. Teraz idźcie!

— Bóg zapłać; nie zrobimy ci wstydu.

— Wiecie, chłopcy, gdzie nam będzie najskładniej? Na wielkich schodach; tamtędy iść musi, a trudno by było szukać go i czyhać po komnatach.

— Oj, lichy nadało Serczykową!

— Uciekajmy!

— Paniczki miłe... gdzie tak pilno? A to biegną na złamanie karku... Stójcież! Okropności się dzieją!

— Posłuchajmy — szepnął Boner — jakieś nowe bajki baba umyśliła.

— Dobrze, ino stańmy tuż przy schodach, coby dawać pozór.

— Niechże pani gospodyni mówi, co się stało?

— Ano, jakem rzekła... okropności; ale nie dziwota, gdy ludzie sami na siebie nieszczęście sprowadzają, to ono i przychodzi, a jakże. Ino za co ja niewinna pokutuję, to ani mój stróż anioł tego nie wie.

— Gadajcież raz!

— Wždy nie co inszego robię, ino gadam. Łaska boska, że mi jeszcze mowy nie odjęło. A głupie dwa kołki osikowe i byłby człek miał noce spokojne. Ale czy to taki jeden z drugim posłucha dobrej rady?

— O cóż pani Serczykowej chodzi?

— Jeszcze paniczek nie wyrozumiał, że o upiorach gadam?

— Przeszkadzają? Naprawdę?

— Powiadam paniczkom, Sodoma, Gomora, a jakże! Wszędy tego pełno... w biały dzień na strych idę, to ci tak coś piszczy za mną ,nad samym uchem, że się odwrócić nawet nie śmiem.

— Szczury.

— Uhm, szczury; z piekła rodem. Idę z dziewczką do wędzarni po kiełbasy, buch... jak nie wytnie drzwiami...

— Przeciąg naturalnie.

— Cóżem to dziecko trzyletnie, cobym nie wiedziała, kiedy przeciąg, a kiedy niesamowite sprawy? Bez podwórza wieczorem do krów idę, oho, popod nogi się płacze...

— Nie wiecie to, że pełna psiarnia młodych szceniąt. Wyrwie się które z szopy, to i biega, dokazuje, łasi się człowiekowi, a jejmość ze strachu zaraz upiory upatruje.

— Jaja mędrsze od kury... ja bym ino chciała, coby pana Pawełka tak za nogawicę szarpało, jako mnie wczoraj zapaskę chciało urwać. A w nocy... myślałam, że ranka nie dożyję.

— Do izby wlażyły?

— A niedoczekanie ich! Kropielniczka we drzwiach, palma nad łóżkiem, przecie się boją świętych rzeczy. Choć i to nie zawsze pomaga. Ale się tłukły do okna, że niech ręka boska broni!

— Tłukły się? Ojoj...

— A jakże; strasznie ciemna noc była i wichur niesłychany... taka pogoda najlepiej im się udaje. Słyszę, coś oknem łomoce, przeżegnałam się, otwieram oczy, stoją oba w oknie!

— Jakżeście widzieli, kiedy ciemno było?

— Juści ta musieli jakim diabelskim ogniem przyświecać, bom widziała. Ten wielki trzymał głowę w rękach i bębnił nią w szyby, omal nie potłukł, a to małe, co gadał ogrodnik, że siostra albo żona onego, trzęsło głowisną na wszystkie strony, klekotało zioberkami, a oblizowało się, widno mu srodze ludzka krew pachniała.

— Jak to... miało język? Widziała pani Serczykowa?

— Tak, jak pana Jędrusia przed sobą widzę. Ozór czerwony i pełna gęba ognia. Co się dziwić, że takowe piekielne upały chce świeżą krwią przygasić.

— No i jakże się skończyło?

— Zapaliłam gromnicę, zmówiłam trzy „zdrowaś” za dusze zmarłych, kur zapiał na to szczęście i gdzieś się podziały. Ino się łyskało kilka razy i spokój.

— Całą noc była burza — mruknął Drohojowski.

— Zgasiłam światło, nakryłam się z głową i usnęłam. Dziś sobie wezmę Nastkę z szatni, to się i samego Lucypera nie boję.

— Takż to mocna ona Nastusia?

— *Gdzie zaś...* Dziewczyniątko niczym patyczek, a bledziuska, żal patrzeć. Ino że rodzic jej zwał się Adam, matka Ewa, przyszła na świat w borsuczym gnieździe.

— Co pani Serczykowa wygaduje?

— Jakże to może być?

— Widno, że może być, kiedy jest. Dziewczyna się przysięga, jako nie zmyśla. Człowiek urodzony między zwierzęty wielkie ma przywileje w całym życiu: zdrową nogą bez płomienie przejdzie, na morzu nigdy nie utonie, z wieży spadnie i pójdzie śpiewający dalej; a już upiory, to go na dziesięć kroków poczują i umykają, aż im się gnaty łomią. A jakże.

— Najlepsze lekarstwo spać twardo i o bożym świecie nie wiedzieć.

— Kto by tak spał, to pewno, ale ja... Chryste Panie! wszystko na mojej głowie... i o tym pamiętać, i onego dojrzeć, i służbę dopilnować, i dziewczki pobudzić, i zakupić co trzeba, i strzec pańskiego dobra... mój sen to ino drzemanie: jedno oko śpi, drugie czuwa; jedno ucho spoczywa, drugie słucha. Ot, jakie moje spanie! Bądźcie zdrowi, paniczkanie, źle się stało, żeście mnie zatrzymali, bo się spóźnię do lodowni po mięso.

— My ją?

— To ci kołowrot dopiero!

— A teraz do naszej roboty! Marsz na górę. Uważajcie, jak” sobie umyśliłem: zostanę tu w przedsionku na pierwszym piętrze, usiądę na oknie, niby sobie wyglądam, niby na kogoś czekam. Jestli już pan sekretariusz u króla jegomości, to mnie uwidzi, gdy będzie wracał; nie był tam jeszcze, to się zjawi za chwilę. Wy zaś, łącno się ukryjcie i będziecie się przypatrować, jaki to z Mikołaja Ostroroga czarodziej sławny.

— Ktoś idzie z dołu... — szepnął Szydłowiecki.

— Uciekajcie na drugie piętro, zostańcie na schodach i poglądajcie bez barierę.

— A, a, pan Mikołaj! Co tu waszmość na schodach porabiasz?

— Czekam na pana ochmistrza. Powiedziano mi, że poszedł do kogoś na drugie piętro, nie wiem, gdzie go szukać, więc siedzę i uglądam go, bo mam prośbę. A wasza miłość także z jaką sprawą, do kogo?

— Drugi raz już do miłościwego pana idę. Kazał mi przysposobić pismo do imci pana Grzymały, zarządcy dóbr królowej jejności, i oznajmić mu, jako najjaśniejszy pan uwalnia go w łasce z tej służby, mianując go zasię żupnikiem bocheńskim. Kazał sobie przynieść do przeczytania i

własnoręcznego podpisu, więc śpieszę. Ale, ale... a gdzie księga, coś mi ją przyrzekł kiedyś jeszcze?

— Mylicie się, panie sekretariuszu; wyście się ino chcieli umawiać, ja nic nie obiecowałem.

— Jak to, cofasz się waszmość? Pięknie to?

— Nie cofałbym się nigdy, raz przyrzekłszy; ale przypomnijcie sobie, jak w onym momencie, gdyście mi domawiali i pierścień w zamian dać chcieli, drzwi się otwarły i wbiegli moi towarzysze... pamiętacie? Śliwek mi ze sadu przynieśli...

— No tak, ale...

— I już słowa nie rzekłszy, pokłoniliśmy się waszmości i pobiegli na miasto z królewskimi inwytacjami. Więc nie obiecowałem nic i srodze temu rad jestem, bo...

— Bo co?

— Ee... nic; król jegomość się tam pewnikiem niecierpliwi, co was tak długo nie widać.

— Sprawiedliwie mniewaszmość ostrzegasz, nie ociągając się biegnę; ale nie odchodź, ino podpis, to krótka chwilka, zaraz będę z powrotem.

— A cóż waszmości po mnie?

— Pogadać chciałbym.

I oddalił się szybkim krokiem, a Mikołka wybiegł do kolegów na schody.

— Ino teraz bacznie uważajcie, jako mu czary będę pokazywał.

— A nie boisz się, że go pogniewasz?

— E, pogniewa się, to go przeproszę, a nauczka mu się przyda, po co w głupstwa wierzy?

— Ot, żeś prawie jak dziecko — rzekł Szydłowiecki — zda ci się, że takiemu co pomoże? Rylski do śmierci czarów będzie szukał, tak jak Serczykowej upiorów z głowy nie wybijesz.

— Oho, uciekam, bo muszę jeszcze załatwić, co najważniejsze.

Pobiegł do okna, otworzył je z hałasem, wychylił się i zaczął gwizdać jakiegoś krakowiaka. Po krótkiej chwilce odsunął się w głąb przedsionka, usiadł na ławie i przybrał znudzoną minę.

— Jestem... — zawołał nadbiegając Rylski.

- Łaska boska, bo mi się już ano spać zachciało; ani pana ochmistrza, ani waszej miłości. Cóżście mi mieli powiedzieć?

— Ja waszmości nic; to ty mnie. Więc zaglądałeś do księgi? Pojąłeś jakowe tajniki?

— Oho, i jak jeszcze! Jakbym sobie ino spomniał one zaklęcia, tobym niechybnie zdołał niejedno.

— Pycha bez ciebie gada; ja od czterech lat magię uprawiam, a jaszczem do niczego nie doprowadził.

— Bo nie macie takiej księgi zacnej, jak moja.

— Założyłbym się, że ani tej ławy nie zaczarujesz, coby się sama pod drugą ścianę przesunęła.

— W takie drobiazgi anibym się bawił. Szukajcie co trudniejszego.

— Czekażże waść, co by tu umyślić?

— Dobrze, dobrze, ale ja chcę zakładu.

— Zgoda; i te same stawki co kiedyś; ty księgę, ja pierścień.

— Pamiętajcież. — I nieznacznie, wśród rozmowy zbliżał się do otwartego okna, a Rylski za nim.

— Ot, ludzie chodzą po ulicy, zaczaruj waszmość którego.

— Dobrze, ino kredy święconej trzeba.

— Ja mam! Zawždy noszę przy sobie. Czasem probuję wywoływać duchy (jak dotąd nadaremno), to się należy w poświęconym kole stać. A wiesz, jak to się robi?

— Ino mnie już nie uczcie, bardzo was proszę. Dajcież tękredę. Powiedzcie teraz, co mam uczynić? Czy kazać, by się okno w tym domu naprzeciw samo zamknęło? Czy żeby ten człek, co stoi pod drzewem, zaczął tańczyć i śpiewać, czy żeby owa przekupka pod Długoszowym domem wszystkie

swoje garnki i misy na drobne okruchy potłukła?

— Okno, nie dziwiłbym się... wiatr wionie i zamknie; człek tamten może być pijany i zatańczy... to nie czary. Lecz gdybyś: mocą magii zmusił tę niewiastę do potłuczenia swego towaru, to zaiste... chybabym uwierzył, żeś posiadał wiedzę czarnoksięską. Ale wszystkie garnki?

— A jakże, co do jednego, cały kram.

— Zobaczmy, zobaczymy... — mrucał pan wicesekretariusz z niedowierzaniem.

Ostroróg, zmarszczywszy brwi, szeptał jakieś wyrazy, zwracając się kolejno w cztery strony świata. Po tym wstępnym obrzędzie zakreślił tuż przy oknie koło święconą kredą, otoczył je trójkątami, stanął w nim i znowu odmawiał jakieś formułki tajemnicze, wśród których Rylski, nasłuchujący bacznie, ledwie parę oderwanych słówek podchwycił.

Na tle anegdoty z „Dworzanina” Górnickiego (przyp. aut.).

Zamilkł czarodziej, wydobyl chustkę z torebki u pasa, otarł czoło zroszone zapewne zimnym potem udręczenia dusznego... przykląkł na jedno kolano, rozpostarł chustkę poza obrębem koła i zawołał drżącym głosem trzy razy:

— Bilitis, wzywam cię, przybądź!

Po czym *złożył* cztery rogi chusteczki do środka ostrożnie, jakby coś niezmiernie wężłego w niej się znajdowało, ujął ją delikatnie w dwa palce...

— A teraz idź... uczyn, coć rozkazałem, i wracaj w spokoju do twych sióstr i braci!

Wychylił się poza okno, przytrzymał chustkę za jeden rożek i strzepnął ją kilka razy.

— No, no, w mojej księdze nie ma wcale takowych obrzęd... rety... tłucze! Jak mi Bóg miły o ziemię wali... rozbija! Rozkaże jej waszmość, by dała pokój! Szkodę straszną sobie wyrządza... wszak tych statków jest za kilkadziesiąt złotych! Spiesz się waść! Patrzaj, jak wali garnek o garnek... cegłę porwała... tłucze przez pamięci... powstrzymaj ją!

— Nie mogę — ponuro odparł chłopiec. — Bilitis tam jest i nie spocznie, póki mego rozkazu nie wypełni.

— To ją odwołaj!

— Nie mogę; sroga pomsta by mnie spotkała za lekceważenie tak dostojnego ducha.

— Ach, jakże sobie wyrzucam, żeś takiej próby zażądał od waszmości! Już lepiej było zgodzić się na okno albo na taniec owego człeka.

— Już się nie odmieni, rozkaz wypełniony... Bilitis uleciała w przestworza nadziemskie.

— Zginęliśmy!... król jegomość...

Istotnie, w otwartych drzwiach, wiodących z komnat do przedsionka i dalszych pokoi, ukazał się król Zygmunt, a za nim pan wielkorządca Boner.

— Załatwiłeś waszmość moje polecenie, czy wracasz jeszcze z jakim pytaniem?

— Wszystko w porządku, miłościwy panie — zająkliwie odpowiedział Rylski.

— A ty, Ostroróg, co się tu kręcisz przez potrzeby? Czemu nie w szkole? Bardzo mi się nie podobasz.

— A... to znów co za magiczne koło i trójkąty po podłodze? Kto się ośmiela błazeństwa jakoweś wyprawiać? Mości Rylski... dochodziły mnie słuchy o zakazanych praktykach waszmości, nie chciałem dawać wiary, lecz gdy mi prawda sama przed oczy staje, rozkazuję, odpowiedzcie, co to wszystko ma znaczyć?

— Najjaśniejszy panie...

— Przez długich ceregielów, ino prosto gadać!

— To nie ja...

— Co nie wy?



— To Ostroróg... Arcana magiej białej... czyli zaklęcia przednie...

— Czy waść na zmysłów pomieszanie cierpisz?! — krzyknął król zniecierpliwiony.

— Jako żywo zdrów jestem, najmiłociwszy panie, i prawdę świętą wyznaję. Ostroróg mocą duchów pośrednich i zaklęć wypowiedzianych w święconym kole sprawił, że niewiasta owa, naczyniem glinianym handlująca, sama własną ręką cały swój towar potłukła.

— Ależ ten człowiek chory jest ciężko, od rzeczy plecie — wmieszał się Boner do sprawy.

— Wždy raczcie wyjrzyć, dostojny panie, i król miłociwy niech okiem rzuci, jako przekupka pod Długoszowym domem siedzi wśród potłuczonych przez się garnków, aż ją ludzie otoczyli i dziwiają się.

— Cóż ten przykry trafunek ma wspólnego?

— A ma, najmiłociwszy panie, właśnie, że ma! Poszedłem o zakład z Ostrorogiem, który bucił się, że zna magię i oną przekupkę zdoła tak zaczarować, by uczyniła, co on zamyśli. Nie wierzyłem mu, założyłem się i... przegrałem.

Zygmunt spojrział bacznie na pazia, a Boner coś mu szepnął do ucha.

— Zbliź no się, mości czarodzieju — rzekł król surowo. Lecz uradowany Mikołka dojrzał uśmiech na twarzy króla.

— No, czego się ociągasz? Pójdź tu do okna, widzisz tę drugą przekupkę, co wprost nas siedzi?

— Widzę, miłociwy panie.

— Dla mojej uciechy spraw twymi czarami, by i ta druga swoje garnki potłukła.

— Stanie się wedle rozkazu waszej królewskiej mości, ale dopiero jutro.

— Ja chcę dziś.

— Dziś nie potrafię.

— Dlaczego?

— Bo muszę wpierw z oną pogadać i garnki jej zapłacić.

— Trefny psotnik z waści — rzekł król śmiejąc się i pożegnawszy Bonera, udał się do łazienki.

— Nie wstydzisz się waszmość? — z goryczą zawołał Rylski

— dla drwinek i pustoty zadworowałeś ze mnie, naraziłeś na gniew króla jegomości... tego ci nigdy nie zapomnę!

— Zapomnijcie, panie sekretariuszu, i darujcie, całym sercem a pokornie was o to proszę. Ani godziny bym was w błędzie nie trzymał, ino bym się przyznał do wszystkiego. Przy tym z korzyścią dla was skończyła się ta krotofila.

— Daj waszmość pokój! drugi raz nie dam się złapać!

— Jak mi Bóg miły, nie w głowie mi nijakie żarty, ino prawdę mówię. Uważaliście gniewne słowa królewskie na widok magicznego koła na podłodze? Widno niechętni wam (a któż ich nie ma, zwłaszcza u dworu?) podszeptali najjaśniejszemu panu o waszych próbach, księgach, o zamiłowaniu do magii. Wiecie lepiej ode mnie, jako jest pod tym względem surowy i wszystko, co ino gusłami zatraća, ma w nienawiści. Na pewno dochodziłby, ile jest prawdy w onych doniesieniach; że zaś w rzeczach większej wagi nie zdaje się na nikogo, tedy pewnego ranka, cale niespodzianie, wszedłby do kancelarii, no i oczywiście zastałby waszmości nad ulubionym folialem. Chyba nie zaprzeczycie mi, że ani biała, ani czarna magia, ani duchy pośrednie nic by waszmości nie pomogły wobec gniewu najpotężniejszego ducha, jakim jest król jegomość.

— Ten gniew spadł na mnie już dzisiaj za sprawą głupiego figła waszmości. Ani chybi zostanę wydalony z urzędu.

— Ani wam włos z głowy nie spadnie. Wždy zrozumiejcie, że właśnie dzięki memu głupiemu figlowi, o który się tak żlicie na mnie, cała rzecz okazała się błahostką i wywołała, śmiech

miłościwego pana. Wy zaś korzystajcie z przestrogi — to moja rada.

— Panie Mikołaju...

— A co, panie sekretariuszu?

— Chyba wam już ta księga niepotrzebna. Dajcie mi ja pierścień wasz, słowa nie cofam.

— Ależ, panie sekretariuszu, ja księgi wcale nie mam i nigdy jej nie miałem.

— Jak to? Wszak nawet... znowu się waszmość wykręcasz?

— Jako żywo!

— A tytuł?

— Zmyśliłem. Chłopcy! Hej, łacina! Czwałem do szkoły!

— Do roboty! — zawołali tamci z góry i cała czwórka pomknęła ze schodów przez podwórze do sali szkolnej.

A pan Florian Rylski stał dalej w oknie i poglądał na piramidę skorup pod Długoszowym domem.

— Ot, Bilitis mi zaaplikował, bodaj go ubito! Jednakowoż sprawiedliwie gada, że mogło być gorzej.

Do śmierci się człowiek rozumu uczy... Jakże nie mieli wypatrzeć nikczemni donosiciele, skoro okna mej sypialni niziuteńko, a w okienni cach szpary na palec! *Speculum magiae albae* zabiorę dziś jeszcze z kancelarii, derkę grubą kupię w Sukiennicach, zasuwę sprawię u drzwi podwójną, zje diabła, kto wypatrzy!

Ksiądz Borek, wysłany do cesarza Karola V, załatwił sprawą pomyślnie (M. Bielski: „Kronika polska”) (przyp. aut.).

M. Bielski: „Kronika polska”(przyp. aut.).

Milcz, głupia! (Słów tych użył Zypmurt do Bony w innych okolicznościach. Frzeździecki: „Jagiellonki" I, 131) (przyp. aut.).

Zwierciadło białej magii (przyp. aut.).

# ROZDZIAŁ V

## FIGIEL DYMITRA MONTWIŁŁA

— Dmytruś, serceż ty moje — przedrzeźniając mowę Litwina, przeciągle śpiewał Szydłowiecki — takeś się dopominał o swoją kolej, narzekałeś, że na czwarte miejsce cię zapisałem, a teraz co? Ostroróg wczoraj przed samym królem najmiłościwszym egzamin zdawał i na pochwałę zasłużył, twoja pora nadchodzi, no i nic?

— A tobie kto powiedział, że nic? Już mam bez pół wszystko gotowe.

— I milczysz jak ten kamień?

— Taj czego gadać, póki nie czas? Swoim porządkiem ja chciałem co niebądź zemścić się na was i dlatego cicho siedział.

— Za co, miły Boże! Kto cię krzywdzi?

— Ot, zaraz i krzywdzi; nic wielkiego nie stało się. Naposiedliście się na mnie, żem ospalczuch, Drohojowski gadał niedawno, co u mnie w głowie samo pierze jest; tak ja zadumał się, jak by to wam pokazać, że Dymitr Montwiłł wcale nie takie drańcie do niczego, jak by kto myślał, ot i wynalazł coś nienajpośledniejszego.

— A jakie to zawzięte Litwinisko! — zapiszczał Krystek Czema. — Rzeknij choć dwa słówka!

— Powiem i trzy, dlaczego nie, a taki nie odgadniecie nic. Widział który z was w tych dniach gospodynię?

— Serczykową?

— Serczykową.

— Szydłowiecki, Ostroróg, Boner i ja widzieliśmy ją wczoraj — rzekł Drohojowski.

— Nu dobrze; tak co ona wam gadała?

— O strachach, upiorach, takie tam brednie prawiała.

— A o Nastusi wspominała co niebądź?

— O jakiej Nastusi? Aha, o tej, co się jej nijaka przygoda nie ima?

— Właśnie. Chcecie wiedzieć, to wam powiem, że Nastusia to moje dzieło.

— Nie rozumiem.

— Taj obejdzie się, za to ja rozumiem.

— Mój złoty, mój śliczny!

— Mojaś ty jagódka rumienińska!

— Aha, przyszła koza do woza? Słuchajcież: gospodynię ja sobie umyślił; jej co spłatać, bo śmieszna jest i niemądra. Tak co, dowiecie się później; dziś wam tyle rzekę, że robota będzie ciężka i wszyscy musicie mi pomóc.

— A cóż Nastusia?

— Jak mamuńcia przywiozła mnie w królewską służbę do Krakowa, tak zabrała razem z sobą małą dziewczynę Nastkę, żeby jakiego mądrego medyka zaradzić się, bo u jej co wiosna febra była i choć zgubili, to znów wracała się.

— A ta Nastka to krewna twoja?

— Ta gdzież? Ciągłe wam gadam, biedna dziewczyna, sierota z ojca i z matki. A stąd my ją znali, że Kołtuniszki o miedzę z Bajdunami, tak ona przychodziła do naszego dworu i ze mną zawsze bawiła się. Taj mamuńcia zabrała ją, bo żal strasznie robiło się, że tak nie ustając choruje.

— A jak przyjechała, to i ostała potem w Krakowie?

— A jakże. Trafilo się, że do szatni szukała Grzybowska robotnicy. Nastusia szyje, haftuje, łąta pięknie, tak ją wzięli i już trzeci rok tu jest.

— No i co dalej?

— To dalej, że co ja powiem, to dla niej święta ewangelia. Przykazałem więc, żeby rozpowiadała głośno, jakie to ona ma przywileje, jako raz z dzwonnicy spadła i nie ubiła się, a do studni wpadłszy nie utopiła się, i jeszcze różne inne cudenka.

— A to u was na Litwie wolno kłamać?

— Nie rozdziawiaj się na mnie, kiedym jeszcze nie skończył. Z dzwonnicy skoczyła z ochoty na stertę koniczyny, a do studzienki suchej wpadła, co ani w niej błota nie było. Ale opowiedać można, dlaczego nie. Że z Adama i Ewy rodzi się, takż nie łgarstwo, niechże mnie kto powie, czy to nie najpierwsi nasi rodzice? Nu, tak nie od inszych ona pochodzi.

— Aha, a borsucze gniazdo?

— Ojoj... nie warto z wami gadać, jak Boga Kocham! Pierwopodstolego Borsuka, z dziadów pradziadów oni tam rodzą się, żyją, umierają... zali nie borsucze gniazdo?

— No, dobrze, ale na co to wszystko?

— Tak wam już powiem na co: mnie zachciało się wynieść gospodynię w nocy z łóżkiem na podwórze.

— Czyś oszalał?

— To niepodobieństwo!

— Ona ma strasznie letkie spanie!

— Obudzi się!

— Ojoj... nie warto z wami gadać, jak Boga Kocham! Pierwsze, nie oszalałem; drugie, trudniejsze rzeczy już człek w Kołtuniskach dokazował, taj udało się; trzecie, baba śpi jak niedźwiedź na zimę, skórę z niej zedrzesz, nie zbudzi się.

— Skąd wiesz?

— Aha, widzisz, tak zaraz pokazało się, po co ja Nastusię na nią nasłał. Swojego człowieka muszę mieć w izbie, coby mi drzwi otworzył i co niebądź dopomógł. Więc mi Nastusia powiedziała, że dokrzyczeć się do niej nie mogła, jak ją dzisiaj wedle czwartej rano zbudzić próbowała.

— Po cóż ją budziła?

— Ot, matoł z ciebie, za łaską rzec; właśnie na przekonanie, czy przede dniem twardo śpi i czy się sztuka uda.

— Wszystko rozważasz, przewidujesz, statysta z ciebie, kanclerzem kiedyś zostaniesz.

— Daj ci Boże zdrowie; postaralszy się; może i zostanę; tak ciebie na podkanclerza nie pośpieję zawezwać.

— Dobrze, dobrze, ale gdzie oną nieszczęsną niewiastę wyniesiemy?

— Oho, dosyć powiedziałem. Nad miaręś ciekawy, nie uchronisz się.

— Chłopcy, chłopcy. Mistrz Ambroży będzie łąjał; dawnośmy po obiedzie, a na lekcję nie idziemy.

— Wždy najpilniejsi jeszcze na podwórzu stoją... widzisz? Opaliński, Korybut, Potocki, Fredro, Russocki... jak oni pójdą, to my za nimi.

— A kiedyż to zamyślasz wykonać swój zamiar, Dmytruś?

— Jak będę miał nocną służbę u króla.

— Coooo?

— Toooo! Nu powiedz sam, kiedy może być łącniej? Miłościwy pan zdrów jest, aże serce raduje się, na jednym boku do samej piątej doleży; gdy się ocknie, w jednej chwili jest trzeźwy, ale pokąd śpi, to śpi twardo. Trzy lata służę, ze czterdzieści razy noc na mnie przypadała, a jeszcze ani razu

którego z nas nie wołał. Więc głupi taj mądry przyzna, co najpiękniejsza pora właśnie ta jest, jak gadam. Nikt nie posądzi, nikt nie przeszkodzi, pójdziesz, zrobisz swoje, zawrócisz się do antykamery, zdrzemniesz się na kobiercu, król zawoła rano, a ot i jesteś. Anioła Rafała pierwszej podejrzają niż ciebie.

— Dobrze, słusznie gadasz, no a my?

— Z wami gorzej. Chyba Kubę po was pošlę na górę.

— Nie wygada się, mam na niego wędzidło: miłuje srodze Nastusię, ona takóž podobnie patrząc na niego... jedno bieda, że serca gorejące, a kalety puste. Tak ja im obiecał napisać do Kołtuniszek, żeby mamuńcia moją gniadoszkę tatuńciowi sprzedała (nie rychłóžbym ja ją i tak oglądał), a sprzedałszy, przez pierwszą zřecznořć do Krakowa mi pieniądze pošłała. To będzie posag dla Nastusi; wy zaś dorzucicie co dla Kuby, taj dadzą na zapowiedzi. Jedno i drugie pracować zdoli, dobrze im będzie razem.

— Jako Litwie z Koroną.

— Ot i dlaczego Kuba nam do pomocy stanie.

— A to wyśmienicie! Wiesz, Dmytruś, ohydnie się raduję na oną wyprawę po Serczykową.

— Wiedział ja, wiedział, czego mnie tak serce ku tobie rwało się... tażež ty dusza moja rodzona!

— Tyle lat pod jednym dachem i dopiero teraz wiem, coř ty wart.

— Beczkę soli trza zjeřć razem, zanim się poznałszy.

— Chłopczy, szkoła!

— Oho, miałem ci się zwierzyć, com za figiel wymyślił, a tu wołają. To już potem, jak będziemy sami. Wiedz ino, że dwóch na to trzeba, i ani mowy, bym kogo innego szukał, tylko ciebie.

— Nie pożałujesz!

Mimo opróżnienia całego szeregu komnat we wschodnim skrzydle zamku, skazanym na zburzenie, pokoje królewskie wcale nie wyglądały na mieszkanie tymczasowe. Obszerne, wygodne i jota w jotę na wzór dawnych były urządzone, by najmiłóściwszy pan miał pod ręką wszystko, czego potrzebował, i nie odczuwał niemile najmniejszej odmiany.

Więc w sypialni o pięknym gotyckim sklepieniu stało pod wysoko wzniesionym karmazynowym baldachimem łóže długie i szerokie, głowami na wschód zwrócone (takie połoženie bowiem uważane było od wieków za najlepsze dla zdrowia). Podłoga przed łóžem zasłana skórą niedźwiedzią. Między oknami stolik przykryty bogato haftowanym ręcznikiem, przed nim zwierciadło z wypolerowanej srebrnej blachy.

Kilka zydli kilimkami przyrzuconych stało pod ścianami jedwabnym adamaszkiem wybitymi. Drzwiczki ukryte w obiciu prowadziły do izdebki, mieszczącej umywalnię i szafy z bielizną i z sukniami. Naprzeciw łóža wspaniały ołtarz połowy norymberskiej roboty, w kształcie tryptyka, cały ze srebra kuty. Wewnątrz sceny z narodzenia i życia Pana Jezusa, na zamkniętych zaś skrzydłach obrazy Męki Pańskiej.

Król Zygmunt tak był do tego ołtarza przywiązany, że gdy tylko wyjeżdżał z Krakowa, w bliską czy daleką podróż, zawsze go z sobą zabierał.

Do tej komnaty nieprzechodniej prowadziły drzwi z gabinetu królewskiego. Ten był o trzech oknach, z pięknie rzezanym drewnianym pułapem, u którego zawieszony był świecznik, podobną robotą jak w komnacie Syreny, tylko o wiele mniejszy i nie na złoconych, lecz żelaznych łańcuchach. Duży komin kamienny z okapem zajmował niemal połowę ściany; zdobiły go bogate rzeźbione ornamenta, a na środku widniał Orzeł Piastowski i Pogoń Jagiellonów. Makaty złotolite zakrywały ściany, kobierce tureckie zaścielały podłogę.

Przy dwóch ścianach przez całą ich długość stały szerokie ławy dębowe, przed kominem zaś zydle z

podobnymi kilimkami jak w sypialni. Niedaleko okna, trochę ku środkowi komnaty, wysunięty był stół do pisania, przykryty do samej ziemi materią srebrem przetykaną. Leżały na nim pióra gęsie, ćwiartki papieru i pergaminu, kilka listów otwartych, inkaust w srebrnej zamykanej czarce, w drugiej miska piasek do zasypywania pisma.

Przy tym stole, w wygodnym krześle, siedział król Zygmunt. Głowę oparł na rękę i czytał. W twarzy jego znać było, że jakieś troski i kłopoty myśl mu zaprzętają i że księgę rozłożył przed sobą chyba na to, by się oderwać od tego niemiłego myślenia. Wodził oczyma po wierszach, przewracał karty, ale od czasu do czasu przestawał czytać i smutno dumął. Gorycz osiadła na zaciśniętych ustach, a z oczu żał ciężki wyzierał. Szlachetny, mądry, a tak dotąd w swych zamiarach, pomysłach i czynach szczęśliwy król pierwszy może raz w życiu karmił się zgryzotą. Przeczytawszy parę kart, odwrócił je wstecz i westchnął.

— Daremnie się zmuszam, nic dziś z mego czytania. Nie skupię uwagi!

Pogłaskał ulubioną wiewiórkę, zwierzątko tak oswojone i poufałe, że na noc tylko dawało się zamykać do klatki, a całymi dniami przesiadywało w zanadrzu u króla. Gdy skacząc mu po ramionach, czasem i po głowie, dojrzała rozpięty na piersiach jeden guzik u żupana, wsuwała się czym prędzej do tego kącika i wysypiała się smacznie, nie dbając wcale na cześć należną miłościwemu panu. Jeżeli suknia była przypadkiem szczelnie zapięta, wiewiórka wpadała w złość niezmierną, drapała pazurkami guziki i piszczła póty, aż postawiła na swoim. Rozparta wygodnie, jak w gnieździe, wyścibiała od czasu do czasu rudą główkę i spoglądała na króla bystrymi oczkami. Czasem dostawała palcem po nosku, wtedy cofała się z godnością w głąb swej izdebki, utulała się na piersiach króla i spała.

Wszedł paż i stanął przy drzwiach

— Czego chcesz?

— Jego przewielebność ksiądz biskup Tomicki, jego przewielebność ksiądz biskup Krzycki, jego wielmożność pan hetman Tarnowski pragną się pokłonić najmiłościwшему panu.

— Prosić, prosić! — z rozweseloną twarzą zawołał król. — Nie mogliście waszmościowie nic lepszego uczynić jak to, że mnie nawiedzić przychodzicie. I nie dziwota — dodał żartobliwie — duchowne osoby miewają natchnienia, aniołowie im doradzają; wy zaś, panie hetmanie, sercem czujecie, kiedy mi ciężko i kiedy tęskniąc wyglądam przyjaciela.

— Gdybyż w naszej mocy było spędzić chmury z waszego czoła, miłościwy panie — rzeki ksiądz Krzycki, przybliżając się do stołu. — Widzę, w czytaniu szukacie rozrywki; wolno spytać, co za księga?

- Żywot Pana Jezu Krista

— Tłumaczenie ze św. Bonawentury, przez Baltazara Opecia. Mam i ja to dzieło; ino że pierwsze wydanie w tak niedługim czasie rozchwytało, zapóźniłem się i z drugiej edycji dopiero kupiłem.

— A sprawiliście też sobie, księżę biskupie — spytał hetman Tarnowski — on sławny mszał, arcydzieło drukarni Hallerowskiej? Oglądałem go kiedyś w zakrystii katedralnej, ksiądz kanonik Borek chlubił się nowym nabytkiem.

— Ale oczywiście; co dzień na nim mszę świętą odmawiam; człek się tak psowa tymi nowymi ulepszeniami i wygodami, że nawet służbę Bożą chętniej sprawuje czytając druk wytworny niż stare, wyżółkłe i często nieczytelnie pisane księgi. A co za inicjały kunsztowne! Niczym miniatury!

Król klasnął w dłonie, dwóch paziów poskoczyło na usługi..

— Podsuńcie zydle tu do stołu. Usiądźcie, mili goście, powiadajcie, co słyhać.

— Nowego nic. To raczej wy, najjaśniejszy panie, odkryliście dziś rano sprawki znamienitego czarodzieja — rzekł biskup Tomicki. — Powiadał nam Boner o onej przygodzie Rylskiego,

Ostroroga i przekupki z przeciwka.

— Bardzom rad, że się ta krotofila niemal przed mymi oczami rozegrała, bo mogłem przez wielkiej surowości zganić wicesekretariusza; a że i chłopiec zadrwił sobie z jego umiłowanej magii, może przeto zabobonny ów człek upamięta się i rzuci w piec głupie szpargały.

— Dałby to Bóg — odparł biskup — jednakowoż niełatwo wykorzeni ć gusła i praktyki zakazane, gdy raz się kogo czepiły.

— Ale mu Ostroróg grzecznego figla splatał! — dodał hetman.

— Już to wszyscy oni raźni do psot wszelakich — rzekł król — w ostatnich dniach za wiele nawet tego dokazowania. O pomalowanym piesku słyszeliście waszmościowie?

— A jakże! — zawołali wszyscy ze śmiechem.

— Przedwczoraj zasię panna ochmistrzyni znalazła w nocy osła w swej komnacie; co najgorsza, nie sposób nijak wyśledzić onych przemyślnych robotników, bo tak się zręcznie kryją, że chybaby wszystkich dwustu ukarać, to się między niewinnymi i winnemu dostanie. Ze starym Krabatusem także jakieś zajścia były, inom się już bliżej nie dopytywał.

— Młodość szumi i burzy, ano trza bez palce patrzeć, póki nie nadto przykre lub szkodliwe bliźnim one żarty — rzekł biskup.

— Wszelako nie każdy młody ma pstro w głowie — zauważył ksiądz Krzycki — najdują się i tacy, którzy w zaranku życia okazują wielkie cnoty lub do nauk się garną, a nawet w sztukach pięknych się kochają.

— Lub dzielnym sercem i odwagą ponad wiek swój młodociany górują, jako nasz wielki król Bolesław Krzywousty o bohaterskiej duszy! — zawołał z zapalem Tarnowski.

— A w starożytnych dziejach cóż czytamy o Aleksandrze Macedońskim — poparł król mowę hetmana — maluczkiem dzieckiem był, gdy dosiadł nieposkromnionego Bucefała; a wstępując na tron w dwudziestym pierwszym roku życia między najoświecześnie męże swoich czasów może być policzon.

— Jakichże synów cnotliwych wychowała ona zazdrości godna Kornelia, Grakchusów matka, co wskazując z dumą na swe dziatki, klejnotami je swymi zwała!

— Wždy sięgając po tak dalekie przykłady — przerwał Krzyckiemu Tomicki — pomijacie piękne kwiaty we własnym ogrodzie. Jako lilia najbielsza z kwiatów, tak jaśniał wśród grzechów i zepsucia tego świata brat wasz, najmiłościwszy panie, Kazimierz święty.

— Przewielebność wasza przedstawiłaś nam w pięknych słowach wzniosły przykład cnót wszelakich

— zaczął znowu ksiądz Krzycki — lecz i nauka swe świeczniki wczesną porą rozjarza: pilnoż się przykładał do pracy uczeń akademii naszej Mikołaj Kopernikus, gdy już dziś swą niezmierną mądrością stary porządek świata przeinacza i cyframi dowodzi, czego najśmielsza myśl pojąć nie... o ty zbytnico... nicze ci nie jest poszanowania godnym, ani korona królewska, arii suknia duchowna?

Wśród poważnej rozmowy wiewiórka wysunęła się nagle z rękawa królewskiego, gdzie dla odmiany przez chwilę drzemała, i w dwóch susach znalazła się na ramieniu księdza Krzyckiego, a zoczywszy na jego szyi złoty łańcuch biskupi, ujęła go w łapki i próbowała gryźć ostrymi zębami.

— Uderzcie ją, wielebny panie, palcem po nosie, to was natychmiast w spokoju zostawi — rzekł król. — Srodze jest obraźliwa. Widzicie, już uciekła.

— Cały dzień ją tak cierpicie przy sobie, miłościwy panie?

— Pokąd sama chce; zwierzątko to nader przystojnie się zachowuje i roztropne jest. Dość długo już spała, teraz chce pobiegać, kosteczki rozprostować, patrzcie, jak prosto ku drzwiom susy daje.

— Wypuszczę ją — rzekł Krzycki.

— Nie trudźcie się, wasza wielebność: w antykamerze są paziowie, a ona zwykła na zasuwie

uwisnąć i piszczeć, wnet usłyszą i wypuszczą. Teraz pomówmy o sprawach poważnych, nad którymi właśnie rozmyślałem, gdy mi wasze przybycie Oznajmiono. Otrzymałem list z Węgier od króla Ludwika; przed tygodniem zaś i cesarz pisał do mnie w tej samej kwestii.

— Domyślam się — rzekł biskup Krzycki — że o Albrechta chodzi.

— Zgadliście, wielebny panie: obaj oni monarchowie wstawiają się za siostrzanem moim, bym zadośćuczynił natarczywym jego prośbom i Prusy Królewskie, Krzyżakom przez przodków moich w lenno użyzione, dziś po rozwiązaniu Zakonu jemu, Albrechtowi, w takimże lennie pozostawił.

— Nigdy bym tego nie uczynił! — porywczo wyrwały się słowa z ust hetmana.

— Tak i mnie rozum doradza — odparł król — gdy ano serce głos podniesie, popadam w wahanie: wszakci to syn rodzonej siostry mojej!

— Krzywoprzysięzca!... Bogu najwyższemu ślubował i wiarę złamał — surowo i twardo rzekł biskup Tomicki.

— Lecz gdy miłościwy pan odejmie z jego posiadania ono księstwo Zakonowi dane — wtrącił z cicha Krzycki — gdzie się obróci i czym będzie?

— A niech idzie do swoich! — zawołał Tarnowski. — Mało to niemieckich książąt wiesz się u cesarskiej klamki? Znajdą mu jaki urząd lub darują zamek i wiosek parę, będzie sobie panem, a Prusy wrócą do Korony, tak jak to się boskim i ludzkim prawem przynależy.

— Zalibyście nie znali miłosierdzia, panie hetmanie, gdyby o waszą krew chodziło?

— Najmiłościwszy królu, przyjmijcie radę sługi wiernego: nie pora serca się pytać; o, wierzajcie mi... sposobność to jedyna przywrócić królestwu polskiemu tę prowincję piękną, od tak dawna od niego oderwaną. Z Zakonem była umowa. Zakon rozwiązany, nie macie obowiązków nijakich.

— Pomnijcie, że mu wujem jestem.

— I ja mój głos łączę z głosem hetmana — rzekł biskup Tomicki. — Niegodzien ów książę być siostrzeńcem waszym, najjaśniejszy panie! Mnich wywłoka, nowej nauce bez Lutra szerzonej gorąco sprzyja...

— W tym się myli przewielebność wasza — żywo zaprzeczył król — i cesarzowi niemieckiemu zaręczał, i legatowi papieskiemu w Wiedniu na krzyż przysięgał, że ani mu w myśli postało od Rzymu odrywać się.

— Wszak ci mu nie nowina przysięgi łamać? Rzucając precz płaszcz krzyżacki, podeptał święte śluby. Jeden raz więcej, jeden raz mniej, co to waży? A Luter mu nowinki swoje zaleca, małżonkę pojąć doradza, świeckim księciem ostać i dynastii fundamenta położyć.

— Chociażby się tak stało nawet, jak przewidujecie — znowu łagodząc dyplomatycznie odezwał się ksiądz Krzycki — zali nie byłoby korzystnym dla Polski mieć sąsiada przychylnego i wdzięcznego po wiek wieka, niż odebrawszy Prusy Albrechtowi, osadzić w nich z własnego ramienia zarządców i granicząc wprost z Rzeszą, nieustannie mieć z tamtej strony zatargi i niepokoje?

— Zda mi się, że mamy w historii naszej dość przykładów, jak się z Niemcami wojuje i Niemców zwycięża — dumnie odparł Tarnowski — to by mnie już najmniej frasowało.

— Darujcie, miłościwy panie, że się jeszcze odezwę — rzekł Tomicki. — Albrecht przysięga wierność Stolicy Apostolskiej, lecz o tym nie wspomina, że prawie cały kraj przejął heretycką naukę i że niemal na palcach zliczyć można prawowiernych katolików w pruskiej prowincji.

— Czyliż to jego wina? — spytał Krzycki.

— Nie bierzesz mu tego za winę? Ja zasię twierdzę, że dobry syn Kościoła stawiałby jakieś tamy odszczepieństwu w swoim państwie. Czemuż pod berłem naszego pana hydra owa nie zadziera łba zuchwale i, da Bóg, nigdy się to nie stanie.

— Widzę — rzekł król smutnie - że nie znajdę nawet u przyjaciół moich ulgi w tej ciężkiej



wewnętrznej rozterce. Wszystko to, co mi mówicie, mości hetmanie i wy, księżę biskupie, ja sam sobie po stokroć powtarzam, a jednak... nie mam spokoju. Głos cesarza Ferdynanda i króla Ludwika za Albrechtem przemawia, głos krwi na jego stronę wolę moją przeciąga; toczę walkę sam z sobą i nie wiem jeszcze, co postanowię. To jedno wiem, że raz postanowiwszy, nie cofnę się.

— Bóg ześle wam dobre natchnienie, miłościwy królu — rzekł biskup Krzycki, powstając z krzesła. Towarzysze jego uczynili to samo, a król pożegnał ich łaskawie. Gdy się znaleźli w przedsionku, ksiądz Krzycki zatrzymał się chwilę, pogłaskał po głowie paziów i gwarzył z nimi dobrotliwie, tamci zaś szli powoli naprzód.

— Jak myślicie, księżę biskupie — spytał Tarnowski — na którą stronę szala przeważy?

— Krzycki sprawiedliwie powiedział: Bóg ześle natchnienie, ino przychodzi mi na myśl, czy odwiedziny nasze u króla nie były właśnie owym natchnieniem z woli Bożej zesłanym. Obaj radziliśmy mu jed, no, obaj w usunięciu Albrechta z Prus widzimy dobro państwa.

— Nie chcę je przepowiadać, co się stanie, bom nie prorok ani wpływu na wolę królewską nie mam; ino to przyznajcie mi, wasza przewielebność, iż prawdą jest, jako Jagiellonowie zawždy bywali miętkiego serca.

— Nie mam i ja dobrej otuchy co do końca owej sprawy — rzekł biskup — ino sobie ku rezygnacji powtarzam, że cokolwiek się stanie, za wolą Bożą lub za dopuszczeniem Bożym się stanie.

— Ot, Jędrus serce, stary Odmiwas chyba zawział się; obliczyłem kolej mniej więcej, już onegdaj na mnie noc przypadła, a tu nie. Tak myślę: nic to, nazajutrz zawoła... nastawiam uszy wczoraj, a ten gada: Skrzetuski, Psarski, Tarło, Korsak, Mielecki, Zebrzydowski. Taj co robić, czekać trza, choć człowiek zły, jak psa zjadłszy.

— I ja myślałem, że przy wieczerzy dzisiaj co wspomni, ale nie odzywał się; chyba już wyznaczył dyżur czy co? A z Serczykową, nie wiesz, co słyhać, Nastusia dobrze się sprawia?

— Ta żeby tak o co, jak o to. Nastusia jej w oczy patrzy, usługuje jak mogąc, a rozpowiada dziwolągi. Wszelako upiory znowuz któregoś dnia zwidywały jej się.

— O, to źle, gotowa ją przed czasem Grzybowskiej odesłać, kiedy taka nieskuteczna.

— I ja tego bał się, ale ni. Nawet o Kubie dowiedziała się i nie zaszkodziło. Widno polubiła dziewczynę.

— Jak to o Kubie? Co takiego?

— Jako się chcą pobrać i od mamuńei posag dostaną mojej. Ucałowała Nastusię, spłakała się, ino powiada, że bardzo lęka się, by jedna z drugą od upiorów nie były zjedzone. Takie bowiem dziewczęta, co kochanie mają w głowie, już nad strachami nie władnąc.

— Wiesz ty, że to wyborne; jak ona przygoda Serczykową spotka, nie będzie się żlić na Nastusię.

— Już ja to myślał.

— Chłopcy! — zawołał Chodkiewicz, wpadając do izby — pan ochmistrz woła.

— Kogo?

— Wszystkich siedmiu.

— Ta coże znów zachciał? Ale przysięgam Bogu, jeżeli dziś nie idę na służbę...

— Pewno się poskarżysz samemu królowi — dokończył Chodkiewicz ze śmiechem. — Myślałem, że wolisz wyciągnąć się i chrapać we własnym łóżku niż drzemać w antykamerze na ławie.

— Nu ma się rozumieć, że wolę; nie o co mi chodzi, a o sprawiedliwość, już czwarty raz mnie Odmiwas pomija... najspokojniejszemu cierpliwość urwie się.

— Chodźcie, chodźcie, nie ociągajcie się; strasznie zły jakiś dzisiaj.

— A gdzie jest?

— W swojej komnacie.

— Ino nas kazał wołać? Nikogo więcej? — spytał Szydłowiecki. — O, to źle; czy broń Boże jakowej pamiątki na kobiercu nie myśli nam przylepić.

— Chyba nie; siedzi chmurny za stołem i parę bez wąsy puszcza, ale nijakich przygotowań, ani Macieja z różgą nie widziałem. No, idźcie w imię Boże, ja lecę w swoją stronę.

Weszli skromnie, cicho stąpając, i stanęli rzędem przed srogim obliczem pana ochmistrza.

— O, jakie mi trusie — mruknął stary szyderczo — jagniątko, trzech zliczyć, rzekłbyś, nie zdoła, a co jeden, to gorsze ziele. Co ja z wami pocznę, niecnoty, urwipółcie przejęte!

Wam to zawdzięczam, że król jegomość już dwa razy w tym tygodniu przykre słówko mi powiedział. Mamże jak niańka na pasku was wodzić? Co dzień nowe psoty, co dzień nowe skargi na paziów; niczym piskorze się wykręcacie, ułapić was nie można... ino, jakim Odrowąż, słowem ręczę, że wszelakie one psikusy, co od dziesięciu dni sypie ktoś jak z rękawa, to ino wasze sprawki, wasze, jak mi Bóg miły! Gdyby wszyscy dwustu wam byli podobni, to do trzech dni obwiesić by się przyszło. Rano wstając, już wiem, że lada chwila spadnie na mnie jakaś przykra nowina; spać idę, nie wiem, czy mnie wśród nocy nie zbudzą bez wasze dokazowanie. Żywot się przykrzy... podziękuję chyba miłościwemu panu za oną służbę specjalną, w której człek dnia ani godziny niepewny, czy go żółć nie zaleje. Tak mnie już to wszystko znużyło, że chcę aby jedną noc wyspać się, jak Bóg przykazał, wywczasować się po onych gorzkościach ochmistrzowskiego urzędu. Wszyscy, jak tu stoicie, trutnie bezecne, marsz do antykamery króla jegomości!

— Ino sześciu na noc chodzi... — bąknął Gedroyć — któryż ostanie?

- Żaden nie ostanie, bo i ten jeden gotów by nabroić za dziesięciu. Wszyscy pójdziecie, i basta! Godzina dwudziesta pierwsza bije właśnie; iść mi zaraz prosto, nie zatrzymując się po drodze, dziennych zluzować, odprawić, a na ich miejsce pozostać.

— Niech wasza wielmożność raczy zajrzeć do antykamery późnym wieczorem, przekonać się, jako przystojnie służbę pełnimy, wždy gorzko na sercu słuchać łajania, gdy się człek do złego nie poczuwa.

— Lepiej byś uczynił na oczy mi się nie nasuwając, mości Ostroróg! Komu to o niewinności koszalki opałki wyplatać! Patrzenie go! Dawnoś Magulinie garnki potłukł?

— Ot, jak nas w każdym sposobie przed waszą wielmożnością czernią i szkalują! — zawołał Mikołka patetycznie. — Wždy miała sowicie z góry wszelkie skorupy opłacone! Z wielkim rozradowaniem, od śmiechu się zanosząc, sama własnymi rękoma tłukła, aże się rozlegało.

— Już nie rozmazuj sprawy, bo nieczysta!

— Żeby wasza miłość był widział, jak się król jegomość śmiał z duszy serca, toby mi złego słowa nie mówił.

— Dość próżnej gadaniny; uczynić, com rozkazał!

— Słuchamy waszej wielmożności.

Ach, gdybyż jakie wieszczce przeczucie kazało Straszowi wyrzeć na korytarz za idącymi niby spokojnie paziami, kto wie, czyby ich był nie zawrócił i we własnej sypialni nie wołał zamknąć.

Ledwie odeszli kilkanaście kroków i znaleźli się w przedsionku pokoi królewskich, porwali się za ręce i kołem zatoczyli młynka iście diabelskiego; bez słówka, bez szeptu nawet; lecz taniec ten szalony i twarze chłopców o niemym a triumfalnym uśmiechu zapowiadały nowe brzemię strapień i tak już nieszczęśliwemu ochmistrzowi.

— Pierwej ja się śmierci spodziewałem niż tego! Taże rodzony ojciec lepiej by mnie nie dogodził! — rzekł Montwiłł.

— Cicho... antykamera blisko! — poskromił jego radosne wybuchy Boner.

— Musimy zluzować dzienną dwunastkę i tak się pokazać przykładowie, by nawet niezycziwe oko nic

w nas nie upatrzyło.

— Właśnie dziś — dodał Drohojowski — nakazana jest senatorska powaga.

Szydłowiecki przodem, trzy dwójki po żołniersku wyprostowane za nim, weszli do antykamery. Ze względu na sąsiedztwo gabinetu króla nie wdawali się przybyli z odchodzącymi w rozmowę; podano sobie ręce, parę ust szepnęło „dobranoc”, drzwi się otwarły i zamknęły, zostali sami.

— Teraz czeka; my zawołania — rzekł Gedroyć — lada chwila król zechce się rozbierać.

Przysiedli na ławach blisko drzwi od komnaty i nasłuchiwali.

— Oho! miłościwy pan klasnął w ręce... niech Montwiłł idzie, dobrze, by go uwidział.

— A ja drugi! — prosił Czema.

— Idźcie, idźcie, a przypilnujcie, by wszystko było pod ręką. Za kwadrans byli z powrotem.

— Nie zabaczyliście niczego? Kubek z wodą przy łóżku jest,?

— A jakże.

— Światło w sypialni?

— Po cóż o takie rzeczy pytać się? Lampka przed ołtarzem dzień i noc się świeci, dolałem oleju z bańki, taj koniec.

— Okiennice zamknąłeś? Szary brzask gotów króla zawczasu zbudzić.

— Chciałem, ale nie zezwolił.

— Ano darmo, musimy się uwinąć w ostatniej chwili, gdy jeszcze wszystko śpi, nijakiego ruchu na podworcach, zanim jeszcze ptaki w sadzie świergotać zaczną.

— A znów nie za wcześnie, boby chłód poranny niewiastę zbudził, i to, na co najwięcej raduję się, spełzyłoby na niczym.

— A o cóż ci chodzi?

- Żeby naród ono dziwowisko oglądał; tego ja chciałby; służba wstaje o piątej, gdzie niektórzy z dworzan takóŜ rano zrywają się; jeżeli z narażeniem karków napracuję się, to przynajmniej uciecha z tego dla nas ma być. A teraz wiecie co? Pięciu niech śpi, a dwóch będzie czuwać do północy. Potem znów dwóch do godziny drugiej, wreszcie ostatnia straż przed czwartą kończy się. Zejdziemy na palcach na dół i do roboty.

— A Nastusia biedaczka nie wie, że to dziś Odmiwás tak nas niespodzianie złapał.

— Już ja i o tym pomyślał. Zbiegnę potem na chwilkę, zapukam do szyby, a Nastce już wiadomo, co to znaczy się, że ma zostawić drzwi nie zamknięte.

— A jak śpi i nie usłyszy?

— Już ja poczekam, póki rygiel nie stuknie. No, nie baraszkować, przyłożyć się do ławy i spać, a najstarszy z najmłodszym straż trzyma.

Szydłowiecki i Czema stanęli w oknie, by ich sen nie zmorzył zdradziecko, reszta zaś pokładła się na ławach i chrapnęła aż miło.

Cisza zaległa antykamerę. Stróż nocny otrąbił dwudziestą trzecią godzinę — czyli jedenastą. Zaszemrały kroki w korytarzu, zgrzypnęła klamka i głowa pana ochmistrza ukazała się we drzwiach uchylonych. Policzył oczyma śpiących, spojrzął na otwarte okno i opartych o futrynę paziów — dzięki Bogu wszystko w porządku... jedni drzemią, dwóch czeka na każde zawołanie. „Dziś chyba usnę spokojnie” — pomyślał i cofnął się, zamykając ostrożnie drzwi za sobą.

O samej północy zbudził Szydłowiecki Drohojowskiego i Gedroycia, a Czema Montwiłła. Lecz musieli go wszyscy czterej szarpać i potrząsać, zanim się opamiętał, gdzie jest i czego chcą od niego. Przecierał oczy, ziewał, przeciągał się, wreszcie wstał z ławy, spojrzął po wszystkich na wespół przytomnie, westchnął ciężko, nasunął kołpaczek na głowę i pomaszerował. Niebawem powrócił i spał dalej snem sprawiedliwego.

Reszta nocy przeszła według ułożonego porządku. Na kilka minut przed czwartą sześciu chłopców schodziło cichuteńko po schodach na dół. Szydłowiecki pozostał w przedpokoju, na wypadek przebudzenia się króla. Tak więc dowcipny pomysł Strasza, by wszystkich zawadiaków dać razem na służbę, okazał się wielce pożytecznym; ale dla nich, nie dla niego. Mogli bowiem dokonać bezkarnie swojej zbrodni, a nadliczbowy kolega wystarczał aż nadto do posługi przy królu, zwłaszcza że noc jeszcze była ciemna i miłościwy pan ani myślał się budzić.

— Chłopcy... jak najciszej... na miłość boską... — szeptał przezorny Gedroyć. — Czema! Nie szurgaj nogami! Nie umiesz chodzić jak człowiek?

— Pod ścianą się trzymajcie, coby was jaki ranny ptaszek nie dojrzał.

Stanęli.

— Otwarte?

— Uhum.

— Pst... Nastuś...

— Co?

— Spi twardo?

— Jak sam kamień. Ino bym radziła nakryć czym ciepłym i wedle głowy takż zatulić, bo jak ją powietrze owionie....

— No, to dawaj jakowe chusty i zrób, jak zdolisz, najlepiej, bo my całe nie znamy takiej roboty.

— A łóżko szerokie? Mierzyłaś, jakom ci kazał?

— Nie frasujcie się, panoczku, przejdzie beze drzwi leguteńko. No, teraz się nie zbudzi; chustę grubą na nogi jej dałam, a dokoła głowy i na uszy rańtuszek wełniany; śnić ano będzie, że się na kominie wylega.

— O rety... Dmytruś... — jęknął Drohojowski.

— Czegoż?

— Może nas psy obkoczą.

— Wždy nas znają, to czekać nie będą, a po drugie, idziemy bez pałacową bramę na tamto podwórze, gdzie psów nie puszczają, coby nie szczekały pod królewskimi oknami.

— A my tam po co?

— Zobaczysz. No, chłopcy, brać łóżko; ino ostrożnie, powoli, żeby gdzie nie szturchnąć. Na początek dźwigniemy we czterech, dopiero tam dalej przypomożecie nam. A ty, Nastka, zasuń rygiel, okno otwórz, śpij i pamiętaj, co nie wiesz o niczym.

— Ani okiem nie mrugnę, panoczku.

— Nu ale baba sobie niczego ważna... jakby tak z milę ponieść, toby człek zasapał się co niebądź. Ostrożnie, Czema, nie chybotaj łóżkiem!

— Matko... ktoś idzie...

— Nie, to ino wiatr gałęźmi taki szum czyni. Już się nie bójcie, cały gród śpi, jeszcze się ani na wschodzie nie rozjaśnia... gwiazdy świecą.

— Gdzież ten Dmytruś nas prowadzi?

— Zwariowałaś? Do sadzawki?

— Nu a gdzież dla niej lepiej byłoby?

— Woda bryźnie i baba zbudzi się.

— To nie bryzgaj... sto razy powtarzam: ostrożnie!

— Głęboko.

— A tobie kto powiedział, że głęboko? Dno cegłą wybrukowane, wody ino tyle, co z fontanny bez dzień uleje się, a fontanna zamknięta na noc i rurkami woda odpływa. Łóżko wysokie, ani do pół nogi

nie zamacza się. Ostrożnie, powiadam... letko stawiać... nu, już po wszystkiemu. Ot, jak pięknie... aż miło patrzeć... Świtezianka czy co?

— Chi, chi, cni, chi...

— Teraz na górę, co koń wyskoczy! Aby nas kto ze służby nie spostrzegł... lada chwila stajenni się zbudzą.

— Ojoj... na jednym głupi był... taże my ciżmy w wodzie zamaczali.

— Biegajmy do siebie i zmieńmy.

— Nie ma czasu; zresztą, szukaliby w naszej izbie i wykryłoby się, a na nogach może i wyschną. Skóra ciemna, nie będzie znać, że mokra, chyba pomacałszy; a da Bóg, Strasz nie padnie na to, coby macać. Nu, tak wracajmy! Szydłowiecki z okna wychylił się... biedneńki on, chciałżeby z nami być!

Wybiła piąta. Służba zamkowa budziła się powoli... od czasu do czasu przebiegnał któryś z parobków stajennych lub ogrodników przez podwórze. Zaczynało dnieć... zaledwie znać było jakiś ciemny przedmiot przy brzegu sadzawki. Zajęci robotą parobcy nie zwracali uwagi. Dopiero kuchcik, biegnąc po drzewka do szopy, rzucił okiem na prawo i stanął jak wryty. W pierwszej chwili nie zrozumiał... potem nastraszył się i uciekł jak oparzony.

— O rety... Kasper... Walanty... cosik leży wielgiego na wodzie... idźcie zobaczyć... cosik na podobieństwo łóżka!...

— Ot, przyśniło ci się i tyła — zgromił go stary kucharz. — Jeszcześ nie dospał, to sobie oczy przemyj, a po drwa mi w te pędy biegaj!

— Nie pójdę, boję się.

— Walek, idźże zobacz, a jak nic nie ma, to daj brzdącowi za kark, coby tydzień popamiętał.

Pobiegł Walek, wrócił ze śmiechem, aż czkawki dostał, ledwo zdołał wybąkać...

— Serczykowa!

— Cóż Serczykowa?

— Ano śpi w łóżku na wodzie.

Tedy poszedł i Kasper. Nadbiegł Wojtek ogrodniczek... Kuba i Pietrek ze stajni, Hanka z pralni, Ewka z Maryną z piekarni, Basia, Ulima, Jagnusia i Krysta z obory, słowem, z każdą minutą powiększała się liczba widzów zaciekawionych, a wszyscy jakby się zmówili na jedno, sprawiali się cichutko, krztusili się, by nie parsknąć śmiechem, rozmawiali szeptem i czekali, co się to stanie, jak się gospodyni przebudzi.

W sypialni królewskiej także dzień się poczynał.

Szydłowiecki, przywołany przez miłościwego pana, skrzesał ognia i zapalił dwie świece. Za czym wraz z Bonerem, który na szczęście nie wchodził do wody i ciżmy miał suche, posługiwał królowi przy ubieraniu.

Tamci zaś, nie dbając na szkodę, ocierali swe obuwie kobiercami rozestłanymi po podłodze i przekonywali się ku swej niemałej pociesze, że ślady wodnych igrzysk ulatniały się wcale prędko. Za godzinę nikt im już nie dowiedzie udziału w zamachu na gospodynię.

— Otwórz okno — rzekł król do Bonera. — Słońce już weszło?

— Już, miłościwy panie... chi, chi, chi, przrzsk...

— Zali w tym co śmiesznego widzisz, że słońce weszło?

— Darujcie miłość... przrzsk...

— Przecz się krztusisz? No, no, nie bój się, głupiś, boś młody; Szydłowiecki mądrzejszy... Nie! I ten pięściami gębę zatyka... Cóż to ma znaczyć? Błazeństwa się was trzymają... Mniemam, że po nie przespanej nocy każdemu raczej ziewać niż śmiać by się chciało. Wyjrzyj, kto chodzi po tamtej komnacie?

— Stańczyk, miłościwy papie.

— Wołaj go. Cóżżeś tak rano przybieżał? — spytał król zdziwiony. — Nie zwykłeś pojawiać się równo ze słońcem.

— Bo też nie co dzień zdarza się to, co dzisiaj; a tak dawno już nie widziałem a nie słyszałem waszego śmiechu, miłościwy panie, żem po trzy schody naraz skakał, by ino na porę trafić, a nie zapóźnić się.

— Jakoś was dzisiaj całe nie rozumiem; chłopcy płaczą od hamowanego śmiechu, ty zaś pleciesz przez ład i skład...

— Wždy nie moja wina, że król nawet tego nie wie, co się pod jego oknami dzieje.

— O cóż chodzi?

— Wyrzycie, panie.

— Zbiegowisko przy sadzawce... ci ludzie także się śmieją... Stańczyk, gadaj mi zaraz!

— Nie widzicie, panie? Gospodyni marszałkowskiego stołu, na podobieństwo Mojżesza z kołyseczką wyrzuconego na rzekę, śpi ano w swym łożu wśród sadzawki.

— Ona? Skądże się wzięła?

— Zda mi się, że raczej Straszą niż mnie należałoby zapytać.

— Co? Znowu paziowie? Chyba mnie nie posłuchał... lamencił wczoraj jak dusza w czyścicu, że dzień i noc nie ma spokoju, a wszystko bez siedmiu urwisów, bo reszta wzorowo się sprawia. Tedy mu doradziłem, by o,nych łotrzyków bez kilka nocy do mojej służby zapędził. Gdy się miasto spania przemęczą raz i drugi, przestaną broić; a po wtóre przekonamy się, że ucichną głupie figle, gdy sprawców zabraknie. Hej, Szydłowiecki, wszakże i ciebie między najgorszymi wymieniał... Którzyś są w antykamerze?

— Boner, Gedroyć, Montwiłł, Czema, Ostroróg i Drohojowski, miłościwy panie.

— Tedy kto babę włożył do wody? — roześmiał się król. Stańczyk pocałował go w kolano.

— A co, nie mówiłem, że warto wstać przed wschodem słońca?

— Biegaj mi zaraz na dół i przypilnuj, by niewiastę odniesiono na powrót do jej izby. A śpiesz się, będę oknem patrzył, jako się to stanie.

— A nam wolno zobaczyć? — spytał Boner, strojąc minę niewiniątka.

Król spojrział nań, potrząsając głową.

— Ot, zagadka nowa dla Strasza... idźcie.

Stańczyk zbiegł na podwórze, paziowie za nim; gromadka służby rozstąpiła się na dwie strony, a błazen, nie bacząc na rozkaz królewski, pewny ino, że mu wszystko ujdzie bezkarnie, krzyknął potrząsając swą laseczką z dzwonkami:

— Pani Serczykowa... śniadania czekamy!

— O raj... w tej chwilusi!...

Usiadła na łożku z zamkniętymi oczyma, przeżegnała się... i jedną nogą chlupnęła w wodę.

Powitał ją gromki wybuch krzyków i śmiechów. Zgromadzona gawiedź pokładała się, wiała, kurczyła z gwałtownego chichotu.

W oknie na górze stał król i głębokim basem wtórował powszechnej wesołości.

— Rety... ludzie, ratujcie! co to! Matko!... Aha, juści, już wiem... no jakżeby..., dwa głupie kołki osikowe i byłby spokój do sądneho dnia. Święta Urszulo z towarzyszkami... za co ja pokutuję!

Dmytruś szturchnął w bok Szydłowieckiego:

— Tak trza lecieć do króla miłościwego i popytać się, który lepiej zdał egzamin, Ostroróg czy Montwiłł? Niech nas król sędzi. Nu, Pawełku, nie idziesz?

# ROZDZIAŁ VI

## FIGIEL ANDRZEJA BONERA

Widzicie, panie ochmistrze, że niesłuszne były wasze posądzenia — mówił król do Strasza, który przybiegł zrozpaczony sprawą Serczykowej — wyrzekaliście na zgraję zbereźników, a oni spędzili noc przykładnie na moich usługach; psotę zaś niesłychaną, do której i rozmysłu, i umowy, i kilku par rąk było trzeba, znowu nieznani sprawcy popełnili!

— Nie odstępuję od swego, miłościwy panie.

— Czyli że?

— Że o godzinie dwudziestej trzeciej widziałem onych zuchwalców śpiących w antykamerze, o piątej stawili się na . zawołanie waszej królewskiej mości, lecz pozostaje nam jeszcze sześć pełnych godzin, w których mogli broić, jako im się żywnie podobało.

— Dlaczegoż koniecznie mają być ci, a nie inni?

— Bom już dawniej sidła zastawiał i dzisiejszej nocy tak samo się zacząłem; gdy wszyscy paziowie spali już po swych sypialniach (o czym się przekonałem, zachodząc do każdej i zaglądając do łóżek), przeciągnąłem cienkie nici w poprzek drzwi i uwiązałem do przeciwległych zawias. Ktokolwiek by wychodził w nocy, musiałby nić zerwać. Przed szóstą, czyli przeszło w godzinę po wyłowieniu onej utrapionej syreny, pobiegłem niby to sprawdzić, czy chłopcy wstają, w rzeczy zaś obejrzeć nici na drzwiach... ani jedna nie była zerwana. Gdy tedy li w młodych głowach podobne błazeństwo ulać się mogło, a prócz nocnej służby najmiłościwszych państwa, wszyscy paziowie okazali się niewinnymi, jakoż nie mam obstawać przy swoim?

— Posądzajcież zarówno i dyżurnych najjaśniejszej pani.

— Nigdy w świecie! Tam dałem sam kwiat i chlubę moich wychowanków; pierwej bym chyba ja, stary, łamane sztuki pokazawał, niżby oni cośkolwiek nieprzystojnego uczynili.

— Ha, może i macie słusność — lecz dowodów żadnych, karać nie wolno! Zechciejcie, proszę waszmości uprzejmie, powiedziec, przechodząc, któremu w antykamerze, by zawiadomił jego wielmożność pana Kmitę, że go pilno oczekuję. A nie trapcie się zbytnio... młodzi są, jak dotąd nikomu się tak dalece krzywda nie stała, tedy srogość wielką na zewnątrz okazować, a w sobie ino śmiechem to wszystko zbywać należy.

Pan Strasz pokłonił się nisko i odszedł układając w duszy, że nie daruje i póty czyhać będzie, aż winnych odkryje.

— Jego wielmożność pan marszałek Kmita! — oznajmił paż, otwierając podwoje.

— Otom już na rozkazy najmiłościszego pana — rzekł Kmita stając przed królem.

— Siadajcie, dobry przyjacielu — odpowiedział Zygmunt, witając gościa. — Nie miałem czasu pomówić z wami rano, a ciekaw jestem, co za sprawę mieliście do mnie.

— Czekają waszą królewską mość niezbyt miłe odwiedziny; oczywiście, jeżeli zechcecie przyjąć gościa, miłościwy panie.

— Zaliż bym mógł okazać się tak nieludzkim gospodarzem i drzwi zamknąć przed gościem? — z uśmiechem zapytał król.

— Bywają przykłady... — powoli mówił Kmita. — Zjechał do Krakowa wczoraj pod wieczór hrabia Kuno von Bergow, komtur Rhedeński, wysłannik księcia Albrechta; przyjąłem go w moim domu, komnaty poselskie bowiem we wschodnim zamkowym skrzydle już są całe nie do zamieszkania, robotnicy poczęli burzenie murów.

— Sprawiedliwie rzekliście... niemiłe to odwiedziny; czegoż chce?

— Pokłonić się miłościwemu królowi — powiada. — A co więcej, zachowuje zapewne dla waszych, nie moich uszu, najjaśniejszy panie.

— To się myli, bo w tajemnicy przyjmować go nie będę, ino waszą miłość pospołu z onym grabią zapraszam, wy zaś zechciejcie uprzedzić wojewodę Firleja, księdza biskupa i pana hetmana, jako ich również pragnę mieć przy sobie.

— O której godzinie raczy wasza królewska mość przyjąć Krzyżaka?

— Niech przyjdzie o szesnastej. Bogiem a prawdą, wolej bym go na oczy nie widział, a tu i gadać z nim, i ugościć go trzeba. Wspomnijcie mu, że po audiencji na wieczерę go zapraszam.

By nie używać rozmowie uroczystości i wielkiej wagi, Zygmunt nie oczekiwał Krzyżaka w sali przyjęć, lecz w swoim prywatnym mieszkaniu, tym bardziej że i poselstwo komtura miało cechę raczej poufną.

Ledwie u króla zebrali się Tomicki, Firlej i Tarnowski, gdy z antykamery roztwarły się drzwi i pan Kmita wprowadził Krzyżaka.

Posel miał się z godnością, choć jak naczłonka Zakonu wcale nie hardo. Był to mąż poważnego wzrostu i postawy, o rzadkiej, trochę już siwizną przyprószonej brodzie; twarz miał układną, na pozór spokojną, w oczach tylko łyskały przelotne ogniki. Odziany był po wierzchu w suty biały płaszcz z czarnym komturskim krzyżem na ramieniu i w równie mlecznobiały habit, przekreślony na piersiach drugim czarnym krzyżem. Rycerskie rzemiosło mnicha poznać można było tylko po mieczyku bogato oprawnym, zwieszonym u pasa i po srebrnym hełmie ocienionym wachlarzem piór pawich.

Dopiero we drzwiach królewskiej komnaty hrabia Kuno uznał za stosowne zdjąć szyszak z głowy. Skłonił się przy tym głęboko, ale nie spuścił oczu, które spod brwi śledziły oblicze królewskie, po czym przystąpił ku Zygmuntowi. Ten łaskawym skinieniem ręki powitał posła.

Von Bergow list złożony i przypieczętowany sygnetem, z ponownym ukłonem, wręczył królowi, który bez jednego słowa pieczęć rozłamał i pismo jął odczytywać. Twarz jego wspaniała nie okazywała wewnętrznego wzburzenia, domyślali się go tylko polscy panowie po nieznacznym ściągnięciu potężnych czarnych brwi.

Przebiegłszy pismo oczyma król Zygmunt położył je na stole i rzekł:

— Usiądźcie, mości pośle.

Po czym zwracając się do senatorów, dodał:

— Pisz mi Wielki Mistrz, iż jego miłość grabię Kunona von Bergow, komtura Rhedeńskiego, mocuje do układów z nami. Słucham was, panie von Bergow.

Krzyżak, zaskoczony chłodnym przyjęciem, siedział sztywnie, muskając końcami palców brodę dla nadania sobie pewności.

- Śle mnie do waszej królewskiej mości pan mój, jaśnie oświecony książę Albrecht pruski, gwoli porozumienia w sprawie hołdu lennego, który wam winien złożyć, najjaśniejszy panie.

— Mistrz Albrecht hołd mi już złożył.

— Ale książę poczuwa się do tej powinności, jako że chce ostać i on sam, i przyszły ród jego, wiernym korony polskiej lennikiem.

— Dziwnie skory dziś do hołdów mistrz... lub jak pana swego zwiecie, jaśnie oświecony książę. Nie tak to ów „lennik wierny” kwapił się z hołdem, gdy został głową Zakonu. Joba, biskupa pomezjańskiego, nasyłał mi, odwołując powinność do św. Marcina. A któż to trzy lata później poddane i kupce moje łupił i zabijał, chłopcy z królewszczyzn do więzienia imał? Kto mistrza inflanckiego na zajęcie Żmudzi mojej wyciągał, kiedy Moskwicin Litwę mi pustoszył? Jeno że skóry



swej własnej nie byli pewni, zasięgnąwszy języka, że starosta żmudzki zęby im gotów pokazać. Dopieroż do mnie w listy a wymówki!

— Za łaską pana mego najmiłościwszego — rzekł Firlej, ostry wzrok topiąc w oczach posta — miałbym ci i ja niejedno dorzucić od siebie, głową bowiem i ręką w onych rzeczach narabiałem. Pamiętasz, mości hrabio von Bergow, rok pański 1520? „Wierny korony polskiej wasal”, Brunsberg miasto od biskupstwa warmińskiego urwawszy, swoim je ludem obsadził, jako zawsze korzystając, iż w tymże roku Moskwa ponowne zagony po całej Litwie rozpuściła, aż o Wilno się oparłszy. Dopiero wy, najmiłościwszy panie, wonczas mnie z wojski swymi wyprawiliście, iżbym siostrzanowi waszej królewskiej mości miast i miasteczek naszarpał, a drogę mu z granic Rzeczypospolitej orężem do domu pokazał. A toć pomiędzy nami z waszej przyczyny bez rok cały krew się lała!

— Dozwólcie, miłościwy panie, że i ja swoje dołożę — wtrącił hetman Tarnowski, nie dając przyjść do słowa Krzyżakowi — toć zapadło już wnczas postanowienie, wojnę przeciw Zakonowi obrócić, a „wiernemu wasalowi” lenno do cna odebrać.

Umiał wtedy Wielki Mistrz kajać się i zginać; w Toruniu przed sejmem po rękach mnie całował. — Kto wam u króla łaskę i pobłażanie w tak ciężkim terminie wyprosił, jeśli nie ten, komu ninie płaszcze z krzyżami pod nogi mieciecie — Ojciec Święty! — zawołał wzburzony biskup Tomicki. Pod gradem coraz cięższych zarzutów komtur nawet nie drgnął. Patrzył śmiało w oczy mówiącym i tylko brodę nieco prędzej gładził.

— Trudno mi, najmiłościwszy królu i panie — rzekł po chwili — z tak mnogimi, światłymi, a Bóg widzi, niesłusznie uprzedzonymi krasomówcami szermować. Niesnaski graniczne... rzecz na tym świecie zwyczajna i między najlepszymi sąsiedzi, gdyby Zakon wyliczać chciał krzywdy i uciążliwości, uchowaj Boże nie od waszej królewskiej mości, ale od urzędników polskich różnymi czasy płynące, toby się chyba sporo pergaminu zapisało; nie żałować się, ani dawnych żalów odnawiać nam teraz.

— Jakie krzywdy? — zachnął się Tarnowski. — Nadania polskich książąt i królów? Ziemie chełmińska, dobrzyńska, lubawska, nieśzawska, wsie i miasta podarowane szczodrze przybyszom to krzywdy zadane waszej miłości?

Nie patrząc na Tarnowskiego, zwrócił się Krzyżak do biskupa.

— Jaśnie oświecony książę, acz suknię duchowną zdziewa jako w czasach nowszych i oświeceńszych przestarzałą, wszelako znamienia krzyża pańskiego z duszy ni z serca nie maże. Prosi o wybaczenie przykrości zadanych, doznane po chrześcijańsku puszcza w niepamięć; do serca najmiłościwszego swego pana jako siostrzan apeluje.

— Z całej odpowiedzi — rzekł pomyślawszy król — usłyszałem jedno tylko słowo „siostrzan”. Ale pan katolicki, ale król polski winien pamiętać o tym jedynie, co się godzi, a co się nie godzi.

Krzyżak nieporuszony odezwał się:

— Zali niegodziwym byłoby do zgody skwapliwie wyciągniętą rękę przyjąć, między chrześcijańskimi ludy pokój utrwalić, Rzeczypospolitej na wieczne czasy łaską kupić przyjaciela? Toć sam Zbawiciel nasz powiedział: „błogosławieni pokój czyniący”...

— Uszło widno pamięci waszej poselskiej mości — rzekł cicho ksiądz Tomicki — co na innym miejscu Chrystus Pan o pobielanych grobach powiada, i przepomniałeś chyba, że frymarczące ziemskimi dobytki sam powrozem ze świątyni wygnał. — Tu biskup skłonił się przed królem znacząco.

Król milczał.

— Mam nadzieję — rzekł słodko Krzyżak - że najjaśniejszy pan nie gorzej obeznan jest z Ewangelią

od was, księżę biskupie, i że w niej znajdzie słowo miłości, które bym odnieść mógł mojemu księciu. Zygmunt zwrócił się do Tomickiego:

— Dzięki Bogu nie wyzułem się jeszcze z wiary ojców moich, iżbym sobie rościł prawo do lepszego tłumaczenia ksiąg świętych niż Kościół i biskupi. Wam zaś, panie von Bergow, powiem jeno, że słowo miłości w waszym Zakonie byłoby czymś zgoła nieznanym. Tą cnotą rycerze krzyżowi nigdy nie mogli się chlubić, jako świadczą dzieje i strumienie krwi niewinnie przelanej. Mistrzom nleacno było dawać wiarę, jakoż ją dać ostatniemu, który daną Bogu przysięgę pospołu z płaszczem zdeptał?

— Zali tę odpowiedź waszej królewskiej mości odnieść mam księciu Albrechtowi?

— Zaiste, byłaby nie inna, gdyby nie pamięć milej siostry mojej, Zofii. Na odpowiedź nie pora — rozważę.

Wysłannik księcia Albrechta, wychyliwszy w imieniu Zakonu kielich goryczy na posłuchaniu u najjaśniejszego pana, nie mógł wcale narzekać, by jego samego, to jest hrabię Kunona von Bergow, najmniejsza uraza ze strony monarchy lub senatorów była spotkała. Otaczano go uprzejmością wyszukaną, wprawdzie zimną jak lód, ale w niczym nie wykraczającą przeciw przepisom i regułom nader gościnnego przyjęcia.

Na drugi dzień rano, pod pozorem oddania czci relikwiom świętych patronów polskich, wyszedł Krzyżak na miasto i bystrym okiem sprawdzał dobrobyt mieszkańców starej stolicy, przypatrując się wspaniałym strojom, bogatym sklepom zaopatrzonym w towary wszelakie, dworcom senatorów i domostwom zamożnych mieszczan.

Zajrzał do kilku kościołów, niebotyczna wieża Panny Marii, symbol wszechmocy króla królów a naszej małości, przywiodła mu na myśl potęgę polskiego władcy i świeży, a tak marny majestat mnicha-apostaty, któremu służył.

Po godzinnej przechadzce zawrócił do kamienicy Kmitów i w towarzystwie marszałka udał się do katedry. Przed trumną św. Stanisława przyklękli obaj, a komtur ledwie ukryć zdołał gorycz na widok czterdziestu sztandarów krzyżackich spod Grunwaldu. Zwycięzcy rozwiesili je byli jako hołd dokoła kaplicy św. męczennika.

Gdy von Bergow podniósł się z klęczek, marszałek, nie okazując wielkiej wewnętrznej uciechy, jaką mu to sprawiało, zatrzymał się z bogobojnym zakonnikiem dłuższą chwilę przy sarkofagu Jagiełły. Zawiódł go potem ku wielkiemu ołtarzowi, milcząc wskazał palcem napis i przykląkł przed obwieszoną licznymi wotami płytą grobową królowej Jadwigi. Krzyżak przygryzł wargi, zbladł i ugiął kolano.

Środkiem głównej nawy szedł paż królewski, szukając kogoś widocznie, bo się rozglądał na prawo i na lewo. Przeminawszy kaplicę św. Stanisława, dojrzał klęczących u grobu Jadwigi i przyspieszył kroku.

— Miłościwy panie marszałku... król jegomość prosi na słowo.

— W tej chwili idę. Jako żeś mnie tu wynalazł?

— Biegałem do domu waszej wielmożności, powiedziano mi, że tu jesteście.

— Darujcie, wasza miłość — rzekł Kmita do Bergowa — muszę was na krótki czas opuścić, najjaśniejszy pan mnie woła. Ostań tu i bądź na usługi pana hrabiego!

Jędrus Boner odpowiedział dwornym ukłonem i zapytał komtura, czy był już w skarbcu.

— Wczoraj rano oglądałem owe liczne bogactwa, klejnoty i pamiątki. Kościoły krakowskie pozostawiłem sobie na dziś, tym więcej że pan marszałek życzył sobie sam katedrę mi okazać i objaśnić. Rad bym się powrócić jeszcze do grobu św. Stanisława, bo go z bliska nie oglądałem.

— Zechciejcie od tej strony się przypatrować, wielmożny rycerzu. To właśnie ta kaplica w pośrodku kościoła, kratą mosiężną otoczona. W tej trumnie ponad ołtarzem spoczywają kości świętego. Co

dzień się tu odprawia nabożeństwo śpiewane.

— Piękna trumna; czy całe srebrna, czy ino blachą powleczone?

— Z kutego jest srebra — odpowiedział paż — sto sześćdziesiąt funtów wazy.

— Hm... — odchrząknął Krzyżak i podnosząc oczy w górę, z zaciekawieniem spytał: — A cóż za znaczenie mają te drzewce ze zwisającymi pękami włosów, umocowane dokoła kaplicy? Siwe, rude, brunatne, czarne; co to takiego?

Jędrus przełknął ślinę głośno i zaczął skubać palce w srogim pomieszczeniu.

— Prawdę mam powiedzieć?

— Jak to? Dlaczegoż nie?

— To są... wota dziękczynne...

— Wota, włosy?

— Tak jest... brody krzyżackie spod Grunwaldu.

— *Christ, mein Gott!*,

Kuno von Bergow rzucił się wstecz, zasłaniając oczy rękoma.

— Spocznijcie, szlachetny panie! — przemówił paż uprzejmie — oto wygodna ława; musieliście wiele chodzić od rana, zbyt znużeni jesteście.

Krzyżak usiadł ciężko; spod namarszczonych brwi nie widać mu było oczu, drżącymi wargami szeptał coś sam do siebie.

W tejże chwili w głównych drzwiach kościoła ukazał się marszałek i pośpiesznie szedł do gościa; a Jędrus Boner, skoczywszy za filar, tak się gdzieś nagle podział, jakby go ziemia pochłonięła.

— Już jestem — rzekł Kmita — zapewne paż dobrze się sprawił, widzieliście wszystko, co godne uwagi?

— O tak! — z goryczą odparł komtur — wszystko; nad miarę nawet.

— Dziwno mi, co się waszej miłości mogło tak nie podobać?

— Dziwne wam? Zaiste, omal trupem nie padłem...

— Przebóg!

— Hetman Tarnowski nie dał mi wczoraj wspominać o krzywdach zadanych nam przez Polaków; wżdy za słabe to słowo do odmalowania srogiej dzikości waszej.

— Panie hrabio... jakkolwiek gościowi dużo jest wolno, jednak ostrzegam, że moja cierpliwość ma granice. Zechciejcie wytłumaczyć, o co wam chodzi?

— O to! — z piekielną nienawiścią zawołał Krzyżak, wskazując ręką w górę.

— Nie rozumiem...

— Jakoż mam jaśniej mówić? Paż waszego króla dokładnie mi powiedział, co to są za wota i skąd pochodzą.

— Nie wota, lecz trofea to są, mości hrabio. Każdy taki buńczuk na Tatarach zdobyty jest chlubnym świadectwem dzielności naszego rycerstwa. Zaliżby zazdrość paliła wam serce, że podobnych u siebie nie macie?

— Buńczuk... co to... jest? — wyjąkał von Bergow osłupiały.

— Nie wiecie? To są odznaki pułków tatarskich. Przed każdym dowódcą watahy (zwa się oni mirzami albo agami) noszony bywa buńczuk z końskich ogonów uwity, godło jego dostojęstwa. Za cenę krwi naszej, w tylokrotnych bojach z pohańcy przelanej, kupiliśmy te trofea... czyż nie słuszna, że się nimi przed Bogiem Wszechmogącym wdzięczni szcycimy?

— Ten dzieciak śmiał zdrwić ze mnie... — szepnął Niemiec, zaciskając pięści.

— W jakim sposobie?

— Iże to są brody krzyżackie powiedział.

Nie w stanie powstrzymać wesołości ani powagą świętego miejsca jej przytłumić, Kmita parsknął na cały głos i podnosząc ramiona ku szyi, zanosił się od gwałtownego śmiechu.

— Nie dziwię się teraz, mości hrabio, żeście mniemali, jako snadź ludożercami jesteśmy. Powiedziałbym zaś, iż mima błazeńskiego żartu chłopca onego, nie należało wam się myśli takiej dać miejsca w głowie. Żaden Polak nie obraziłby Zakonu podobnym posądkiem.

— Chyba już lepiej nie mogło się złożyć, co, Dmytruś? Odmiwając nam przeszkadza — nie ma Odmiwająca!

— A wiesz, mnie zdaje się, że nie tak on do brata na chrzciny zachciał, jak od nas uciec i co niebądź odpocząć; jak Boga kocham, także my jemu do siódmej skóry nadojedli.

— A rychło ma wrócić, nie słyszałeś?

— Gadał Kuba, jako o, n pacholek pana Marka Straszą, co po naszego ochmistrza przyjechał, rozповідаł jemu, że to pierwszy syn, że całe sąsiedztwo na dziesięć mil sproszone, taj bawić się będą choć z miesiącem.

— Dajże im Panie Boże, niech się bawią zdrowi nawet i dwa!

— A my tymczasem?...

— Ho, ho, to nie żarty; ciężka nasza praca i strach niemały. Ja sam nie mogę iść do Sukiennic po płótno, boby w razie czego doszli kłębka po nitce, kto kupował i kiedy.

— Ma się rozumieć. I ja nie mogę; tak Nastusię poślę. A przykażę jej, coby nie w znajomym kramie kupowała i nie wygadała się, że na grodzie służy. Dużoż tego płótna?

— O dużo... muszą być płachty długie srodze, niechby się nawet po ziemi wlokły, a pozesywać choć we trzy półki, żeby starczyło owinać się sownicem.

— Powiem Nastusi, to już obliczy, ile będzie trza, i wolnym czasem, jak Grzybowska na prymarię pójdzie, bodaj jak zeszyje, aby się ino trzymało.

— No, to już jedno załatwione, a drugie jeszcze ważniejsze: musimy dziś pod wieczór przed samym spaniem zbiec na dół i obejrzyć wejście, czy się da wyleźć na górę, i na wszelki wypadek zapewnić sobie ucieczkę drugą stroną, jakowym okienkiem lub dziurą w murze. Kto głupi, będzie się bał, ale mądry pójdzie na samo miejsce i złapie nas.

— Nu dobrze; a dalej co?

— Strasz wyjeżdża jutro, a mistrz Ambroży go zastępuje; to właśnie tyle znaczy, jakby nikogo nie było. Przykażę Kubie, coby nas pobudził rano, bo samemu wstać się nie zechce, zje z nami obiad, odbędzie lekcję, zje wieczerzę, powie nam dobranoc i zamknie się do drugiego ranka w swoim alkierzu. Serczykowej gorzej bym się bał niż jego.

— O wilku mowa, a wilk tuż.

— Pani gospodyni na miasto wychodzi, co taka strojna?

— Oj, paniczekowi mili, idę dać na mszę do Panny Marii z podziękowaniem za ocalenie życia.

— Wždy nijakiego niebezpieczeństwa nie było; szpetne wydarzenie i więcej nic!

— Ot, jak to młodemu zawždy pstro w głowie, za łaską pana Jędrusia; czyście, paniczekowi, aby na jedno oka mgnienie rozważyli tę diabelską przygodę? Włosy na głowie stają! Nastusia biedniatko słabuje od wczorajszego rana; zaziębiła się bez to otwarte okno.

— Jej przecie upiory nic nie uczyniły?

— Jeszcze by czego brakowało, żeby ją śmiały palcem ruszyć! Mówiłam ano kiedyś paniczkom, co ona za jedna i jakie ma przywileje, ino że w święty stan małżeński wstąpić zamyśla, to już mocy wiele utraciła, dlatego mnie obronić nie mogła. Tedy wpadły te przeklętniki do izby, ją poraziły swym tchem jadowitym, że leżała niczym umarła, a mnie porwały z łóżkiem i bez okno wyleciały. Przyjdźcie, paniczekowi, którego dnia zobaczyć, ile węższe okno od łóżka, jakim to diabelskim

przemysłem zdolili one straszyci przedostać się tamtędy.

— Koniecznie oknem? Może drzwiami?

— Ale jakże? Drzwi zasunięte na skubel, a okno rozwalone. Nie chciało im się nawet zawrzeć za sobą.

— No, ale dzięki Bogu nic się nie stało.

— Gadanie na wiatr, letkoduch z pana Jędrusia. Nie stało się? Ale stać się mogło. Wždy mnie już niosły w swych szponach, ani chybi na pożarcie sobie i swoim przyjaciołom. Jakąś daleką widno drogę miały, a nie na rękę by im było, gdybym się przed czasem obudziła i na ten przykład pacierz zaczęła mówić; tedy mnie pookrywały, pootulały, niczem najtroskliwszy ojciec albo matka.... ino się piekielniki i tak zapóźniły z dopuszczenia boskiego; kur zapał i musiały porzucić. Więc zemściły się na niewinnej duszy chrześcijańskiej i wrażyły z łóżkiem do sadzawki, gwoli śmiechu i dziwowiska całej służby. Na to przeżyłam pięćdziesiąt... chciałam rzec: czterdzieści lat cnotliwie i w poważaniu u ludzi, by mnie bez one potępieńce błazen dzwonkami nad głową pobrzękiwał... upiory zatracone!

— Myśli pani gospodyni, że się na tym skończy? — z tajemniczą miną bąknął Jędrus.

— Wždy, dziękować Panu Jezusowi, przy zdrowych zmysłach jestem i dobrze wiem, jako nie ustana nas prześladować, póki się z onymi porządku nie uczyni. Idę już, bo przed zachodem słońca zakrystie zamykają, musiałabym do jutra odkładać i w śmiertelnych potach bez całą noc oka nie zmrużyć. Kłaniam się paniczkom!

— Szczęśliwej drogi pani Serczykowej !

Prócz miłościwych państwa, którzy nie wiedzieli o niczym, i ich najbliższego otoczenia, z niedowierzaniem przyjmującego bajeczne opowieści, cała służba zamkowa i podrzędniejsi dworzanie żyli od kilku dni w strachu, niepewności i jakimś oczekiwaniu pełnym grozy.

Coś się działo.

Wawrzek stajenny przysięgał, że idąc spać wczoraj w nocy, słyszał najwyraźniej brzęk łańcuchów w stronie baszty złodziejskiej; Krysta o tej samej mniej więcej porze widziała coś ogromnego, białego, pełznącego pod murem; kucharzowi Walentemu „coś” gasiło kaganek przez cztery wieczory z rzędu; Jaśkowi dało w kark zimną ręką, aż się przewrócił i guza na głowie nabił. Serczykowa dzwoniła zębami, bo mimo anioła stróża w osobie Nastusi, co noc „pukało” do okna i śmiało się szatańskim rechotem. Pan Jacek Rożen, masztalierz, ruszał ramionami na te wszystkie gadania i mrucał:

— Ach, gdyby każdy chciał językiem młócić, a co uwidzi, w uszy drugim wytrębować, już by ani jednej baby zdrowej na grodzie nie zostało. Takowe upiory, wilkołaki, strygonie i inne widziadła, acz całe prawdziwe i niemal co dzień się przytrafiające, najlepiej krzyżem świętym odganiać, a nikomu o tym nie wspominać. Żebym ja ino gębę otworzył, tobyście tu chyba jak muchy padali. Gdy się one... tfy... lepiej nie wymawiać przed nocą, na kogo uwezma, to niech ręka boska broni. Z tegom też ano przed czasem osiwiiał, a juści.

Tydzień minął od wyjazdu Straszą; coraz głośniejsi ludzie sobie rozpowiadali o duchach pojawiających się około północy na szczycie złodziejskiej baszty.

Serczykowa triumfowała.

— A co, nie mówiłam, nie radziłam, nie zaklinałam? Wyśmieli, wydrwili, pochowali, aby zbyć; tyciusi kołeczus wetknąć było każdemu między żebra, toby wystarczyło; gdzie zaś... Serczykowa głupstwa plecie — a jakże! Biedna sierota, najpierwsza za was zapłaciłam, a teraz macie i wy... niech wam skóra cierpnie!

Nastusia jedna wśród spłoszonej gromady kobiet i dziewcząt zachowywała zimną krew i odwagę z zuchwalstwem graniczącą, póty się śmiała, żartowała, aż wlała odrobinę otuchy w struchlałe serca.

— Wiecie co? — rzekła pewnego popołudnia do Hanki, Marysi, Uliny i Baški. — Musimy raz

przecie napatrzeć się onym duchom.

— Rety!... — wrzasnęła Marysia.

— Właśnie, powtarzam, napatrzeć się. Każdy ino powiada, że ten lub ów coś widział, drugi słyszał, a Bogiem a prawdą nikt nie wie, co było i czy co było. I cóż nam jakie duchy zrobią? No i co? Ony na baszcie, a my z dala w sadzie, na podworcu albo najlepiej na korytarzu w oknie, co ku baszcie wychodzi. Niechże sobie dokazują po murze, co nam zrobią? Wždy macie każda krzyżyk na szyi, to śmiejecie się z wszelakich duchów. Coś więcej wam jeszcze rzekę: panny Laura i Hipolita umówiły się ze mną na dziś wieczór. Same by się bały, bo są zarówno tchórzliwe, jak wy, ale staniemy w kupce, to nam będzie raźniej.

— Co to gadacie? Co będzie raźniej? Nastuś, ja dosłyszałam coś niecoś... bój się Boga, nie rachuj na swoją moc, nie rachuj, że baszta od okna daleko; „taki” skoczy jednym susem do łokci, porwie cię i zje.

— A ja dufam pewnie, że i pani gospodyni do nas się przyłączy. Jest nas siedem, to szczęśliwa liczba, a pani gospodyni ósma, to znów nieźle, bo do pary.

— Chyba że bez zamknięte okno będziemy patrzeć i gromnicę w kąciku postawimy. Kusi człeka takowe straszdyło choć raz w życiu na własne oczy oglądać, ale... oj, Nastuś, Nastuś, a jak życiem przyplącimy?

— Niechże się pani Serczykowa nie boi; wždy już was trzymały i bez powietrze z wami leciały i do wody wrzuciły, a stało się wam co? No, widzicie! Zresztą „ony” nie są zawzięte; jak im się raz nie udało, to już się was nie chycą. Wierzcie mi, ja z takiego kraju, co srodze jest od strachów nawiedzany, to znam wszelakie onych obyczaje.

— Więc kiedy? — spytała trochę drżącym głosem, lecz z błyszczącymi ciekawością oczyma Hanka.

— Jak tylko krowy podoicie, zaraz przyjdźcie do izby pani gospodyni, ja tam będę. Teraz jeszcze pobiegnę do panny Hipolity.

„Ot, gdyby wiedziały, dlaczego ja się nie boję...” - śmiała się Nastusia sama do siebie, idąc do mieszkania fraucymeru. - „Ach, Jezus... dopiero by mnie zbiły! Dwadzieścia siedem łokci płótna zeszyłam na dwa ubiory, ale mi pan Dmytruś obiecał darować potem na koszule”.

Wybiła dwudziesta trzecia. Mimo próśb i ostrzeżeń Serczykowej. dziewczęta, rozzuchwalone przykładem dzielnej Nastusi i obecnością dwóch panien dworskich, otwarły oba skrzydła okna w korytarzu i stanęły ciałniutko jedna przy drugiej, wstrząsane dreszczem strachu i ciekawości.

— Ach... tyle gadają i gadają, każdy niby to widział Bóg wie jakie duchy, a jak przyjdzie co do czego, to oczy ano wypatrujemy i nic.

— Jeszcze się tu pośpimy z onego czekania...

— A bo to wszystko bajki — szemrały dziewczęta.

Jedna Serczykowa stała milcząca, ze splecionymi jak do pacierza rękami, zapatrzona wzrokiem rozgorączkowanym w basztę złodziejską, oblaną światłem księżycyca płynącego po niebie od strony klasztoru św. Andrzeja.

— No i gdzież te duchy? Krysta gada, że widziała.

— Musi widziała, kiedy się bała iść z nami.

— Śliczna noc... — szepnęła Hipolita do Laury — tak tajemniczo szumią drzewa w sadzie, a białe promienie przedzierają się przez gałęzie...

— Rada jestem, że cię usłuchała; tak lubię... ach!... Widzisz?...

— Widzę... — ledwie poruszając ustami wyjąkała Hipolita.

Dziewczęta służbowe chwyciły się bez słów za ręce; Serczykowa skamieniała.

Dwie postacie bezkształtne, w długich szarych oponach, wysunęły się z wolna spoza hełmu baszty i

na tle ciemnego w tej stronie, bo dalszego od tarczy księżycowej nieba, stały chwilę nieporuszone. Zdało się patrzącym, jakoby owe powiewne szaty rozpląwały się w powietrzu, bo z nieokreślonych przed chwilą mgieł wyłoniły się dwie głowy o trupio bladych twarzach, ukazały się kościane ręce szkieletów. Jedno widmo objęło ręką szyję drugiego i położyło mu głowę na ramieniu.

Wysoko urodzone damy dworu i dziewczki z obór i pralni śledziły z niejakim współczuciem niemą, a tak wymowną scenę, rozgrywającą się „na szczytce baszty, w srebrnym świetle księżyca.

Nastusia zasłoniła oczy fartuchem i drżała od tłumionego... łkania.

Duchy obeszły ganeczek baszty dokoła, mniejszy załamał ręce, wyższy podniósł prawicę ku niebu... strażnik wytrąbił na wieży północ... wszystko znikło.

— Tragedia!... — jęknęła Hipolita.

— Dwa serca wierne, których śmierć nie zdołała rozdzielić — dodała Laura.

— Oni to, oni — stanowczo zawyrokowała Serczykowa. — Jedno mąż, drugie żona; musieli kogo zabić albo kościół okraść, katu głowy oddali, a teraz pokutują za grzechy, a jakże! Ino lepiej o tym nie wspominać ani drugi raz tu nie przychodzić... a nuż się spostrzegą, że ich kto wypatruje, ho, ho, ony takich ciekawców nie lubią... już ja mam dosyć na całe życie! Chodź, Nastuś, do izby!

— Ajaj... gdzież my się podziejemy!

— Ja się boję...

— Ja tu zostanę... — wołały dziewczki.

— Głupie... wždy już poszli; po północy już im nie wolno. Laura i Hipolita nie pozwały na bohaterki, tylko błagały pokornie gospodynię, by je odprowadziła do sypialni.

Nazajutrz rano cały zamek dowiedział się od naocznych świadków, że na baszcie złodziejskiej naprawdę się duchy ukazują. Laura i Hipolita opowiedziały towarzyszkom, donna Papacoda ośmieliła się napomknąć o tym nawet najjaśniejszej pani; a Marysie i Hanki rozwodziły się długo i szeroko w pralni, piekarni i oborze, jakie też to wielgośne one upiory, miasto oczu dziury jak talary, zębami ci tak klekotały niczym bociany na gnieździe, a jak się objęły rękami za szyje, to im te trupie głowy pospadały na ziemię... ano jakże nie miały opaść, kiedy były ścięte.

Upiory ukazywały się co noc. Przerażenie, jakie te zjawiska wywoływały, ogarniało wszystkich mieszkańców zamku.

Przez pierwsze dwa czy trzy dni wystarczała im godzina przed północą i ganeczek szczytowy baszty złodziejskiej; w miarę bezkarnego powodzenia rozzuchwaliły się niepocziwe szkielety do tego stopnia, że nie było prawie spokojnego kąta na zamku, prócz pokoi najmiłościwszych państwa. Starzy i młodzi bali się ruszyć z izby po zachodzie słońca, by w jakim ciemnym kącie nie napotkać ducha. Straszło na zakrętach korytarzów, hukało pod schodami, jęczało w nie zamieszkanym izbach, koło których trzeba było czasem przechodzić. Wiotkie cienie snuły się wszędzie, a ktokolwiek dojrzał mknące ku sobie z głębi krużganka wielkie szare widmo o martwej, bladej jak chusta twarzy, nie czekał ani się namyślał, tylko brał nogi za pas i uciekał, krzycząc wniebogłosy.

W dzień żartowano z siebie nawzajem i nazywano strachy zabobonnym przywidzeniem; z nadejściem szarej godziny upiory obejmowały panowanie.

Aż w końcu i król jegomość dowiedział się o wszystkim. Ani chwili nie wątpił, czyja to sprawa, i naturalnie posłał po mistrza Ambrożego.

— Także to waszmość dajesz sobie kołki ciosać po głowie? — rzekł zaraz po przywitaniu. — Pupilkowie waszmości przewrócili mi gród do góry nogami. Dowiaduję się ano, że wszystko, co żyje, w strachy jakoweś wierzy i przed strzygoniami opędzić się nie może.

— Wždy nie raczcie mnie winić, miłościwy panie... nad upiorami władzy nie mam... to są sprawy zagrobowe... stary Ovidius powiada: *Mox etiam lemures anirnas dixere silentum...*"

Czy cytata, czy wyraz twarzy, czy bezgraniczna naiwność bakałarza, rozbroiły w jednej chwili Zygmunta; skinął ręką z pobłażliwym lekceważeniem i rzekł śmiejąc się:

— Zaiste uznaję, że nie wasza wina, i zwalnięm waszmości od trudu strzeżenia... upiorów; tym bardziej gdy Koniec polski przybieżał właśnie z pokłonem od ochmistrza, który przed godziną powrócił.

Strasz aż się za głowę chwycił, gdy mu ten i ów na powitanie o przykrych zjawiskach rozpowiadał. Nauczony jednak tylokrotnym doświadczeniem i bezowocnymi śledztwami, wziął się na inny, znany, oklepany, a zawsze niezawodny sposób.

Przy wieczerzy swobodnie i po przyjacielsku rozmawiał ze wszystkimi paziemi, wcale nie robiąc wyjątku, owszem, zwracał się umyślnie do Bonera i Gedroycia, z Ostrorogiem pożartował, Montwiłła o wiadomości z domu pytał, słowem, jak to mówią, do rany go można było przyłożyć.

— Teraz bywajcie zdrowi, idźcie spać nie baraszkując — rzekł na odchodnym — a pomnijcie nie broić, żebym wstydu za was nie ucierpiał, bo uprosiłem mistrza Ambrożego, by mnie do jutra jeszcze wyręczył.

— Czy znowu gdzie wyjeżdżacie, panie ochmistrzu? — zapytał Jędrus z radosrym biciem serca.

— Wyjeżdżać to już nie; ale z bratem, który mnie do Krakowa odwiózł, wieczór przepędzę i z nim w gospodzie zanocuję. Daleko mieszka, kto wie, jak rychło się znowu zobaczymy. Dobranoc!

— Kłaniamy się posłusznie waszej miłości! — zapiszczeli chłopcy chórem.

— Szydłowiecki, skocz no do mojej izby, bo mi nie warto po schodach łązić, i przynieś oponcę; chłodny wieczór, a mnie kaszel łącno się ima.

— Biegnę i wracam natychmiast — odparł z gotowością zawołany i w dwóch susach był za drzwiami.

— No, to jeszcze dziś mamy spokój — mruknął Gedroyć do Bonera po odejściu ochmistrza. — Jutro bym radził nie kusić licha, bo aczkolwiek dotąd wywijaliśmy się Odmiwasowi jako tako, lękam się, że dzban za długo wodę nosił i ucho gotowo się urwać.

— Jedno suponuję: niepodobna, by mu kto o upiorach cudeńków nie naopowiadał — rzekł Drohojowski — tedy wacha

on dobrze pismo nosem i gotów obudzić srogość nawet w onym jagnięciu Ambrożym. Cóż uczynicie na taki przypadek, gdyby pan bakałarz zajrzał przed północą do naszej sypialni? Dwa łóżka puste, he?

— Oj, Bożesz mój święty, ta nawet gadać nie warto... dwa snopki słomy, dwa prześcieradła, foremne kukły uzwijać, głowy z bądź czego dorobić, derką przykryć, taj niech sobie leżą. Ani Ambrożemu do myśli nie przyjdzie przypatrować się, który paż żywy, a który słomiany.

— Ja ino powiadam, co zawždy lepiej być na wszystko przygotowanym.

— No juści!

Paziowie powstali od stołu i dzieląc się na gromadki, gwarzyli o swoich projektach aa jutro, o swoich dziecinnych kłopotach; pilniejsi rozprawiali o zadaniu łacińskim, tych niestety było siedmiu czy ośmiu tylko. Szydłowiecki zaś na czele osławionej szóstki pożegnał kolegów, skarżąc się, że muszą zawczasu uciekać do siebie, gdyż na starym korytarzu najbardziej straszy.

— Teraz ano przez długich rozhovorów do roboty! — zawołał Boner zamykając drzwi od sypialni za sobą.

— Nu dobrze gadać „do roboty"! Tak słoma gdzie?

— Do usług waszej wielmożności, w komórce na prawo od Krabatusowego alkierza stoją przy ścianie cztery sienniki zbytnie, coby na przypadek jakowych gości lub innej potrzeby pod ręką były. Z jednego słomę wyjąć i kukły poczynić.



— A jak nas Niemiec zobaczy?

— Z korytarza wejdziemy małymi drzwiczkami; stary już dawno śpi, nie posłyszysz.

— Nu to chodźmy.

Od razu w komórcie porobili chłopcy jakie takie bałwany, powdziwiali na nie koszule, żeby móc, rękawy trochę słomą wypełniwszy, jako ręce ułożyć. Scisnęli krajką przez pół, by leżąc na łóżku pod kocem choć trochę do ludzkich kształtów miały podobieństwa.

— Głowy najgorsze! — westchnął Boner.

— Mam ja coś w skrzynce, może się przyda — rzekł Montwiłł. — Nastusia myślała, co one duchy muszą mieć brody, i przyniosła mi kiedyś jeszcze z dwóch kądzieli konopi. Obaj mamy jasne czupryny, tedy skręcić jakowe gały z ręczników i onymi kudłami powiązać, jak się położy na poduszce, to... zresztą po co się właściwie trapimy? Dziesięć dni Ambroży nie zaglądał do nas, to i dziś nie przyjdzie.

— Któraż to godzina?

— Niezadługo już, niezadługo.

— A jakże wy robicie, że takie straszne gęby macie? — spytał Czema.

— Wszystkie przybory pod schodami w baszcie: płachty, garnek z wodą, drugi z mąką i sadze w stłuczonej miseczce. Pomacza się twarz wodą, tak zaraz mąką na to, żeby się dobrze trzymało; potem bierze się sadzy na palec i dokoła oczu smaruje się takowe czarne plamy, całuny na siebie i już.

— A nie spotka was kto, jak do baszty idziecie?

— E, późna godzina, rzadko kto przechodzi. Zresztą zawsze pod samym murem idziemy, od drzew ze sadu cienie padają. A jednak przedwczoraj bieda była; pamiętasz, Dmytruś?

— Jakże by nie!

— Skradamy się — ciągnął Boner dalej — tak cichusieńko, że sami własnych kroków nie słyszemy, aż tu ze stajni wychodzi wprost na nas Kuba i Pietrek. Do baszty dziesięć kroków, niech ino uwidzą nas, chłopcy niegłupi, wszystko odgadną.

— Tak powiedzcież — wpadając mu w mowę zawołał Montwiłł — co my nie robiąc? Rośnie lipa z tamtej strony muru, a gałęzie wiszą nisko, pod sam nos; tak ja porwał za jedną, Jędrus nie w ciemność bity za drugą, zahojdali się, nogami od ziemi odbili, taj za wyższą gałąź złapili. Konar był mocny, posunęli się rękami bliżej pnia, jak ci nie wrzasnę: hi, hi, hi, a Jędrus: hu, hu, hu, tak one parobki takież pięknie zawrzyszczeli i w nogi.

— Za chwilę już upiory były na baszcie — dokończył Boner. — No, ale komu w drogę, temu czas; kładźcie się spać, jużście nas tyle razy widzieli, to nawet lepiej, że zostaniecie w izbie. Przyszędłby pan bakałarz, niech widzi, że wszystko w porządku. Bywajcie zdrowi!

Pan ochmistrz, który wcale z domu nie wychodził, ale od godziny pod strychem na schodach, niedaleko sypialni paziów cierpliwie czekał, zeszedł był właśnie przed chwilą i nic zdradziecką od zawiasy do zawiasy przeciągnął. Po czym umknął ku bocznym schodom, zbiegł na pierwsze piętro i wstąpił do izby panów Jakuba i Stanisława Karczewskich, dworzan królewskich, z którymi się już był poprzednio umówił i do pomocy w obławie zaprosił.

— Uważcie, waszmościowie — tłumaczył im swój zamysł — pójdziemy na przełaj ku baszcie, by łatwiej widzieć, którą stroną urwisy będą zmykali; czy w prawo, czy w lewo" biec poczną, już my ich dogonimy!

— Wstrzymajmy się jeszcze krzywą — rzekł pan Jakub — dajmy im zejść na miejsce; jeżeli, jak powiadacie waszmość, wszyscy przed chwilą byli jeszcze w sypialni, to widno albo są niewinni, albo też czekają sposobnej, czyli późniejszej godziny.

— Niech i tak będzie, wstrzymajmy się.

Widma zbrodniczych małżonków dokazywały dzisiaj wieczora na szczycie baszty z prawdziwie szatańskim animuszem. Rzuciły się sobie w objęcia, klękały, załamywały ręce, rozwierały szeroko opony jakby olbrzymie skrzydła i fruwały jedno za drugim.

Nagle riższy upiór stanął.

— Dmytruś, patrzaj no... wżdy to Odmiwąg do naszej baszty wali! Miesiąć mu prosto na twarz świeci...

— A ci dwaj pewnikiem pomocnicy... zmykajmy!

— A jak obstąpią dokoła?

— To przepadniemy. Ale może nie wiedzą o dziurze, to się uda. Zrzuc płachtę, bo się nogi płaczą... rety... ino prędko... w pół schodów dziura, pamiętaj cegieł się chytać... potem skoczyć... trawa gęsta, nie będzie słyhać.

— Biegaj ty wprzód.

Tupnęło coś głucho z tyłu baszty przy murze, puc... spadło coś drugiego...

— Drała na lipę! Tam siedzieć, póki sobie nie pójdą. Ochmistrz i bracia Karczewscy dobiegli tymczasem do furtki.

— Zostańcie waszmościowie na dole, ja sam po nich pójdę. — rzekł Strasz i drapiąc się z trudem po zniszczonych schodach, krzyczał: — Ha, zbereźniki przez sumienia! Nauczę ja was... uff!... upiory udawać... nauczę ja was... po nocach ludzi niepokoić... nauczę ja... panie Jakubie, trzymacie ich? Bo zbiegli z góry.

— Stoimy we drzwiach, nie ma tu nikogo — odpowiedziano z dołu.

— Niech pan Stanisław zajrzy pod schody, tam się ukryli.

— Pod schodami ino jakieś skorupy, więcej nic.

— A ja tu mam dwie płachty. Nie mogli uciec, trzeba szukać.

— Gdzież mamy szukać? Wżdy w baszcie ich nie masz.

— Oho, wracajcie, panie ochmistrzu, już tu nic po nas.

— A bo co?

— A bo dziura w murze tuż przy schodach.

— Piskorze przekłete... myślicie, że was nie dostanę? — przez zęby syknął Strasz, po czym głośno dodał: — Dobranoc waszmościom i dziękuję za pomoc, choć się nie udało. Jutro, da Bóg doczekać, lepiej się powiedzie.

— Uhum, juści — zaszemrało na lipie — już ty swoje ucho pierwej uwidzisz niż upiory na baszcie.

— Poczekaj, Dmytruś, nie *złaźmy* jeszcze, niech się ono biedaezysko spać położy, wtedy bezpiecznie pomkniemy do nory.

A pan ochmistrz ani myślał o spaniu; pobiegł, o ile mu astma pozwalała najprędzej, do sypialni „utrapiionych zbereźników" (jak ich zawsze nazywał); poświeciwszy latarką, sprawdził zerwaną nitkę i pewny już zwycięstwa, drzwi otworzył... Potoczył wzrokiem po łózkach, wszystkie zajęte.

— Czy mamidła jakie, czy ano ktoś obcy duchy udaje? —

— mruzczał kręcąc głową. — Ale nie; wychodził któryś z izby, mam dowód niezbity... — i poświecił latarką nad pierwszym łóżkiem.

— Drohojowski... — szedł dalej i zaglądał: — Szydłowiecki, Ostroróg, Czema, któryż to? Zakrył się z głową, ino mu czupryna sterczy... aha! Urwipoleć jeden... — szarpnął ze złością derkę, a słomiany manekin zleciał z łóżka, pozostawiając głowę na poduszce. Na drugim łóżku obok takąż sama lala, na ostatnim Konstanty Gedroyć chrapał, leżąc na wznak z otwartymi ustami.

— Tedy już sprawa jasna: Montwiłł i Boner. Że Jędreć, byłem pewny, ale ta niunńka litewska... kto by się był spodziewał!

Wyśliznął się cicho z izby, latarkę opończą przysłonił, wsunął się w zagłębienie muru i czekał... Dość długo czekał, bo i chłopcy schowani wśród lipowych gałęzi bali się zleźć za wcześniej.

Wreszcie doleciał go jakiś szelest z dołu... ciche stąpanie... szepty... tłumione chichotanie... już wchodzi w korytarz... zbliżają się... zaświecił im latarką w same oczy:

— A to skąd Pan Bóg prowadzi?

— Chorość mię chycała... wyszedłem otrzeźwić się na podwórze... — próbował bronić się Boner.

— Widzę, widzę — szydził ochmistrz z okrutnym uśmiechem - śmiertelna to chorość i zaraźliwa... wedle oczu plamy czarne, a z gęby skóra białymi płatami odpada. Straszna zaiste niemoc! Wyglądacie obaj jak... upiory! Cha, cha, cha! Aa... baranki wy moje niewinne, przecież was nareszcie wyłapał! Dziękowałem za służbę królowi jegomości, do kolan mu się kłoniłem, że mi już zdrowia nie staje takowych basałków być wychowawcą; dziś jeszcze za powrotem ze wsi prosiłem pokornie, by mnie w łasce z urzędu usunął... Ciekawiście odpowiedzi miłościwego pana? Rzekł mi, że ani mowy, by miał puścić od siebie sługę wiernego, ino ci precz pójdą, których ja za najgorszych sprawiedliwie uznam. Śpijcie tedy smacznie, jutro pogadamy! I wyszedł.

— Oj, Bożeż mój, Boże!... to dopiero nieszczęście... — jęczał Montwiłł — a jedenaście dni dobrze było... cały gród trząś się przed nami.

— Mądryś, nie ma co mówić — burknął ze złością Szydłowiecki — nie tego żałujesz, że cię ze służby wypędzą i sromotnie rodzicom odeślą, ino ci markotno, co dworska służba nie będzie kwikać na twój widok.

— Ale Jędrus może mieć pociechę — wtrącił Gedroyć — że chyba wszyscy jednogłośnie ustąpimy mu pierwszeństwa i uznamy go hetmanem naszym.

— Ani wątpienia — rzekł Drohojowski — choćby już dlatego — że figiel trwał najdłużej i co dzień mieliśmy wyśmienitą zabawkę.

— No tak, hetmanem został i pohetmani, gdy nam na kobiercu odprawę dadzą, a potem za bramy grodu wyrzucają.

— A może się Odmiwąs ulituje... — szepnął Czema.

— On? Nigdy w świecie! Ty byś się ulitował, gdybyś był pantem ochmistrzem i siedmiu urwipołciów za nos cię wodziło?

Jędrus Boner nie słuchał sprzeczki, słowa jednego nie przemówił, stanął w otwartym oknie, głowę oparł na rękach i łykał gorzkie łzy, wstydząc się płakać i jęczeć jak Czema. Smutne myśli snuły mu się po młodej głowie, a głupia psota przybierała w jego wyobraźni rozmiary zbrodni...

Obijają, napędzą, wyrzucają, dziadek tego chyba nie przeżyje... Król jegomość taki był nań zawždy łaskawy, nie panem, a przyjacielem mu się okazał... znajomi zazdrościli dziadkowi, że prawą ręką miłościwy pan go nazywa; ach, co się stanie teraz!... Dziadkowi, kto wie, może król jeszcze kiedyś przebaczy, ale jemu... Coś mu się w piersiach szarpnęło, coś chwyciło za gardło... zapomniał, że już jest bardzo „duży”, że ma lat czternaście, i po cichu zapłakał.

Naraz... przetaił oczy rękawem... skąd takie światło jaskrawe? Nie od księżycy chyba... czerwone... co to takiego? Chłopcy! Jezus Maria! Pali się!

Przyskoczyli do okna.

— Gdzie, gdzie?

— Co takiego?

— Pali się! Patrzenie... naprzeciwno... w oknie kaplicy królowej, jakie migoty po szybach latają... zbierajcie się... na dół co żywo, do sadzawki... porwijcie dzbanki, konwie, co napotkacie, krzyczcie, że gore, niech się służba pobudzi... ja biegnę prosto... będę wołał po drodze. Dmytruś, chodź ze mną! Tyś mocny... może zdolimy co uratować. Jezus... blask coraz większy... lećmy!

— Ot, pohetmanił nam pierwszy raz! — pomyślał Montwiłł, patrząc, jak chłopcy czwałem zbiegali na dół po wodę, a on sam, posłuszny żołnierz, leciał za hetmanem — w ogień.

Skręcili w korytarz północnego skrzydła, gęsty gryzący dym ciągnął się ku nim ciężko.

Przedarli się do antykamery... sześciu paziów, zaskoczonych we śnie, leżało pokotem na podłodze.

— Otwórz okno... pobudź ich, ja biegnę dalej!

W pierwszej komnacie Beatrycze de Macris, odurzona dymem, również nieprzytomna, leżała na szerokiej, kobiercem zasłanej ławie. Potrząsnął nią, nie mógł zbudzić... chwycił ze stołka mały kilimek, zasłonił nim rękę i zwiijając się, jak iskra, wybił dwie szyby w oknie.

— Teraz może się ocuci sama... królowa najważniejsza... nie wolno wchodzić... pewno łeb zetną... ale nie mam i tak już nic do stracenia...

Stanął we drzwiach sypialni i wrzasnął:

— Najmiłościwsza pani... raczcie się zbudzić i uchodzić czym prędzej... w kaplicy gore!

Tu najmniej było dymu i królowa na krzyk pazia od razu się obudziła.

— Kto woła? Co takiego?

— Ja... Boner; uciekajcie, najmiłościwsza pani... gore!

— Gdzie Beatrycze?

— Zaczadzona. Biegnę do pożaru!

Rzucił się z powrotem w korytarz. Paziowie cucili się z wolna, owionięci powietrzem, ale ani patrzył na nich, leciał prosto do kaplicy.

— Dmytruś!

— Jestem!

— Chodź! Tamci z wodą już są?

— Dopiero Gedroyć dwie konewki przyniósł, reszta jeszcze nie.

Drzwi już były otwarte, lecz prócz Kostusia Gedroycia nie zastali nikogo. Nie można było czasu tracić na budzenie służby.

— Och... co za skwar! Aha, ołtarz płonie... Kostuś lej, nie pytaj... chlupaj w górę... ot, Czema wodę niesie. Dobrze, lać co sił! Zalewać, gdzie największy płomień.

— Gryzie w oczy!

— Głupstwo! Lej! Ostroróg, woda? Lej! Dmytruś, zmiłuj się... a skrzynia z relikwiami i naczyniem kościelnym...

— Matko Boska... za ołtarzem... dojdziemy!

— Co takiego? Chodź zaraz! Bierz od dołu... chyc dobrze...

— Kiedy mi łzy ciekną... nie widzę...

— Prędzej! Schył się... wzięłaś już? No to chodź, a żywo, bo i mnie już coś strasznego się dzieje...

— Dla Boga... Jędrus! — wrzasnął Drohojowski i zamiast gasić płonący ołtarz, oblał Bonera strumieniem wody. Wielki czas było po temu: cały żupanik obsypany iskrami tlił się na dobre.

Zataczając się, dławieni dymem, z osmalonymi czuprynami, wysunęli się dwaj przyjaciele z ciężką skrzynią spoza ołtarza. Wtem... wielki srebrny lichtarz, rozgrzany płomieniem, runął z przepalanej mensy prosto na ramię Jędrusia, osunął się po ręce, znacząc ją krwawą pręgą.

Cudem jakimś nie omdleli w dymie, nie stracili przytomności, nie rzucili ciężaru— mimo bólu i poparzenia i przedzierając się przez główne, rozsypane po kamiennej posadzce, wynieśli skrzynię w bezpieczne miejsce.

Któryś z kolegów podał dzbanek z wodą. Jędrus wyciągnął poń rękę, zatoczył się i padł jak kłoda.

Tymczasem nadbiegli parobcy z wiadrami, cebrzykami, skopcami. Ogień wprawdzie zniszczył doszczętnie kaplicę, lecz nie puszczono go dalej: parę godzin jeszcze tliło się i dymiło, na rano było

już po wszystkim.

A w izbie przyszych wygnańców, na tych samych łózkach, na których tej nocy jeszcze wysypiały się lalki słomiane, leżeli nieprzytomni i ciężko chorzy — Andrzej Boner i Dymitr Montwiłł, dwie ofiary pożaru.

Twarz Jędrusia, popieczona, szerniała i opuchnięta, obłożona była płóciennymi płatkami z 'gojąca maścią, na prawej ręce rana od rozpalonego lichtarza, na szyi i plecach czerwone znaki.

Dmytruś mniej ucierpiał, ale nałykawszy się gorącego dymu i opaliwszy włosy do żywej skóry, dostał także gorączki, rzucił się po łózkę z krzykiem i wyrwał się do pożaru. Kuba i Nastusia trzymali go z całej siły i gwałtem wlewali do ust lekarstwo na uspokojenie, przepisane przez pana magistra Krabatiusa.

Bardzo smutno wyglądała sypialnia małych rozbójników, tak niedawno jeszcze pełna gwaru i śmiechu. Król jegomość do łez był rozczulony bohaterstwem malców, zwłaszcza gdy się dowiedział bliższych szczegółów, jak dzielnie i z zimną krwią sprawiał się Boner od pierwszej chwili aż do końca. Królowa zaś wyrażała się z wielkim uznaniem i łaskawością o paziach, a najmilej o Jędrusiu. Strasz w jednej chwili zapomniał o swej ciężkiej obrazie i sprawiedliwej pomście i prawie nie odchodził od biednych chorych.

Stary Boner przybiegł w nocy jeszcze.

— Precz wyrzucą... wypędzą... — majaczył Jędrus. — Panie ochmistrzu... nigdy nie darujecie?... Głowę zetną... o jakaż ta skrzynia ciężka... Najjaśniejsza pani, uciekajcie!... Oj, skończyło się paziowanie... już nigdy miłościwego pana nie zobaczę!

A spod białych szmatek na twarzy spływały wielkie gorące łzy.

— Dziecko moje, wnuczku umiłowany... śpij spokojnie, wszystko będzie dobrze!

— Oj, nie będzie, dziadziusiu, nie będzie... pan ochmistrz... Czemu stoisz jak głupi i nie zalewasz?... Ława się pali... nie widzisz?... Kto zbudził królowę?... Ja. Gniewa się miłościwy pan?... Cóżem miał robić... Wypędzą i tak... precz pójdę...

— Nie pójdziesz, nie; słyszysz, ja także jestem przy tobie.

— Pan ochmistrz? — trochę przytomniejszym głosem spytał chory.

— Ja tu jestem i przyrzekam ci, że cię nikt nie wypędzi; rozumiesz? Zostaniesz nadal i ty, i twoi przyjaciele. Już się wcale nie gniewam.

— Ani król jegomość?

— Ani król jegomość.

— I Dmytruś zostanie?

— I Dmytruś, i wszyscy; król bardzo łaskaw, lubi was, rozumiesz?

— Lubi nas... — powtórzył Jędrus, odetchnął głęboko i... usnął.

Wkrótce milczące dusze zmarłych także nazwano lemurami (przyp. aut.).

# ZAKOŃCZENIE

Upłynęło przeszło pół roku. Książę Albrecht nasyłał posłów za posłami, korzył się i błagał króla polskiego o wysłuchanie gorącej jego prośby i nadanie mu prowincji pruskiej w lenno dziedziczne. Zygmunt odraczał odpowiedź z miesiąca na miesiąc, wahał się, walczył sam z sobą. Wreszcie serdeczna dobroć, wrodzona Jagiellonom, zwyciężyła, zgodził się. Erhard Queiss, biskup pomezański, ostatnie poselstwo sprawujący, odwiózł pomyślną odpowiedź Albrechtowi.

Ułożono i spisano warunki następujące: I. Pokój między Prusami Zakonnymi a Koroną Polską. II. Wzajemny zwrot miast i zamków pobranych oraz amnestia dla poddanych obopólnych, obwinionych o zdradę.

III. Złożenie hołdu lennego.

IV. Margrabia Brandenburski Jerzy, w imieniu własnym i braci, dotknie przy hołdzie chorągwi, uzyskując w tym następstwo w razie wygaśnięcia potomków męskich Albrechta. Dopiero po wymarciu całego rodu Albrechta i braci lenjno powraca do Korony.

V. Król zapewnia Prusom Książęcym prawa i opiekę. VI. Książęta nie będą mogli drogą sprzedaży, zastawu lub innych układów uszczuplać swego lenna.